



POLITYKA OD KUCHNI

Semka i Ziemkiewicz ostro
o kryzysie w Zjednoczonej Prawicy

Zawieszona kariera
Jadwigi Emilewicz

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 39/392 21-27 WRZEŚNIA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CHCEMY BYĆ
I Z EUROPA, I Z ROSJĄ

– CICHANOUSKA

O BIAŁORUSI
W ROZMOWIE Z „DO RZECZY”



DODATEK SPECJALNY
JAK IZRAELCZYCY
BRONIĄ DOBREGO IMIENIA
SWEGO NARODU I PAŃSTWA



ZARAŻANIE PANIKĄ

Najabsurdalniejsze pomysły na walkę z COVID-19

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 58 000 egzemplarzy

GOTOWI, BY ZWYCIĘŻAĆ



AH-1Z I UH-1Y TO ADEKWATNA ODPOWIEDŹ NA POTRZEBY POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH W ZAKRESIE ŚMIGŁOWCÓW BOJOWYCH I WIELOZADANIOWYCH

AH-1Z Viper oraz UH-1Y Venom to zespół najbardziej zaawansowanych śmigłowców bojowych i wielozadaniowych, stworzony z myślą o wymagających operacjach ekspedycyjnych, w najtrudniejszych warunkach i zagrożeniach. 85% konstrukcji Bell AH-1Z Viper i UH-1Y Venom to części wspólne, dzięki czemu modele te oferują bezkonkurencyjne możliwości w zakresie tworzenia flot mieszanych przy optymalnych kosztach cyklu życia, co przekłada się na zwiększenie żywotności maszyn, a zarazem ich ogólną wartość. Śmigłowce te wyposażone są w najnowocześniejszą i precyzyjną broń przeciwpancerną oraz przeciwlotniczą, a także innowacyjne systemy zwiększające szanse na przeżycie – **dzięki nim będziesz gotowy na wygraną w każdej walce.**

BELL UH-1Y VENOM

BELL AH-1Z VIPER

BELLFLIGHT.COM     



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Pokazaliśmy naszą skuteczność

To, że politycy unijni wypowiadają idiotyzmy, nie jest niczym zaskakującym. Jednak liczba niebezpiecznych bredni, które znalazły się w ostatnim orędziu pani Ursuli von der Leyen, szefowej Komisji Europejskiej, bije rekordy. Otóż oprócz steku banałów pani von der Leyen wyjątkowo dużo uwagi poświęciła kwestii LGBT. Z przerażeniem przeczytałem, że Komisja Europejska już niedługo zaprezentuje strategię „na rzecz wzmocnienia praw osób LGBT”. Boże, jeszcze im mało? Jeszcze mało przywilejów? Jeszcze mało tyranizowania normalnych ludzi? Jeszcze mało awantur? Najwyraźniej jeszcze mało.

W miarę słuchania włosy jeżyły mi się na głowie. Szefowa KE stwierdziła, że nowe rozwiązania mają doprowadzić do tego, że dzieci par jedнопłciowych będą uznawane na terenie całej Unii. Słyszają państwo? Przecież ta pani zamierza nam zafundować nowy totalitaryzm! Przecież publicznie zapowiada wprowadzenie praw sprzecznych zarówno z prawem naturalnym, jak i całym polskim porządkiem konstytucyjnym! Jakby tego było mało, szefowa Komisji zapowiedziała, że KE zaproponuje rozszerzenie listy przestępstw w UE na wszystkie formy prze-

stępstw z nienawiści i mowy nienawiści. „Czy to ze względu na rasę, religię, płeć czy seksualność, nienawiść to nienawiść i nikt nie powinien być zmuszony do jej znoszenia” – podkreślała. Tym samym publicznie przyznała się do tego, że Komisja Europejska przygotowuje zamach na swobody obywatelskie i wolność słowa.

Miary szaleństwa dopełniły jej mądrości na temat rzekomych stref wolnych od LGBT (gdyby pani von der Leyen nie była tak okropną ignorantką, to wiedziałaby, że powieli kłamstwa): „Chcę postawić sprawę jasno. Strefy wolne od LGBT to strefy wolne od ludzkości, od wartości humanistycznych, i nie ma dla nich miejsca w naszej Unii”. Otóż jest dokładnie odwrotnie: strefy wolne od ideologii LGBT (nie od ludzi) są właśnie oazą zdrowego rozsądku, wolności i ludzkości. Doprawdy, przerażające wystąpienie.

Jednak osobiste ograniczenia pani von der Leyen to tylko część opowieści. Przypomnę, że kiedy przed rokiem ważyły się losy wyboru szefa Komisji Europejskiej, polscy europosłowie zagłosowali za nią, twierdząc najpierw, że to wybór mniejszego zła, a potem, że to wspaniały sukces. Pamiętam doskonale te triumfalistyczne komentarze, które miały pokazać wielkie dziejowe zwycięstwo premiera Mateusza Morawieckiego. On sam w lipcu 2019 r. mówił: „Opowiadaliśmy się za kandydatem kompromisu, który będzie dawał nadzieje na pojednanie. Pokazaliśmy naszą skuteczność. Pokazaliśmy, że opowiadamy się za Europą normalności, by dla Polaków europejskość kojarzyła się z konkretem”. Podkreślając, że to za jego sprawą dokonano wyboru von der Leyen, premier dziękował „wszystkim posłom, którzy głosowali w ten sposób”. „Dzisiaj to głosowanie pokazało,

że głosy Prawa i Sprawiedliwości były języczkiem u wagi” – dodał szef polskiego rządu. Dziś te słowa, w zderzeniu z orędziem pani von der Leyen, brzmią, przykro to powiedzieć, groteskowo.

Oczywiście, tej decyzji premiera można bronić, słusznie, twierdząc, że Polska miała ograniczone pole manewru. Tak czy inaczej na czele KE stanąłby polityk lewicowy. Nie zmienia to jednak oceny. Dlaczego Polska przyczyniła się – zdaniem premiera wręcz zadecydowała – do wyboru pani von der Leyen, nie zapewniając sobie żadnych gwarancji z jej strony? Z pewnością, widać to teraz wyraźnie, został popełniony bardzo poważny błąd. Jeśli nie można było inaczej, to należało się wstrzymać. Ogłaszając wszem wobec sukces i przypisując sobie publicznie odpowiedzialność za wybór von der Leyen, polski premier stał się, niechcący, żyran-tem jej polityki.

Być może pani von der Leyen oszukała polskie władze i udawała kandydata normalności, faktycznie ukrywając swoje lewackie nastawienie. Mało to przekonujące. Pobieżne zapoznanie się z jej opiniami wskazywało, że mamy do czynienia z osobą o, delikatnie to ujmę, ograniczonych horyzontach i radykalnie lewicowych poglądach. Trudno mi uwierzyć w aż taką naiwność polskich polityków. Obawiam się, to bardziej prawdopodobne, że polskie władze na gwałt szukały sukcesu i poparły panią von der Leyen, chcąc pokazać swoją polityczną zręczność.

Latwo przewidzieć, co się teraz będzie działo. Polskę czekają kolejne ataki, szantaż i presja. A główną osobą odpowiedzialną za tę wroga normalności politykę będzie pani von der Leyen, jak słyszałem przed rokiem, „kandydat normalności”. Ciekawe, co usłyszę teraz. I czy ktoś weźmie na siebie za ten błąd odpowiedzialność? ©©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
SZALEŃSTWO BEZ METODY
Nieskładna walka z COVID-19

18 ŁUKASZ ZBORALSKI
ODSUNIĘCI OD LEKARZY

20 JAKUB WOZINSKI
BIZNES W EPOCE COVID-19



KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
COŚ W PIS PEKŁO
Szaleństwo „piątki dla zwierząt”

26 KAMILA BARANOWSKA
PIĄTKA DLA MŁODZIEŻY?

28 PIOTR SEMKA
ROZSTANIE PO KRAKOWSKU

30 TOMASZ ROWIŃSKI
PORAŻKA LEWICY

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WYZWANIE PREZESA



KULTURA

34 ROZMOWA Z MARKIEM KOCHANEM
WYSPA NIEZGODY
Lud i elity

36 PIOTR GOCIEK
CZY ANDROIDY ŚNIĄ O DZIECIACH?

44 GRZEGORZ KONDRASIUŁ
KTO KOCHA JAK PRZYZIEMNY SKNERA...

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 MARIUSZ DZIERŻAWSKI
JAK PRZEGRAC WOJNĘ CYWILIZACJI
Polemika z Tomaszem Terlikowskim

48 JAN PARYS
TRÓJMORZE I BRUKSELA



DODATEK SPECJALNY

51 IZRAELSKA POLITYKA
HISTORYCZNA
– WZÓR
SKUTECZNOŚCI

Prawna obrona przed
polonofobią – część 1

HISTORIA

68 PIOTR KOŚCIŃSKI
**GDY KUTY BYŁY
STOLICĄ POLSKI**
Ewakuacja polskich władz na początku
drugiej wojny światowej



ŚWIAT

72 ROZMOWA ZE ŚWIATŁANĄ CICHANOUSKĄ
**CHCEMY BYĆ I Z EUROPA,
I Z ROSJĄ**
Reżim nie złamie woli narodu



76 TERESA STYLIŃSKA
WSZYSTKIE GRZECZY BBC

78 ROZMOWA Z HERMANEM TERTSCHEM
**HISZPAŃSKI
EURODEPUTOWANY:
WIERZYŁEM W INNĄ UNIĘ**

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI
RZĄDY BIG TECH
Przestarzałe prawo
kontra wielkie pieniądze

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ
NIE CZEKAJMY NA PRZERZUTY
Rak prostaty:
najczęstszy męski nowotwór

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (70), PRZYBYLSKI (80), GABRYEL, WARZECHA (84), ZALEWSKI, MAKOWSKI (93), KOMUDA (94), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

Drodzy Czytelnicy!

Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Partia białej flagi”,
Paweł Lisicki, „DRz” 36/2020

Szanowny Panie Redaktorze, z zainteresowaniem przeczytałem Pana artykuł zatytułowany „Partia białej flagi”. Chciałbym podzielić się moją refleksją w kontekście dwóch pojęć, których użył Pan Redaktor, czyli „tęczowej sekty” i „tęczowego sekciarstwa”. Gratuluję tych trafnych określeń, takiego połączenia.

Określenie „sekt” (łac. sequor – iść, podążać za kimś; lub secare – odcinać, oddzielać), choć wskazuje na grupę społeczną izolującą się od społeczeństwa, mającą własną hierarchię wartości, funkcjonującą według własnego zespołu norm zachowań i z wyrażonym fanatyzmem poglądów, to jednak nie jest jednoznaczne. Pojęcie to z całą pewnością nie musi mieć związku jedynie z rzeczywistością religijną. Religioznawcy i teologowie używają pojęcia „sekt” zasadniczo w kontekście grup o charakterze religijnym. Socjologowie i psychologowie do opisu tej społeczności częściej wykorzystują określenie „grupa kultowa”, które uwzględnia także inny charakter – np. ekonomiczny lub polityczny danej grupy. W literaturze przedmiotu istnieje stosunkowo wiele definicji obu powyższych pojęć. Mając na uwadze trzy kryteria grupy kultowej (sekty), można z całą pewnością odnieść je do ideologii gender i LGBT.

Po pierwsze: werbowanie nowych członków lub zwolenników dokonywane jest poprzez manipulację. Ukrywane są informacje o grupie, celach, doktrynie, strukturze organizacyjnej. Przywołana społeczność, szczególnie w pierwszej fazie aktywności, pieczołowicie ukrywa dążenia do przywilejów, które przynależą do małżeństwa mężczyzny i kobiety. Manipulacja polega na akcentowaniu dążenia do równych praw.

Po drugie: więź z obiektem kultu. Przedmiot kultu rozumiany jest bardzo szeroko: kult Boga pojmowanego subiektywno-arbitralnie, kult człowieka, kult przedmiotów, kult specyficznych praktyk i zachowań. Charakter tej więzi jest mocno irracjonalny, często obsesyjny. W „tęczowej sekcie” swoistym obiektem kultu jest seksualność – wręcz apoteoza seksualności.

I po trzecie: konsekwencją bycia w grupie lub angażowania się w omawianą społeczność są zagrożenia dla różnych sfer życia: społecznej, psychiczno-duchowej oraz fizycznej. „Tęczowe sekciarstwo” swoją aktywnością jednoznacznie prowadzi do podważania obiektywnej prawdy, destrukcji moralności i wykorzystywania prawa dla swoich celów. Niszczenie instytucji małżeństwa i wyraźna walka z chrześcijaństwem są zagrożeniem nie tylko dla pojedynczych osób zaangażowanych w ideologię, lecz także dla całego społeczeństwa.

Jeszcze raz gratuluję oryginalności i trafności przywołanego pojęcia. Sądzę, że warto je rozpropagować.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacke Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czałajski, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jacke Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Małkowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwec Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wojski, Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacke Nadarowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysowniki: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: na podstawie obrazu **Edwarda Muncha pt. „Krzyk”/Nasjonalnuseet**
for Kunst, Arkitektur og Design/oprac. graf. **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawcą tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



NA PIERWSZY OGIEŃ

Drogo opłacone zwycięstwo



PIOTR SEMKA

Jarosław Kaczyński spełnił marzenie, z którym nosił się od wielu lat. Klub PiS z pomocą Koalicji Obywatelskiej i Lewicy przegłosował w Sejmie „piątkę dla zwierząt”. Tyle że cena, jaką za to zapłacił, jest bardzo dolegliwa.

176 posłów klubu PiS (łącznie jest ich 235) poparło jego ustawę, mimo wyraźnych zapowiedzi kar dla odstępców. Przeciw byli wszyscy posłowie Solidarnej Polski i 23 posłów PiS, w tym tak istotne postacie jak minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski i Henryk Kowalczyk, były minister skarbu, a potem szef resortu środowiska. Większość posłów Porozumienia Jarosława Gowina wstrzymała się od głosu. Nowelizację poparła tylko Jadwiga Emilewicz.

Nigdy jeszcze Kaczyński nie zderzył się z takim oporem we własnym klubie. To jaskrawe przypomnienie, w jak dużym stopniu przyzwolenie w PiS na silne rządy osobiste prezesa wynikało z podzielenia przez większość partii trafności wyboru celów politycznych lidera. Gdy prezes postanowił na zasadzie blitzkriegu wcielić w życie projekt, który przez wielu posłów nie jest uznawany za niezbędny,

jedna czwarta posłów jego klubu odwróciła się do niego plecami.

Kaczyński postanowił załatwić w tym samym czasie rekonstrukcję rządu, nową umowę koalicyjną i przepchnąć kontrowersyjny projekt. Widać wyraźnie, że był to błąd. Zlekceważył rozmowy koalicyjne, zakładając, że mniejsi koalicjanci skazani są „na wzięcie tego, co im dają”. Lekceważące wypowiedzi marszałka Ryszarda Terleckiego o jednym resorcie dla koalicjantów czy „Z powrotu Gowina do rządu cieszę się umiarkowanie” dolewały jeszcze oliwy do ognia.

Można było tylko czekać, kiedy nastąpi polityczne krótkie spięcie. I nie trwało to długo. „Piątka dla zwierząt”, inicjatywa Michała Moskala i Forum Młodych, wywołała poważny konflikt w koalicji i na mniejszą skalę w samym PiS.

Jarosław Kaczyński ma teraz do wyboru dwie drogi. Albo złagodzić ton i szukać jakiegoś uspokojenia w relacjach z koalicjantami, albo brnąć w kurs na zderzenie. Na czwartkowym spotkaniu z posłami PiS używał już określenia „eks-koalicjanci”. Terlecki wspominał o rekonstrukcji rządu bez udziału Ziobry i Gowina. Pojawiła się nawet

wizja przyspieszonych wyborów. Dla Kaczyńskiego może być to kusząca możliwość pokazania, jak PiS błyskotliwie wygrywa, podczas gdy Solidarna Polska i Porozumienie uzyskują mierne wyniki.

Może się jednak okazać, że bez ziobrystów i gowinowców PiS nie uzyska większości w nowym Sejmie. Już w 2019 r. wielu badaczy wskazywało, że ponowne zdobycie kruchej większości bez „przystawek” byłoby znacznie trudniejsze.

Za to wszystkie siły europejskiej lewicy, obozu liberalnego i najważniejszych unijnych graczy lansowałyby rząd „wszyscy przeciw PiS”.

W demokracji parlamentarnej butne powtarzanie, że koalicjanci przeceniają swe znaczenie, jest mało praktyczne. Nawet jeden poseł, od którego zależy większość sejmowa, jest na mocnej pozycji. A co dopiero powiedzieć o koalicjantach, którzy razem mają 37 posłów. Gowin i Ziobro nie są aniołami, ale źródłem siły obozu dobrej zmiany był sojusz trzech partii. Nowe wybory to skok do basenu, w którym może nie być wody. Realizacja osobistych marzeń, choćby najszlachetniejszych, przynosić może w polityce niespodziewane skutki. ©



FOT. YURI KOCHETKOV/PAP

CHCĄ ARESZTU DLA KONTROLERÓW

Prokuratura Krajowa w ubiegłym tygodniu wystąpiła do sądu z wnioskiem o aresztowanie kontrolerów z lotniska Siewiernyj w Smoleńsku. Chodzi o trzy osoby, które pełniły służbę 10 kwietnia 2010 r., gdy doszło do katastrofy polskiego samolotu rządowego. Zginęło wówczas 96 osób, w tym prezydent Lech Kaczyński, pierwsza dama, wicemarszałkowie Sejmu i Senatu, posłowie. Rzecznik prezydenta Rosji Dmitrij Pieskow stwierdził, że Rosjanie „odnoszą się negatywnie” do zarzutów Polski. (luz) ©

Cóż, a byli tacy, którzy uważali, że żartujemy, kiedy miesiąc temu napisaliśmy, że naczelnik Kaczafi położył na stole negocjacji koalicyjnych rewolwer, czyli przedterminowe wybory. Ech, ludzie małej wiary, uważajcie, bo za karę pójdziecie do urn. Podziękujcie wierzącym przystawkom. Przy czym podkreślamy, że afera z ustawą zwierzątkową była tylko wisienką na torcie, bo główne wierzanie odbyło się już grubo wcześniej.

Piękna wymiana zdań na ten temat odbyła się na Nowogrodzkiej. Na pytanie, czy PiS nie boi się kolejnej kampanii wyborczej, padła przytomna odpowiedź: „Ale pan Zbigniew to już przecież od roku prowadzi kampanię wyborczą swojej partii”. Od roku – znaczy od ostatnich wyborów sejmowych.

Wtej sytuacji ciekawego kontekstu nabiera sprzeciw SolPolu wobec ustawy, która uwalnia od odpowiedzialności urzędników walczących z epidemią. Tak się bowiem składa, że najważniejsi urzędnicy, na których ostrzy sobie zęby nadzwyczajna kasta sędziowska, to premier Mateusz oraz wicepremier Jacek. I co, ludzie Zbyszka ZiZou mieliby przeszkadzać członkom Justitii w ich szlachetnych działaniach jakąś ustawą ratującą Mateusza i Jacka? Absurdalne, prawda?

Tymczasem w ubiegłym tygodniu swoją pięćdziesiątkę obchodził wspomniany już parokroć Zbigniew Ziobro. A dokładniej obchodził z opóźnieniem, bo urodziny były już jakiś czas temu. Dopiero teraz z tej okazji zorganizował jednak grilla dla znajomych prokuratorów. Nastroje były raczej minorowe.

Żeby było zabawniej, naczelnik Kaczafi zaczął prowadzić też negocjacje koalicyjne poprzez media. Na przykład w tygodniku rybackim pojawił się wywiad, w którym przedstawił PiS oraz swoją osobę jako najtwardszych z twardych we wszelkich sprawach, które dotychczas wydawały się twarde jedynie w wypowiedziach SolPolowców.

Skoro o rolnictwie, to od razu wyjaśniamy, o co chodzi w zamieszaniu wokół posta Sachajki. Otóż poseł ów zdecydowany jest na dołączenie do



dobrej zmiany, ale pojedyncze transfery nagradzane są tam najwyższymi stanowiskami do poziomu wiceministra. Gdyby jednak Sachajko przyszedł do Zjednoczonej Prawicy z większą grupą posłów, to mógłby zostać nawet ministrem rolnictwa. Stąd jego publiczne pochwały pomysłu koalicji kukistów/ludystów z PiS.

Tymczasem w Eine Totalopposition. „Nie udało mi się wytłumaczyć obywatelom wagi praworządności. To moja największa porażka” – poskarżył się w gazecie Adam Obywatel Bodnar. Przejęło nas to do głębi. Więc tłumaczymy Obywatelowi.pl: ludziom nie zależy na wadze (poza tymi, którzy się odchudzają), tylko na praworządności. A jeśli mają praworządność, to nie potrzebują tłumaczenia. No i tak się składa, że mają. Ot, tajemnica wyjaśniona. A tak w ogóle wolimy Obywatela GC.

Na miejscu wszystkich ministrów i ich urzędników zaczęlibyśmy pilnie opukiwać meble. No bo skoro Sławek Lolo Pindolo Nowak miał ukryć w meblach ładnych parę baniek, a na pewno nie był najbardziej przedsiębiorczym członkiem PeŁo, to nigdy nie wiadomo, co się w nich znajdzie. Przy okazji – już widzimy nietęgę miny wszystkich, którzy urzędowanie po Platformie zaczęli od wyrzucenia starych mebli z ministerstw i zakupu nowych. Zatem także właściciele komisów meblowych zachęcamy do udziału w akcji „Szukamy skarbów Platformy”.

Co różni Jana Śpiewaka i Rafcia Trzaskowskiego vel Czajkowskiego? Ten pierwszy działał w ruchu Miasto Jest Nasze. Ten drugi działa w ruchu Miasto Jest Moje. Ruch Miasto Jest Moje to inicjatywa jednoosobowa i głęboko obciachowa, niestety. Skąd to wiemy? Cóż, Rafcio, domagając się zmiany muzyki w nocnym klubie, życzył sobie Jamiroquai. Ech, Jamiroquai popularny był ćwierć wieku temu! To tak, jakby TW „Bolek” Wałęsa zażył sobie w stoczni od kolegów, żeby zagrzewać robotników do walki przebojami Sławy Przybylskiej.

Ach, słodkie życie trendsetterów... Zdziwieni jesteśmy nieco wielkim oburzeniem panującym na wielonurtowej lewicy, od PeŁo do Biedronia, że szykują się transfery vel dezercje do nowego koła poselskiego Szymka Hołowni. Ludzie, którzy dysponują umiejętnością czytania oraz obdarzeni są pamięcią, pamiętać mogą, że zapowiadaliśmy tę akcję jeszcze przed drugą turą wyborów prezydenckich. Gdyż już wtedy była przygotowywana. Warunek był jeden – akcja dojdzie do skutku, jeśli Rafcio przegra. Reszta jest historią (w tym historią donosów od dobrze poinformowanych wiewiórek).

My tu gadu-gadu, a dzieją się rzeczy dużo ważniejsze. Jurek Żłoty Melon Owsiak wypuścił na rynek serię własnych perfum. Od jesieni dostępne są w pewnej sieci salonów na literę S. Co oznacza, że niestety musimy zmienić sieć, gdyż nie uśmiecha się nam wachanie Jurka, w dodatku za własne pieniądze.

Liczymy na własną kolekcję modową Jurka. Wyobraźcie to sobie. Jurek Żłoty Melon owinięty w gustowny chiński ręcznik. Wielkie czerwone serduszko przysłaniające to i owo. Elegancka lornetka teatralna umożliwiająca lepszą celność podczas plucia na PiS. Słynne okulary typu Elton John. Buty przyozdobione złotymi mikrofonikami i małymi portrecikami Balcerowicza oraz Komorowskiego. Włosy postawione na sztorc, w kształcie płomienia wyrrywającego się ku górze jako światło do nieba. Honoraria od zainteresowanych projektantów prosimy przysyłać na adres redakcji. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dobre i złe chęci

Ustawa nazwana „dezubekizacyjną” może służyć jako ilustracja znanego powiedzenia, że piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami. Sprawa wydawała się oczywista: funkcjonariuszom aparatu przemocy przyznano w PRL specjalne przywileje, w tym emerytalne, i nie ma żadnego godziwego uzasadnienia dla ich utrzymywania w wolnej Polsce, więcej – sytuacja, w której pracownicy SB i MO dostają dziś emerytury znacznie większe od porządných ludzi, jest głęboko demoralizująca i kompromitująca.

Wszystko byłoby proste, gdyby tę sprawę załatwiono od razu, na początku istnienia III RP. Niestety, z różnych względów stworzono ciągłość prawną między prawami nabytymi w PRL a przysługujący-

mi w wolnej już Polsce. Teraz próba przywrócenia sprawiedliwości zderzyła się więc z prawniczymi zawiłościami. Po roku 1989 wielu funkcjonariuszy dawnych służb Rzeczpospolita zaakceptowała, wielu powierzyła odpowiedzialne funkcje. Byli i tacy, którzy w PRL niczym szczególnie haniebnym się nie skalali, natomiast w nowej rzeczywistości oddali państwu istotne usługi. Jak teraz wymierzyć sprawiedliwość?

Twórcy ustawy uznali, że słuszność jest najważniejsza, i nie wbudowali w nią żadnego mechanizmu odwoławczego, co można uznać za odebranie „dezubekizowanym” prawa do uczciwego procesu. Od początku wydawało się to słabym punktem ustawy. Niestety, zamiast wysilić się na prawniczy spryt, jej twórcy, jak to u nas, woleli prze-

nosić spór w bezpieczne regiony moralnej słuszności.

Efekt właśnie mamy: działanie ustawy zablokował Sąd Najwyższy. A konkretnie zrobił to sędzia Józef Iwulski. Najbardziej chyba umoczony w komunizm członek SN, kapitan WSW, awansowany w stanie wojennym i skazujący jako sędzia sądu wojskowego opozycjonistów. Poniekąd – orzekł we własnej sprawie i na własną korzyść.

Jeśli fakt, że akurat on został wyznaczony do orzekania w tej sprawie, jest skutkiem przypadku, to trudno o przypadek bardziej symboliczny. I miejmy nadzieję, że tylko symboliczny – kluczowy będzie tu wyrok Trybunału Konstytucyjnego, przed którym SN w ogóle nie powinien ruszać sprawy. Tak czy owak niesmak pozostaje. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Widmo to tylko widmo

Większość rzecz względna, podobnie jak consensus. Często uważa się go za jednomyślność, a oznacza jedynie niekwestionowany charakter jakiejś zasady. Niekwestionowany, niezależnie od stopnia poparcia, a nawet – kontestacji.

Nowy sondaż Ipsos dla „Le Monde” potwierdza, że większość Francuzów (55 proc.) chce przywrócenia kary głównej. Dobrego samopoczucia demokracji francuskiej to nie zepsuje, co więcej – zdolność ignorowania opinii społecznej (w Zgromadzeniu Narodowym największa partia opozycyjna nie ma nawet klubu parlamentarnego) – upewni jedynie Republikę, że działa świetnie mimo chronicznych objawów kry-

zysu. Niech sobie widmo populizmu krąży po Europie, ale widmo to tylko widmo.

Nie mam zamiaru tamtego oligarchicznego systemu chwalić. Jednak dyskryminacja polityczna (zupełnie jawna wobec ruchu Marine Le Pen) to jedno, a reguły działania consensusu to drugie i warto się im przyjrzeć. Jego podstawą może być konstytucja, ale również utrwalone prawo, przekonanie o trwale mniejszościowym stanowisku kontestacji trwałych zasad, wreszcie ich dumna obrona w debacie publicznej.

Dlaczego jest tak ważny? Bo to on definiuje państwo, jego charakter, czasami jego faktyczny ustrój. Gdy Viktor Orbán mówił o nieliberalnej demokracji, miał na

myśli nie tyle zmianę instytucji, ile zbudowanie nowego konsensusu, mimo wszystkich, wewnętrznych i zewnętrznych, ataków na Węgry.

U nas przez lata utrzymywał się konsensus wojtyłański, jego elementy to na przykład potwierdzenie naturalnego ustroju rodziny w przyjętej przez centrolewicową większość konstytucji czy ustawa gwarancyjna o nienaruszalności polskiego ustawodawstwa chroniącego życie, rodzinę i wychowanie, przyjęta (przed wejściem do UE) wbrew lewicy – za rządów lewicy. Tamten konsensus też był kontestowany, a działał. Zamiast więc wpadać w panikę na widok czarnych czy tęczyowych marszów, lepiej się zastanowić, jak wbrew nim tamten konsensus odbudować. ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Kali wiecznie żywy

Tytułuję z obawą. Doszły mnie słuchy, że w kraju „W pustyni i w puszczy” trafiło na indeks ksiąg zakazanych. Powieść przetrzymaczono na włoski, ale nikt tu nie wie, kto to Kali. A szkoda. Włoscy postępowcy, choć o tym nie wiedzą, przyjęli i doprowadzili system filozoficzny Kalego do doskonałości.

Podczas kampanii wyborczej w Pontassieve pod Florencją przywódca włoskiej opozycji Matteo Salvini został zaatakowany przez 30-letnią imigrantkę z Konga. Wrzeszczała: „Przeklinam cię!”, zerwała mu z szyi krzyżyk i rozdarła koszulę. Awanturującą się kobietę odciągnęli policjanci. Okazało się, że dama z Konga jest modelowym przykładem integracji. Ukończyła w Italii studia. Lewicowa burmistrz miasteczka komentując incydent, stwierdziła, że Salvini jest sam sobie winien, bo swoimi poglądami i szerzeniem nienawiści Kongijkę sprowokował i zebrał to, co sam zasiał. Ba! Pani burmistrz ujawniła, że niedawno temu Kongijkę ktoś opluł, bo jest czarna, za co de facto odpowiedzialność

powinna spaść na propagatora rasizmu Salviniiego.

Nie koniec na tym wydarzeń w Pontassieve. Salvini chciał zakończyć kampanię kolacją na 50 osób. Zarezerwował restaurację, ale właściciel w ostatniej chwili się wycofał. Dlaczego? Bo dostał setki e-maili, telefonów i anonimowych listów z pogróżkami, że jeśli kolacja z Salviniem się odbędzie, to lokal zostanie spalony, a jego właściciel pobity, a może nawet ubity.

Natomiast Beppe Grillo, założyciel rewolucyjnego Ruchu 5 Gwiazd (jedna trzecia głosów w ostatnich wyborach), na plaży w Livorno zaatakował i zrzucił ze schodów dziennikarza. Tyle że był to dziennikarz TV Rete 4 Berlusconi, więc zdaniem apostołów postępu podobnie jak Salvini był sam sobie winien. Jak najślusniej został ukarany za pochodzenie.

Generalnie włoscy lewicowcy i ich media bardzo brzydzą się przemocą, zwłaszcza gdy ich ktoś zaatakuje. Ale gdy jej ofiarą padają myślicy inaczej czy polityczni adwersarze... Cóż, karma. Dosięgnął ich słuszny gniew ludu. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wszystko płynie

Jak powiedział swego czasu prezydent

Komorowski, „woda ma to do siebie, że się zbiera, a potem spływa”. Również w polityce pewne sprawy zbierają się, aby później po kimś spłynąć. „Trzaskowski nie ma szczęścia do Wisły nawet powyżej Czajki” – stwierdził Krzysztof Karnowski, komentując nocne dialogi prezydenta stolicy z DJ-em w klubie na barce rzecznej.

„Nie przesadzałbym z historycznymi tonami, ale podstawowe zasady BHP

i zdrowego rozsądku podpowiadają, że jeśli jesteś prezydentem stolicy, niedoszłym prezydentem kraju, chcesz być liderem ruchu politycznego, to nie angażujesz się o 1 w nocy w negocjacje dotyczące pracy didżeja” – tonował nastroje Konrad Piasecki. Ewidentnie nie wyczuł jednak, skąd wieje wiatr prawdziwej stolicy. „Czyli nie dość, że Trzaskowski ma odpowiadać za pękniętą rurę, zna francuski, szanuje Geremka, to jeszcze lubi Jamiroquai, ma poczucie humoru i dystans do siebie? No, skandal! Kryptopisowscy dawcy opinii wolą łamaczy konstytucji, chamów z wyciągniętym fuckiem i rozkwit nepotyzmu” – skontrował niezastąpiony Przemysław Szubartowicz.

W ogóle życie w Warszawie staje się ostatnio coraz większym wyzwaniem. „Od kilku dni,

jakiś sygnał przypominający zagłuszkę z czasów PRL, zagłusza poranny sygnał TOK FM. Tak bardzo, że słuchanie jest niemożliwe. Co dziwne, stacja Polskiego Radia tuż obok działa czysto. Stwierdzam fakt, niczego nie sugerując” – ujawnił Waldemar Kuczyński.

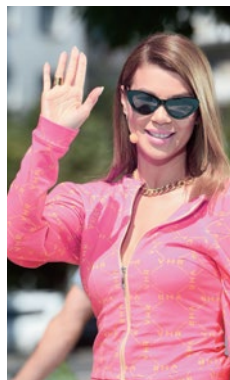
W międzyczasie ujawniono również, że córka prezydenta będzie pełniła w jego kancelarii funkcję doradcy społecznego. „Prezydent Duda dołączył do programu nepotyzm+. Swoją drogą, czy naprawdę nie było roboty dla panny Agaty po tylu kursokonferencjach, praktykach i studiach prawniczych?” – zapytał Tomasz Sommer. „Agata (moja Żona) serdecznie Pana pozdrawia i delikatnie sygnalizuje, że jest germanistką i nauczycielką, a obecnie wolontariuszką (jako Pierwsza Dama). Zwraca też uwagę, że mamy 25-letnią Córkę (Kingę), więc nie jest już panną” – odpowiedział mu Andrzej Duda. I tak to się kręci. ©©

PISAĆ KAŻDY MOŻE?

Czeka nas kolejny hit wydawniczy. Nad napisaniem książki zastanawia się bowiem Natalia Siwiec. Celebrytka wyznała niedawno, że wraz z mężem mają poczucie, że tyle wspaniałych historii z ich życia nie może się zmarnować i pójść w zapomnienie. Dlatego trzeba je spisać i wydać. – Czasami siadamy sobie wieczorem i opowiadamy sobie różne historie z życia. Jeśli tego nie spisujemy, to będzie wielka szkoda. Jest tyle historii, które warto przenieść na papier. Czasem się nad tym zastanawiamy. To nie jest taka łatwa sprawa – wyznaje Natalia. Patrząc na liczbę książek pisanych przez tych, którzy nie powinni ich pisać – zbyt łatwa. Co jest dobrą wiadomością dla Natalii. Dla reszty świata niekoniecznie.

OBIECANKI CACANKI

Edzia Górniak znów popłynęła. W swoich refleksjach na temat życia w czasie pandemii, której jej zdaniem przecież nie ma, znów zastanawia się, dokąd zmierza ten świat. Swoimi przemyśleniami oczywiście postanowiła podzielić się na Instagramie. – Jesteśmy świadkami



przemiany świata i wejścia w nową erę – oznajmiła. Następnie, jak relacjonuje Pudelek, zmartwiła się, że za jakiś czas Internet może zostać całkiem zakazany. W związku z tym planuje sama dobrowolnie zrezygnować z korzystania z niego i tym samym zniknąć

z mediów społecznościowych. Zapowiada też, że nie będzie korzystać z telefonu komórkowego, a kontakt z nią będzie możliwy listownie. Dawno za nikogo tak mocno nie trzymaliśmy kciuków jak za Edzię, by wytrzymała w swoich postanowieniach!

NIE DO POZNANIA

Tymczasem Blanka Lipińska, autorka powieści erotycznej, polskiego odpowiednika „50 twarzy Greya”, i świeżo upieczona celebrytka, pochyliła się nad jedną z opinii jej fanek. Otóż fanka napisała jej, że gorzej wygląda, z czego Blanka wyciągnęła ciekawe wnioski. – To jest bardzo ciekawa wiadomość, a dowodzi ona tylko jednego – naturalnie nie jestem ładna – skomentowała



FOT. PAMEŁ GROMADA

celebrytka. Dodała, że ponieważ chodzi na zabiegi falami radiowymi, musiała „rozpuścić w twarzy cały kwas”. – Zdejłam rzęsy, założyłam aparat na zęby i zbrzydłam. Bo już niewiele rzeczy zostało mi sztucznych – wyznała. – A jak mówiłam, że lepiej, jak się ulepszam, to nikt mi nie wierzył – dodała. W ramach ulepszenia innych części ciała proponujemy, by zabrała się do czytania książek, a nie ich pisanie. Wtedy to dopiero jej nie poznamy!

CYTACIKI I WYWODZIKI

Aktorka Kasia Warnke postanowiła wypowiedzieć się na temat Kościoła. Nie żeby ktoś od niej tego oczekiwał, po prostu miała taką potrzebę sama z siebie. „Rozpatrywanie natury człowieka ze względu na jego płeć jest niewiarygodne naukowo i ściśle związane z religią i jej mitami, czy też nazywając wprost – bajkami” – napisała na Instagramie. Aktorka była zachwycona, że pod jej wpisem rozgorzała dyskusja. – Temat gender, temat gorący. Mój cytacik z siebie (sic!) trochę był prowokacją. Nie był to wywódzik zbyt precyzyjny, a jednak widzę, że precyzyjnie nakłuł problem, co mnie zaskoczyło – stwierdziła. Cytowanie samej siebie, nazywanie tego wywódzikiem i zachwyt nad tym, jak się precyzyjnie nakłuł problem, to jednak wyższa szkoła egocentryzmu. Nawet jak na show-biznes.

CIĘŻKIE ŻYCIE GWIAZDY

Małgorzata Rozenek-Majdan musiała zmierzyć się z falą krytyki po tym, jak na Instagramie zamieściła kolejne zdjęcie reklamujące tym razem szampon do włosów. Zwykły, tani, z drogerii, żaden ekskluzywny. Fanki nie uwierzyły, że taka gwiazda jak Rozenek na co dzień używa taniego szamponu, co zdenerwowało celebrytkę. – Jezu, dziewczyny. Przecież ja oprócz pracy mam normalne życie, w którym to życiu sama myję sobie głowę, używając normalnych szamponów. Tu nie Hollywood – odpowiedziała poirytowana. „Już to widzę, jak używasz taniego szamponu, nosząc na ręce zegarek za 75 tysięcy” – wytknęła jej jedna z fanek. – Na czymś trzeba zaoszczędzić, a zegarek kosztował 125 – odpowiedziała złośliwie Rozenek. Mimo jej zapewnień internauci nie dali się przekonać. „Na pewno ktoś uświadzi, że pani używa szampon drogerijny” – napisała kolejna fanka. – I jeszcze mnie noszą i przezuwają za mnie jedzenie – odparła wyraźnie wkurzona Małgorzata. I niech ktoś nas przekona, że życie gwiazdy jest lekkie i przyjemne! ©



Polskie – kupuję to!

„Polskie – kupuję to!” to ogólnopolska akcja zainicjowana wewnętrznie przez pracowników Grupy PGE, której celem jest zachęcenie Polaków do wyboru rodzimych marek i produktów. Patriotyzm konsumencki to przejaw odpowiedzialnej postawy, godnej promowania i naśladowania tym bardziej, że korzysta na tym cała polska gospodarka. PGE zachęca do wybierania polskich produktów!

Artykuły polskie i zagraniczne często są do siebie podobne i robiąc zakupy możemy mieć problem z określeniem, które artykuły pochodzą od krajowych producentów i dostawców.

Dlatego PGE zachęca do korzystania z polskiej aplikacji Pola. Skanując kod kreskowy dowiesz się, czy firma produkuje i prowadzi prace rozwojowe w Polsce oraz czy tworzy ją polski kapitał. To proste, wystarczy zeskanować kod towaru, a aplikacja Pola pomoże znaleźć właściwego producenta.

Współpraca PGE z Polą to także rozwój aplikacji poszerzający jej bazę o nowe produkty i branże.



polskiekupujeto.pl



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie wiemy, jak tam w Warszawy większych ośrodkach, ale u nas w Krakowie ostatnio coraz częściej można spotkać na mieście osobodzików.

Of kors antropocentrycznie nastawieni do zawłaszczania przestrzeni miejskiej krakowianie prowadzą narrację, jakoby „mieli problem z dzikami”. Jest to oczywiście niesprawiedliwe stawianie sprawy.

Dlaczego bowiem środowisko miejskie nie może być uznawane również jako osobodżyczny habitat? Bo kiedyś umówiliśmy się (no, my nie, of kors), iż przestrzeń miejska należy do białego cisheteroseksualnego mężczyzny w SUV-ie i w średnim wieku?

Oczekujemy zatem pełnej akceptacji osobodżików w systemie miejskim, specjalnych ścieżek do przemieszczania się dla nich, lokali socjalnych oraz zniżek na basen – bo skoro w Krakowie na ulgi mogą liczyć duże rodziny w modelu podkarpackim, to dlaczego nie dziki, które przeciętnie mają więcej dzieci niż ludzkie pary?

Rząd zapowiedział, iż od przyszłego roku płaca minimalna będzie wynosiła 2800 zł brutto miesięcznie. Rząd PiS dąży więc do realizacji postulatu, który ogłosiliśmy już dawno temu: iżby płaca minimalna była równa średniej krajowej.

Nie wiemy jak wy, ale my poczulibyśmy satysfakcję i dziejową sprawiedliwość, gdyby team leader zaczął zarabiać tyle co my. Równanie w dół jest zawsze łatwiejsze, ale jednocześnie daje naprawdę wiele satysfakcji.

*Z Szymonem Holownią Trzaski
gen społeczeństwa i potrzebą bycia z ludźmi...*



c e z a t y k t y s z t o i z

Of kors, aby to osiągnąć, należy poczynić też kilka innych kroków: najpierw zrównać wszystkie pensje w dół, ale i resztę w górę, tak aby każdy w tym kraju zarabiał dokładnie tyle samo.

Przez prawicowe media i wśród komentatorów przetoczyła się fala ścieku i hejtu na Trzaskowskiego, iż poprosił didżeja o zmianę muzyki w klubie.

Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, który nigdy nie domagał się na imprezie tego samego. Trzaskowski po raz kolejny pokazał, iż z niego po prostu jest fajny gość i słucha dobrej muzyki.

Wyobrażacie sobie w podobnej sytuacji Kaczafiego? Jak Brudziński wyciąga go gdzieś na imprezę, krwawemu dyktatorowi nie podoba się muzyka i woła do didżeja: „To moje państwo, dawaj Andrzeja Rosiewicza”.

BTW kto to jest ten Jamiroquai? ©©

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

KOD na kota

Jarek, jadą do ciebie kota ci sprawdzić!
Co? Spokojnie, Marek, nic nie rozumiem. Kot jedzie? Jak to „sprawdzić kota”?

KOD jedzie.

Kot jedzie sprawdzić kota? Mówże wolniej.

Nie kot, ale KOD. No, ci wariaci z opozycji. Jadą z policją, zaraz

ci wejdą do domu i będą kota sprawdzać.
Zwariowałeś?!

Nie ja. Słuchaj, to jest w tej ustawie. Jakoś nikt nie pomyślał... Z policji do mnie dzwonili, że musieli im asysty udzielić. A ty ich musisz wpuścić.
Jak to: muszę? Ja?

No tak. Oni twierdzą, że mają informacje, że kota źle traktujesz, mają w statucie ochronę zwierząt, no i mogą do ciebie wejść i to sprawdzić.

A mogą?

Niestety tak.
Co za idiota to wymyślił?

Niestety ty... Znaczący, chciałem powiedzieć, Moskal.
Ja od początku wiedziałem, że z tym Moskałem to jest coś nie tak. Słuchaj, wsiadaj w samochód i na jednej nodze mi przywieź łyskas czy coś. Bo widzę, że kot nie ma co jeść. Żeby afery nie było. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Cokolwiek zrobicie, jakkolwiek daleko posuniecie się w polityce wychodzenia z #UE, Śląsk zostanie w Europie”

ŁUKASZ KOHUT, europoseł Wiosny, pod adresem polskiego rządu podczas wystąpienia w Parlamencie Europejskim



**polski
produkt**

**V EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER GŁÓWNY



Szaleństwo bez metody

FOT. AUDREY STOCK



Łukasz Warzecha

Polska strategia walki z koronawirusem jest nawet trudna do zdefiniowania. Składa się z wielu absurdów

W Hiszpanii 15 września odnotowano ponad 9 tys. nowych przypadków zakażenia koronawirusem. Tygodniowa średnia liczby zakażeń zaczęła ponownie rosnąć od początku lipca. Rośnie też liczba zgonów, ale gdy zestawimy to z liczbą nowych przypadków obecnie i w marcu oraz kwietniu, widać, że istnieje uderzająca różnica: wówczas, przy podobnej, a nawet nieco niższej liczbie zakażeń zgonów było 600–800 dziennie. Teraz jest niecałe 100.

We Włoszech również 15 września nowych przypadków było znacznie mniej – ok. 1,2 tys., podczas gdy w mar-

cu i kwietniu – po 5–6 tys. Widać jednak wzrost w stosunku do lipca i sierpnia. Zgony są natomiast na bardzo niskim poziomie – po kilkanaście dziennie wobec 600–900 w najgorszych momentach.

W Wielkiej Brytanii 15 września to ponad 3,1 tys. nowych przypadków. Średnia z kwietnia to ok. 4 tys. Zgony natomiast są rzadkie – ok. 20 teraz, a nawet ponad 1 tys. dziennie w kwietniu. Znowu zatem widać zmianę proporcji.

Dla porównania na Tajwanie, chwalonym wielokrotnie jako doskonały model walki z epidemią, ostatnio większą liczbę przypadków dziennych – siedem – odnotowano na początku sierpnia. Od tego czasu zdarzały się dni bez zakażeń w ogóle, a 14 sierpnia stwierdzono jedno. Aktywnych przypadków jest oficjalnie zaledwie 16. Nie umarł nikt od 11 maja, co w sumie daje niewiarygodnie wręcz siedem zgonów od początku epidemii.

Teraz Polska. Nasz rzekomy sukces w walce z koronawirusem, osiągnięty ogromnym kosztem gigantycznego

wzrostu długu publicznego i potężnego deficytu budżetowego, jest w statystykach całkowicie niewidoczny. Liczba dziennych przypadków (pamiętajmy, że to funkcja liczby przeprowadzanych testów, więc zapewne zakażeń jest wiele więcej) jest dzisiaj średnio wyraźnie wyższa niż przez cały dotychczasowy czas epidemii – relatywnie przebijamy tu nawet Hiszpanię: po 600–800 przypadków, podczas gdy w kwietniu–maju było ich po 200–300. Najwięcej zgonów przypisywanych COVID-19 (ale tu znowu pojawia się pytanie o kryteria kwalifikacji) było pod koniec kwietnia, dziś jednak zbliżamy się do podobnych liczb. 15 września były to 24 zgony.

Spójrzmy wreszcie na Szwecję. Tam najwięcej przypadków odnotowano 24 czerwca – niemal 1,7 tys. Od tego czasu nastąpił wyraźny spadek ich liczby i linia utrzymuje się niemal w poziomie. 15 września stwierdzono 188 przypadków COVID-19. Zgony spadły niemal do zera z rekordowej liczby ponad 110 dziennie w połowie kwietnia. We wrześniu odnotowywano po 1–3 zgony



Dziwne sposoby walki z koronawirusem

Segregacja płciowa

W Panamie już w marcu rząd zdecydował o wprowadzeniu kwarantanny, w ramach której można było opuszczać mieszkanie na dwie godziny dziennie. Tyle że we wtorki, w czwartki i soboty z domu mogli wychodzić tylko mężczyźni, a w poniedziałki, środy i piątki wyłącznie kobiety. W niedziele obowiązywał zakaz wychodzenia dla wszystkich. Po prawie dwóch miesiącach zniesiono płciową kwarantannę, zastępując ją godziną policyjną, ale w czerwcu w niektórych regionach powrócono do podziału tygodnia na dni, w których wychodzić z domu mogą kobiety, i te, które dają taką możliwość mężczyznom. Płciową kwarantannę oprotowały organizacje osób transseksualnych. Zwłaszcza po 1 kwietnia, kiedy policja zatrzymała osobę, która zmieniła płeć. Funkcjonariusze zwrócili jej uwagę, że wyszła z domu w nieodpowiedni dla swojej płci dzień.

Test dla każdego Brytyjczyka. Co tydzień

Brytyjski minister zdrowia wraz z byłym szefem tego resortu, a obecnie szefem parlamentarnej komisji zdrowia, doszli do wniosku, że tylko powszechne testy wykonywane regularnie uchronią kraj przed rozprzestrzenianiem się koronawirusa. Politycy mają plan, by testom poddać każdego z ponad 66 mln mieszkańców Wielkiej Brytanii i powtarzać te badania co tydzień. Ruszyły już pilotaże powszechnych testów m.in. w Southampton, gdzie regularnym badaniom poddawani są uczniowie i studenci. O cotygodniowym testowaniu ma Brytyjczykom przypominać specjalna aplikacja.

Samoloty bez poduszek

Brazylia, w której liczba zakażonych koronawirusem zbliża się do 4,5 mln, postanowiła walczyć z zarazą, eliminując z samolotów poduszki. Od 6 sierpnia podróżujący z i do Brazylii nie tylko nie dostaną poduszki od linii lotniczej, lecz także na pokładzie nie będą mogli korzystać z własnej. Podróżnego, który przemyci dmuchanego rogała pod głowę, mogą czekać na pokładzie nieprzyjemności. Zwyczajowo poduszki, które dostają pasażerowie, są dezynfekowane i pakowane w folię, więc trudno zrozumieć sens nowej regulacji. Zwłaszcza że nie zakazano koczeków, a w klasie biznes z braku poduszek podróżni otrzymają dodatkowy komplet pościeli pod głowę.

Seks koniecznie w maseczce

W czerwcu wydział zdrowia miasta Nowy Jork postanowił wydać mieszkańcom instrukcje dotyczące uprawiania seksu. „Jesteś swoim najbezpieczniejszym partnerem seksualnym. Masturbacja nie doprowadzi do rozprzestrzeniania się COVID-19, zwłaszcza jeśli umyjesz ręce” – czytamy w dokumencie, który jako bezpieczny zaleca też wirtualny seks. Tym, którzy się na te opcje nie zdecydują, wydział zdrowia doradza w pierwszej kolejności partnerów z własnego gospodarstwa domowego. Tym, którzy szukają kogoś poza domem, nowojorski magistrat zaleca m.in. unikanie pocałunków, seks w masce i poszukiwanie pozycji, które pozwolą na uniknięcie kontaktu twarzą w twarz. Bliźniacze zalecenia wydały w lipcu władze kanadyjskiej prowincji Kolumbia Brytyjska.

Najdłuższy lockdown świata

Pierwszy przypadek zakażenia koronawirusem odnotowano w Argentynie 3 marca. 19 marca prezydent kraju Alberto Fernández ogłosił lockdown. Miał obowiązywać do 31 marca. Trwa do dziś. – Szkoły wciąż działają w trybie on-line, mój syn i zięć zatrudnieni w dużych hotelach od marca nie pracują. Nie jeżdżą żadne autobusy międzymiastowe, nie ma żadnego samolotu do stolicy. Czekamy na kryzys ekonomiczny gorszy od tego z 2001 r. – mówi nam Rosa, mieszkanka północnej prowincji Misiones. Za to Argentyna prowadzi w konkurencji „najdłuższa kwarantanna świata”.

oprac. Agnieszka Niewińska

dziennie. W ciężkim stanie jest ledwo kilkanaście osób.

Jednocześnie w Polsce zaczęło się dziać to, co łatwo było przewidzieć: wraz z powrotem dzieci do szkół zaczęło się szafowanie kwarantanną. 16 września objętych nią było 94 tys. osób i z pewnością nie jest to koniec. Nadzorem epidemicznym objętych było ok. 8 tys. osób. W sumie ponad 100 tys. Zarazem w stanie ciężkim, a więc pod respiratorami (nie mylić z ciężkim przebiegiem, bo ten niekoniecznie wymaga podłączenia do respiratora), było w całym kraju 86 osób.

Tyle podstawowe fakty. Jeśli spojrzeć na sytuację z dystansu, to widać, że coś tu zdecydowanie nie gra. Mimo radykalnego ponownego wzrostu liczby przypadków w najbardziej dotkniętych epidemią europejskich krajach nie widać proporcjonalnego wzrostu liczby zgonów. Dla tej prawidłowości nie ma na razie wytłumaczenia.

SZWEDZKI KOSZT

W Polsce coraz głośniejsze są komentarze, że ogromny wysiłek finansowy,

bankructwa, ograniczanie wolności obywatelskich – słowem wszystko to, co mieliśmy w marcu i kwietniu, zostało może nawet nie tyle zmarnowane, ile było zwyczajnie niepotrzebne. Kraj

działa w dużej mierze normalnie, liczba zakażonych idzie w górę, liczba zgonów pozostaje na mniej więcej stałym poziomie, podobnie jak liczba ciężkich, respiratorowych przypadków.

■ Szwecja to europejskie enfant terrible koronawirusowej strategii. Główny epidemiolog kraju, Anders Tegnell, również w Polsce przez niektórych uznawany jest za bezwzględnie eugenika i zwolennika taktyki polegającej na pozbywaniu się słabych. Faktycznie, szwedzka śmiertelność w stosunku do populacji była wysoka. Tyle że Szwecja, nie zaostrzywszy przecież reżimu, dzisiaj wydaje się przechodzić suchą nogą przez to, co wygląda na drugą falę zakażeń, podczas gdy my – jeśli patrzeć jedynie na liczbę zakażonych – powoli się topimy.

W rozmowie z „The Financial Times”, który opublikował ostatnio obszerny tekst o szwedzkim przypadku, Tegnell utrzymuje, że budowanie słynnej odporności stadnej nie było jego celem, ale twierdzi też, że ma ona z pewnością swój udział w obecnej sytuacji. W ocenie lockdownów takich jak polski z marca i kwietnia Tegnell jest niewzruszony: „To jak zabijanie muchy młotkiem” – stwierdza w rozmowie z „FT”. Główny szwedzki epidemiolog stoi też w jawnej opozycji wobec głośnej kilka miesięcy temu koncepcji nomen omen „młotka i tańca”: najpierw uderzamy w epidemię lockdownem, a następnie „tańczymy”, to wzmacniając obostrzenia, to je luzując, w miarę potrzeby. Zdaniem Tegnella to absurd. „Nie da się otwierać i zamykać szkół. To będzie katastrofa – mówi. – Podobnie jak prawdopodobnie nie da się zamykać i otwierać restauracji i podobnych miejsc zbyt wiele razy. Raz czy dwa, może tak. Potem jednak ludzie się tym zmęczą, a biznesy prawdopodobnie ucierpią bardziej, niż gdyby zamknąć je raz na dobre”.

Eksperti think tanku CEPR (Centrum Badań Polityki Ekonomicznej) ocenili w badaniu opublikowanym 31 lipca, że gdyby Szwedzi poszli w lockdown, mieliby o ok. 14 tys. mniej zakażeń (do dziś ponad 87 tys. oficjalnie stwierdzonych) i ok. 1,2 tys. mniej zgonów (w sumie do dziś jest to ponad 5,8 tys.). Mamy zatem szacunkową „wycenę” kosztu ludzkiego szwedzkiej strategii. Pozostaje natomiast pytanie o inne koszty: nie tylko finansowe, lecz także społeczne, których polski rząd nie wydawał się w ogóle uwzględniać, a które dla Tegnella były istotne, o czym wiele razy mówił.

Jeśli efektów szwedzkiej strategii w sferze ekonomicznej nie widać tak wyraźnie, to jest to skutek sytuacji u sąsiadów i partnerów handlowych. Szwecja

nie jest wszak autarkią gospodarczą. Jednak przewidywania szwedzkiego rządu są dość optymistyczne. W sierpniu stwierdzono, że spadek PKB ma sięgnąć 4,6 proc. Przypomnijmy, że w Polsce w drugim kwartale PKB spadł rok do roku o rekordowe 8,9 proc. Analitycy przewidują, że polski spadek za cały rok wyniesie ok. 4 proc. Rząd w Sztokholmie zakłada, że odbicie w przyszłym roku będzie bardzo przyzwolite i wzrost PKB wyniesie 4,1 proc. W Polsce – według szacunków agencji Fitch – wzrost miałby sięgnąć 4,5 proc. Pamiętajmy jednak, że Polska poniosła ogromne koszty, których Szwedzi nie ponieśli. Efekt zaś jest niemal identyczny.

MASECZKOWE ZAMIESZANIE

O ile szwedzka strategia postępowania z epidemią jest jasna i przejrzysta, o tyle polską w ogóle trudno dziś zdefiniować. Nie jest klarowna nawet kwestia noszenia maseczek. Sąd skazał niedawno sprzedawczynię, która odmówiła sprzedaży osobie bez maseczki, choć zarazem obowiązuje rozporządzenie, które nakazuje to w zamkniętych przestrzeniach. W kinie premier pokazuje się bez zakrytych nosa i ust, ale przed każdym seansem zobaczymy komunikat, że jest to konieczne. Mimo to wiele osób maseczki nie używa.

Wciąż obowiązuje przepis nakazujący mieć na twarzy maseczkę, jeśli jedzie się samochodem z osobą, z którą się nie mieszka. Zdarzało mi się wielokrotnie podwozić znajomych, z którymi następnie siedziałem przy jednym stole w studiu albo w kawiarni czy restauracji. W aucie powinniśmy mieć zakryte twarze, ale już chwilę później, siedząc obok siebie, już nie mamy tego obowiązku. To jawny absurd.

Co do skuteczności maseczek podzielone są nie tylko opinie, lecz także wyniki badań. W czerwcu portal MedOnet przywoływał analizy z Niemiec, Wielkiej Brytanii i USA, z których wynikało, że noszenie maseczek radykalnie ogranicza rozprzestrzenianie się wirusa. Z kolei bardzo ciekawe badanie amerykańskiego Krajowego Biura Badań Ekonomicznych z sierpnia, na podstawie danych z krajów i stanów USA o minimum tysiącach zgonów z powodu COVID-19 na koniec lipca, stawia w zasadzie rewolucyjną tezę, że rozwój epidemii jest niemal niezależny nie tylko od reguł takich jak nakaz noszenia maseczek, lecz także od tego, czy

zarządzono lockdown czy nie. Generalna reguła ma być taka, że około miesiąca po przekroczeniu progu 25 zgonów dziennie ich liczba na dzień przestaje rosnąć. Niezależnie od tego, jaką strategię obrał dany region.

Minister Adam Niedzielski szybko zaczął zmieniać skrajnie niemądre zasady przetrzymywania ludzi na kwarantannie, wprowadzone za poprzednika, których skutkiem była izolacja trwająca w niektórych przypadkach całymi tygodniami. Nie zmienia to jednak wytycznych dotyczących samego wysyłania obywateli na 10-dniową obecnie kwarantannę. Pomijając już to, że podstawą do tego powinno być doręczenie pisemnej decyzji, a nie telefon spod nieznanego numeru, gdy po drugiej stronie ktoś przedstawia się jako sanepid. Równie dobrze może to być jakiś przypadkowy kawalarz i w zasadzie powinniśmy się w takiej sytuacji rozłączyć.

Osoba wysyłana na kwarantannę, zanim zamknie się w domu na 10 dni, może mieć jeszcze po drodze kontakt z wieloma innymi, bo przecież do mieszkania trzeba jakoś dotrzeć. Tego już nikt nie pilnuje. Najistotniejsze jest jednak, że „wirus” kwarantanny wydaje się rozprzestrzeniać szybciej niż SARS-CoV-2. Przy czym nie ma w tym za grosz logiki.

SZAŁ KWARANTANNY

Czytelnicy przesyłają mi opowieści o własnych doświadczeniach, głównie związanych z edukacją, bo to tam – jak łatwo było przewidzieć – szerzy się kwarantanna epidemia. Oto relacja jednego z nich:

„W niedzielę [13 września] mój syn dowiedział się z klasowej grupy na FB, że koleżanka ma koronawirusa. Oczywiście nie dostał żadnej informacji ze szkoły i w poniedziałek normalnie pojechał do szkoły. O godzinie 12 dostałem od niego wiadomość, że mam go zabrać ze szkoły, bo mamy trafić na kwarantannę na 10 dni. Na miejscu dowiedziałem się, że chorej dziewczyny w szkole nie ma już od wtorku 8 września. Po godzinie 14 żona i ja dostaliśmy informację z sanepidu, że całą pięcioosobową rodziną idziemy na kwarantannę. Moja żona pracuje w przedszkolu jako wychowawca, ja pracuję, jeżdżąc po wielu firmach i spotykam wiele osób. Zamknięto na kwarantannie klasę i nauczycieli, którzy ją uczyli, ale przecież ci sami nauczyciele uczyli też inne klasy, których

już na kwarantannę nie wysłano. Kome-dia” – konkluduje mój czytelnik.

Ten absurd potwierdza inny mój korespondent, którego młodszy brat, jeszcze uczeń, również trafił na kwarantannę razem ze wszystkimi kolegami z klasy i ich rodzinami – w sumie około stu osób. Jak jednak zauważa czytelnik, nie zostali już odizolowani inni uczniowie, których uczyli ci sami nauczyciele. Gdzie tu sens? Gdzie logika? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że masowe wysyłanie ludzi na kwarantannę nie buduje zaufania do służby zdrowia. Wskazuje na to od dawna dr Paweł Basiukiewicz (o którego odważnych poglądach, za które przyszło mu zapłacić niechęcią środowiska, pisałem już w „Do Rzeczy”), który skrócenie kwarantanny uznaje za dobry krok, ale wielokrotnie wspominał, że przepisy o obowiązkowej izolacji powinny zostać po prostu zniesione. Ponieważ jednak przepisy zostały zachowane, „nadal będzie istniał strach pacjenta przed lekarzem (czy szerzej – kontaktem z ochroną zdrowia), strach lekarza przed pacjentem oraz wzajemny strach ludzi przed sobą” – uważa dr Basiukiewicz.

W ramach zapobiegania rozwojowi epidemii rząd ma dla nas jeszcze aplikację ProteGO Safe, która w teorii miała być znakomitym narzędziem ostrzegania przed spotkaniem (a właściwie – po spotkaniu) z osobą zakażoną.

FIASKO APLIKACJI

Od samego początku budziła jednak ogromne wątpliwości, jeśli chodzi o kwestie prywatności, pożerania baterii telefonu, wewnętrznej struktury. Ostatecznie, mimo że jest reklamowana w różnych oficjalnych kanałach, okazała się porażką – przede wszystkim dlatego, że aby tego typu narzędzie zadziałało, musiałyby zostać zainstalowane przez co najmniej kilka milionów osób, które w dodatku używałyby go zgodnie z przeznaczeniem. A nawet to nie jest łatwe, bo aplikacja jest nieprzyjazna dla użytkownika i do prawidłowego działania wymaga przejścia przez skomplikowane ustawienia. Dzisiaj Ministerstwo Cyfryzacji chwali się, że ProteGO Safe zainstalowało raptem ok. 500 tys. osób, przy czym można założyć, że wiele z nich po zainstalowaniu nie uruchomiło niezbędnych funkcji. W ten sposób wyrzucano w błoto 2 mln zł.

Wszystko to oczywiście nie oznacza, że COVID-19 nie ma ciężkich przebiegów lub że ludzie na niego nie umierają. Takie przypadki są, tak jak są przy wielu innych chorobach (o swoim przypadku COVID-19 na stronie 93 pisze nasz felietonista Igor Zalewski). Tymczasem powinniśmy wszystko widzieć w odpowiedniej perspektywie. Bardzo złowroźnie brzmią dane o diagnozach nowotworowych od momentu przejścia służby zdrowia w tryb COVID-owy. Tylko od marca do maja wydano o 25 proc. mniej kart uprawniających do szybkiej nowotworowej ścieżki diagnostycznej. Zawałów serca wykryto mniej o 30 proc., wyraźnie mniej osób trafiło do szpitali z udarami. Oczywiście Polacy nie przestali w cudowny sposób chorować – to wszystko rezultaty zafiksowania się służby zdrowia na epidemii koronawirusa.

Pełne skutki będziemy mogli ocenić dopiero za dłuższy czas. O jednym trzeba pamiętać: walka z epidemią nie może się odbywać na zasadzie ponoszenia każdego kosztu, „byle uratować choć jedno życie”, bo później może się okazać, że zapłaciliśmy absurdalnie drogo za uniknięcie problemu, który nie był tego wart.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Dzięki zaawansowanym technologiom CITIZEN od lat proponuje niezawodne zegarki dla lotników. Wyposażone w suwak logarytmiczny ułatwiają dokonanie wielu niezbędnych obliczeń. Wskazują kilka stref czasowych jednocześnie. Zdobiąc nadgarstek pilota, stanowią zatem ważne urządzenie na pokładzie samolotu. Prezentowany wyjątkowy model to zegarek z kolekcji Promaster – zasilany światłem (Eco-Drive), synchronizowany radiowo (Radio Controlled), z piękną niebieską tarczą nawiązującą do koloru nieba, po którym poruszają się samoloty. BLUE ANGELS to specjalna amerykańska edycja zegarków CITIZEN charakteryzująca się niezwykłą precyzją oraz gracją nawiązującą do umiejętności elitarnych eskadr zespołu akrobacyjnego Marynarki Stanów Zjednoczonych o tej właśnie nazwie. Ten uniwersalny czasomierz o poziomie wodoszczelności 200 m zagości na nadgarstkach nie tylko fanów lotnictwa.

JY8085-50L (2790 zł)

citizen.pl





FOT. ADRIAN STOK

Odsunięci od lekarzy



Łukasz Zboralski

Teleporady dla pacjentów oznaczają wiele kłopotów. Dlaczego ludzie mogli wrócić do zakładów pracy, dzieci do szkół, ale pacjenci do lekarzy wciąż nie mogą?

Czas, gdy nikt nie wiedział jeszcze, w jakim kierunku rozwinię się pandemia COVID-19, wymusił totalne zamknięcie. Lockdown z dnia na dzień przeniósł Polaków w inny wymiar życia, także w sferze kontaktów z lekarzami. I choć pandemia inaczej, niż się zapowiadało – gdy np. w Hiszpanii umierało ponad tysiąc osób dziennie – przez prawdopodobną mutację wirusa rozwinęła się w nadzwyczaj łagodny sposób, to

pacjenci nadal lekarza podstawowej opieki zdrowotnej mogą „odwiedzić” jedynie przez słuchawkę telefoniczną. Tymczasem np. dentyistów (podczas prywatnych wizyt oczywiście) odwiedzają wciąż osobiście, bez maseczki podczas zabiegu, i gabinety dentystryczne nie są masowo zamykane z powodu zachorowań.

Sprawa osobistego kontaktu z lekarzem nie jest oczywiście jednowymiarowa. Prawdą jest bowiem, że część osób przychodzących do swoich miejscowych poradni NFZ przybywała tam albo bez prawdziwej potrzeby, albo z tak błahą sprawą, że jedynie zajmowane były czas i miejsce innym pacjentom. Dość dobrze pokazał to system wypróbowany w Czechach, gdzie pacjenci musieli ponosić niewielkie dopłaty za wizytę w publicznej przychodni. Natychmiast odcieło to od przychodzenia tych, którzy mogli poradzić sobie płukaniem gardła wodą z solą, albo emerytów, którzy mogli przychodzić tam bardziej

w celach towarzyskich. Obecnie dopłaty pozostały jedynie w szpitalach i przy nieuzasadnionym zabieraniu czasu lekarzom na ostrym dyżurze – np. problemem, który może następnego dnia spokojnie rozwiązać lekarz rodzinny – pacjent musi dopłacić niewielką kwotę. To z kolei rozładowało Czechem system pomocy nagłej. W Polsce nadal jest on jedyną drogą dla pacjentów, którzy do specjalistów zapisywani są z wieloletnimi terminami wizyt.

Paradoksalnie rzadsze pobyty w szpitalach też mogą wiązać się czasem z mniejszą liczbą problemów. Wskazywały na to na przykład dane podawane podczas obchodzonego w ubiegłym tygodniu Światowego Dnia Sepsy. Otóż na zakażenie krwi według WHO umiera co roku na świecie ok. 11 mln osób, a wiele z tych zakażeń bierze się ze szpitali. W samych Niemczech, które na tle Europy mają z tym najpoważniejszy problem, umiera rocznie blisko 100 tys. osób, czyli jedna

trzecia wszystkich zakażonych. Z kolei – jak wynikało z badań w 2016 r. – blisko 60 proc. pacjentów w Niemczech nabawiło się sepsy w szpitalach.

Jednak dla każdego chorego człowieka – mimo całego ryzyka kontaktu ze służbą zdrowia, bo pamiętajmy, że nawet zwykły zastrzyk wiąże się z ryzykiem i przy każdej procedurze medycznej należy podpisać świadomą zgodę na możliwe jej konsekwencje – kontakt z lekarzem jest czymś w życiu najistotniejszym. Bez tego w skrajnych przypadkach nie ma możliwości ocalenia życia, a w łagodniejszych – jego życie nękane chorobą staje się bardzo trudne. Taki kontakt z lekarzem polscy pacjenci mają utrudniony już od miesięcy.

HALO? PANIE DOKTORZE!

Nawet w świetle oficjalnych danych rządowych sprawa teleporad medycznych jest co najmniej kłopotliwa. Wiadomo bowiem, że aż 80 proc. lekarskich konsultacji w pandemii odbywa się bez osobistego kontaktu z pacjentem. Z badania przeprowadzonego przez NFZ (na prawie 14 tys. pacjentów, którzy korzystali ze świadczeń lekarzy POZ) wynika też, że zdecydowana większość pacjentów twierdziła, iż ich problem zdrowotny udało się w ten sposób rozwiązać. Jednak nie wszyscy. Spośród tych, których problemu teleporada nie rozwiązała, prawie 60 proc. otrzymało propozycję osobistej wizyty (nie wiemy, czy z niej skorzystało). A ponad 40 proc. ludzi, których problemów lekarz nie rozwiązał przez telefon, pozostało bez możliwości opowiedzenia o chorobie w cztery czy podczas osobistego spotkania.

Z ankiet trudno też się dowiedzieć o teleporadach tego, co się z nimi kryje. – To nie chodzi już tylko o to, że u nas lekarz nie przyjmuje w poradni osobiste – opowiada pani Elżbieta, emerytka z Kujawsko-Pomorskiego. – Nawet te teleporady nie są dostępne od razu. Mnie ostatnio powiedziano, że będę mogła zadzwonić do lekarza za dwa dni. To chyba nie działa dobrze, prawda? – pyta. I dodaje: – Tymczasem okazało się, że potrzebny był mi stent w tętnicy, bo groził mi rozległy zawał. Miałam szczęście, że ostatecznie trafiłam na czujnego kardiologa.

Okazuje się, że wcale dużo bardziej pomocne nie są prywatne wizyty. Tu wprowadzie lekarze, którzy zarabiają niemałe pieniądze, są bardziej skłonni

przyjąć pacjenta w gabinecie. Jednak też nie jest to tak powszechne jak przed pandemią. – Mam duży problem ze skórą i podczas pandemii dobijałem się o pomoc do lekarza dermatologa – relacjonuje pan Marek (prosi o zmianę imienia i niepodawanie miejscowości zamieszkania). – To wywalczyłem jedynie płatną prywatną teleporadę. Lekarz mnie nie oglądał, oglądał zdjęcia, które córka pomogła mi wysłać smartfonem. Za wizytę musiałem wcześniej zapłacić przelewem – opisuje.

Łatwo nie jest nawet w prywatnych lecznicach, które z powodu trudności z dostępem do specjalistów przedtem w Polsce miały świetny czas i rozkwitały, proponując abonamenty (oferowane m.in. przez firmy pracownikom).

Brak dostępności do lekarza staje się śmiertelnym zagrożeniem, zwłaszcza dla pacjentów kardiologicznych i onkologicznych

„Rzeczpospolita” opisała niedawno, jak ich pacjenci, płacący niemałe pieniądze w ramach miesięcznych abonamentów, nie mogą się doprosić umówienia wizyty i też są przekierowywani na teleporady.

W wielu przypadkach utrudniony dostęp do lekarza staje się śmiertelnym zagrożeniem. Światowa Organizacja Udaru Mózgu wskazała niedawno, że w większości krajów dotkniętych COVID-19 spadła liczba pacjentów leczonych z tego powodu. Ten niebezpieczny dla życia pacjentów trend – mogą bagatelizować objawy – zauważają też polscy specjaliści. Tutaj dodatkowym problemem jest w ogóle strach ludzi przed wizytą w szpitalu. W przypadku udaru niewzwanie pomocy i niedoczekanie się na teleporadę POZ grozić może utratą życia.

W Polsce (i nie tylko) na alarm biją też onkolodzy. Wskazują, że przy e-poradach czy teleporadach trudno jest zdiagnozować problem onkologiczny, a przy tej chorobie wczesna diagnoza znacznie zwiększa szanse na przeżycie. Już w kwietniu m.in. prof. dr hab. n. med. Bogusław Machaliński, specjalista chorób wewnętrznych, hematologii i transplantologii klinicznej, rektor Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie

wskazywał, że pacjenci z COVID zaczęli być traktowani jako pacjenci „klasy premium”, a innych – niesłusznie i groźnie – zaczęto traktować jako pacjentów „klasy ekonomicznej”.

To oczywiście znów nie tylko polski problem. Podczas niedawnego wrześniowego kongresu European Society for Medical Oncology prezentowano wyniki badania ankietowego przeprowadzonego w centrach onkologicznych 18 krajów. Wynikało z niego, że podczas pandemii w 61 proc. ośrodków badania kliniczne już spowolniły, a 37 ośrodków spodziewa się w tym roku znacznego spadku liczby badań. Z innego badania – przeprowadzonego w 356 centrach w 54 krajach – wynika, że aż 88 proc. z nich informuje o kłopotach z zapewnianiem pacjentom pomocy.

Podczas wrześniowej debaty w senackiej Komisji Zdrowia w Polsce wskazywano te problemy – zwłaszcza trudność z otrzymaniem skierowania do specjalisty przez pacjentów kardiologicznych i onkologicznych. Wiceminister zdrowia Józefa Szczurek-Żelazko zapowiedziała, że resort zamierza przywracać lepsze funkcjonowanie systemu opieki zdrowotnej. Ale kiedy przywróci? Nie wiadomo.

COŚ NA PLUS

Jest za to jeden plus pandemicznej zdalnej opieki nad ludźmi. Poprawia się kondycja finansowa placówek zdrowia. Zapewniający podstawową opiekę zdrowotną otrzymują tzw. stawkę kapitacyjną – to określona kwota na pacjenta (zróżnicowana pod względem wieku), którą lekarz POZ dostaje na rok na jednego zapisanego u siebie pacjenta. Z tej stawki lekarz musi też pokryć zlecane przez siebie badania (stąd przecież niechęć do diagnostyki). Znacznie mniejsza liczba porad oznacza znacznie więcej niewydatnych pieniędzy.

Okazało się też, że dobrze na leczeniu pacjentów wyszły szpitale przekształcone w jednoimienne – przyjmujące pacjentów z COVID z dużych obszarów kraju. Najlepszym przykładem jest najbardziej zadłużony szpital w Polsce – w Grudziądzu, którego długi sięgają pół miliarda złotych. Podczas pandemii szpital ten po raz pierwszy od lat zaczął przynosić zyski i jego zadłużenie nie wzrosło, ale zmalało o 30 mln zł (choć należy dodać, że przeprowadził też restrukturyzację i wdrożył oszczędności).

Zarabianie sporych pieniędzy w czasach kryzysu budzi tradycyjnie podejrzliwość, gdyż dla zdecydowanej większości przedsiębiorstw przetrwanie ostatnich miesięcy było niekiedy naprawdę sporym wyzwaniem. Świetne wyniki niektórych firm to jednak zwyczajnie efekt znalezienia się we właściwym czasie na właściwym miejscu. Koronawirus wyniósł liczne firmy na szczyt, a w przypadku niektórych ich właściciele wprowadził dodatkowo na listę najbogatszych Polaków.

GIEŁDOWY SUKCES „COVID-OWCÓW”

Na warszawskiej giełdzie firmy, które „wystrzeliły” wraz z pandemią koronawirusa, określa się mianem „spółek COVID-owych”. Część z nich nie rokowała wcześniej w żaden szczególny sposób, lecz od początku marca ceny ich akcji wzrosły niekiedy aż o kilkaset procent (rekordziści zaliczyli wzrost nawet o kilka tysięcy procent). Jak zwykle przy tego rodzaju wzrostach istnieje obawa, czy „owczy pęd” inwestorów jest tak naprawdę uzasadniony, lecz nawet w przypadku stopniowego rozwiązania problemu z koronawirusem spółki te będą jeszcze przez dłuższy czas mogły liczyć na solidny zarobek.

Tego rodzaju przedsiębiorstwem jest choćby Biomed z siedzibą w Lublinie, który zasłynął produkcją autorskiego leku na koronawirusa na bazie osocza ozdrowieńców. Od początku roku cena akcji spółki wzrosła prawie 20-krotnie i dopiero w sierpniu zaliczyła pierwsze wyraźne spadki. Biomed jest dziś wyceniany wyżej niż choćby PKP Cargo, choć trudno w ogóle porównywać skalę działalności obu firm. W chwili, gdy powstaje ten tekst, produkcja obiecującego leku jest wciąż na etapie przygotowań, lecz dotychczasowe sukcesy w jego stosowaniu pozwalają sądzić, że specjalizująca się w produkcji surowic i szczepionek firma jest wręcz skazana na sukces komercyjny.

AWANS NA LISTĘ MILIARDERÓW

Jeszcze większą sławę niż Biomed zyskała krakowska firma Mercator Medical, która stała się wręcz symbolem sukcesu w dobie COVID-19. Jeszcze w marcu cena jej akcji wynosiła tylko 10 zł, a w sierpniu wzrosła do ponad 300 zł. Prezes i udziałowiec Mercatora Wiesław Żywnowski stał się w ten sposób w ciągu zaledwie kilku miesięcy miliarderem, gdyż należący do niego pakiet akcji przekroczył już wartość 2,5 mld zł. Dzięki temu znajdzie się zapew-



Biznes w epoce COVID-19



Jakub Wozinski

Koronawirus stworzył wielu firmom na całym świecie okazję do fantastycznych zarobków. Także w Polsce firmy notowały ogromne wzrosty, a ich właściciele zostawali miliarderami

ne w drugiej bądź trzeciej dziesiątce kolejnego rankingu najbogatszych Polaków.

Mercator Medical produkuje przede wszystkim rękawice nitrylowe, ale także wszelkiego rodzaju środki ochronne, bez których ciężko wyobrazić sobie funkcjonowanie wszelkiego rodzaju placówek w świetle obowiązujących obecnie przepisów sanitarnych. Do krakowskiej spółki należy oddział produkcyjny w Tajlandii, który umożliwia realizowanie wycenianych na setki milionów złotych umów na dostawę rękawic. Jeszcze rok temu firma raportowała w drugim kwartale o zysku rzędu 1,2 mln zł – w 2020 r. wzrósł on aż do 200,9 mln zł. W pewnym okresie Mercator Medical był drugą będącą najczęściej obiektem obrotu spółką na GPW. Właściciel firmy tonuje jednak nastroje i pomimo planowanych nowych inwestycji w Tajlandii sugeruje, że należy przygotować się na czas, gdy koronawirus przycichnie.

Inną z gwiazd giełdowego parkietu, choć nie mogącą się poszczycić aż tak wielkimi

sukcesami, jest firma PCC Exol z Brzegu Dolnego. Zajmuje się produkcją m.in. chemii przemysłowej oraz środków do dezynfekcji. W jej przypadku szczyt wzrostów już jednak raczej przeminął, choć okresowo inwestorzy mogli liczyć na krociowe zyski. Prezes firmy Rafał Zdon przyznaje, że ostatnich miesiące przyniosły wiele pozytywnych skutków: „Pierwsze półrocze 2020 r. było dla nas korzystne, mimo tak wielu niewiadomych i wystąpienia negatywnych czynników zewnętrznych, związanych z pandemią COVID-19, w tym częściowym zamrożeniem gospodarki. Można stwierdzić, że spółka nie odnotowała bezpośrednio istotnych skutków pandemii i osiągnęła dobre wyniki”. Obecnie popyt na surowce potrzebne do produkcji detergentów czy środków dezynfekujących powrócił do poziomu sprzed pandemii.

Dokonując przeglądu firm, którym koronawirus pozwolił dokonać przełomu, nie sposób nie wspomnieć o spółce BioMaxima. Od pewnego czasu wprowadza ona na

rynek testy molekularne do wykrywania koronawirusa, które sprzedaje już nie tylko w Polsce, lecz także za granicą. Prezes zarządu firmy, Łukasz Urban, przyznaje, że od kiedy francuski Instytut Pasteur wydał dla produkowanych przez BioMaximę testów pozytywną ocenę, zainteresowanie nimi jest spore. Firma nie należy do wielkich, jednakże jej specjalizacja pozwala sądzić, że w najbliższych miesiącach może liczyć na korzystne warunki do rozwoju. Już teraz jej przychody z eksportu w pierwszym półroczu wzrosły aż o 167,7 proc.

Zwiększone wielokrotnie zapotrzebowanie na środki higieny, maseczki i inne akcesoria potrzebne w szpitalach pozwoliło także na wielki zarobek wielu mniejszym pośrednikom i hurtownikom, którzy nie są notowani na giełdzie. Ceny fartuchów czy ubrań chirurgicznych są wciąż nawet trzykrotnie wyższe niż jeszcze na początku roku, choć zakłady produkcyjne znacząco zwiększyły moce przerobowe.

SMARTFONOWA MANIA SPEKULACYJNA

Nad wyraz pomyślne zarobki w związku z ogromną zmiennością kursów udało się w ostatnim czasie osiągnąć także giełdowym brokerom. Jednym z nich jest firma XTB specjalizująca się m.in. w rynku Forex (czyli rynku walutowym). Największy polski broker osiągnął ogromny wzrost zysków, które w samym tylko pierwszym kwartale zwiększyły się o blisko 140 mln zł w porównaniu z analogicznym okresem w roku poprzednim. Znaczny wzrost zainteresowania giełdową spekulacją to nie tylko polska specjalność, lecz także trend światowy. W Stanach Zjednoczonych rekordy popularności bije aplikacja Robin Hood, która umożliwia grę na giełdzie bez żadnych prowizji i która przyciągnęła już kilkanaście milionów użytkowników, przede wszystkim z młodego pokolenia. XTB oferuje swoje usługi także klientom zagranicznym, i to właśnie ich zainteresowanie zapracowało na to, że broker cieszy się dziś z rekordowego kursu swoich akcji.

Na swoją kondycję finansową narzekają nie mogą także internetowe platformy oferujące dowóz jedzenia bezpośrednio do klienta. Właściciel marki Pyszne.pl, grupa Just Eat Takeaway.com, ogłosiła niedawno, że zanotowała wzrost przychodów aż o 44 proc. Trudno oszacować, jak wielki w tym udział miała polska marka, lecz z całą pewnością był on spory. Podobnie jak w przypadku marki Uber Eats, która wprawdzie niedawno ogłosiła wycofa-

nie się z Czech, Rumunii i kilku innych krajów, lecz w Polsce wiedzie jej się bardzo pomyślnie. Na zwiększone przychody nie narzekają także inne wiodące serwisy, choćby Glovo czy Bolt Food.

POLACY NA E-ZAKUPACH

Ożywienie w handlu widoczne jest także w jego internetowej odmianie. Obecnie szacuje się, że udział całej branży w handlu detalicznym wzrósł w Polsce w następstwie zamieszania związanego z COVID-19 z 5 proc. do aż 12 proc. Koronawirus sprawił, że wiele osób po raz pierwszy zaczęło kupować w sieci ubrania czy sprzęt elektroniczny i dzięki temu przekonało się do tego sposobu robienia zakupów. Chociaż w kryzysowych tygodniach wiele sklepów internetowych znajdowało się w bardzo nieciekawej sytuacji w związku z drastycznym spadkiem popytu, to obecna koniunktura w większości zrekompensowała wcześniejsze kłopoty. E-sklepy potentatów polskiego rynku elektronicznego, takich jak Media Expert czy Euro RTV AGD, zanotowały w okresie pandemii wzrost liczby użytkowników o ponad 25 proc. Dzięki temu jeszcze bardziej umocniły się w czołówce najbardziej popularnych serwisów e-handlu w kraju.

Mimo wszystko w przypadku wiodących sieci oferujących sprzęt elektroniczny mówienie o wielkich korzyściach odniesionych przy okazji zamieszania związanego z koronawirusem byłoby pewnym nadużyciem. Właściciel sieci Media Markt zapowiedział niedawno, że w całej Europie konieczne będą redukcja zatrudnienia i zamknięcie wybranych sklepów. Z podobnymi zamiarami noszą się także zarządy innych znanych sieci. Oznacza to, że coraz większą rolę w strukturze ich przychodów zaczynają odgrywać te generowane przez sklepy internetowe. Już dziś mówi się o tym, że ostatnie półrocze przyczyniło się do swego rodzaju rewolucji cyfrowej wśród Polaków, dlatego miejsce placówek stacjonarnych zaczęły przejmować coraz szybciej e-sklepy.

Na Giełdzie Papierów Wartościowych nie słabnie wciąż zainteresowanie akcjami CD Projektu, którego akcje w lipcu drożały najszybciej spośród wszystkich spółek głównego indeksu WIG20. Pandemia koronawirusa okazała się korzystna dla całej polskiej branży gamingowej, która staje się powoli naszą narodową specjalnością. Łączna wartość rynkowa spółek produkujących gry komputerowe wynosi obecnie blisko 23 mld zł, z czego ok. 20 mld

przypada na producenta gry „Wiedźmin”. To spora dysproporcja, choć w ciągu ostatnich kilku miesięcy pozostali producenci, choćby PlayWay czy Ten Square Games, nie mogą narzekać, gdyż ich przychody w pandemicznych miesiącach rosły skokowo. O świetnej kondycji polskiej branży producentów gier świadczy także to, że niedawno w jednego z nich, Movie Games, swoje pieniądze zainwestował Robert Lewandowski. Świeżo upieczony triumfator piłkarskiej Ligi Mistrzów już dziś znacząco poprawił notowania spółki.

DOBRE CZASY DLA OPERATORÓW SIECI I KURIERÓW

Konieczność izolacji i dłuższego przebywania w domach sprawiła, że o przyzwoitych zyskach mogą dziś także mówić firmy telekomunikacyjne. Jak podała sieć Orange, jej klienci rozmawiali w drugim kwartale br. o ok. 24 proc. więcej niż w analogicznym okresie poprzedniego roku. Większym zainteresowaniem cieszyło się w związku z tym również korzystanie z Internetu w urządzeniach mobilnych. Wprawdzie najwięksi operatorzy sieci komórkowych w Polsce musieli zamykać salony i ponosili z tego tytułu zauważalne straty, w większości przypadków dane finansowe za drugi kwartał pokazują wyraźny wzrost zysków.

Na długotrwałym lockdownie zyskały wreszcie firmy kurierskie i cała branża logistyczna. Firma InPost wynajmuje wciąż nowe powierzchnie w centrach logistycznych i pełnymi garściami czerpie z tego, że w oczach Polaków paczkomaty są wciąż najbardziej bezpiecznym środkiem odbioru zamówionych przesyłek.

Obostrzenia związane z koronawirusem pokazały z całą mocą, że forsowana od wielu lat nieustanna rewolucja cyfrowa oraz digitalizacja kolejnych obszarów życia społecznego wręcz idealnie dopasowała się do narzuconych odgórnie reguł tzw. nowej normalności. Nie dziwi więc to, że finansowymi zwycięzcami pandemii są na ogół firmy oferujące nowoczesne technologie, a także specjalizujące się w e-handlu lub e-rozrywce. Dużo gorzej poradziły sobie branży, które ze względu na swój charakter nie znajdują się nigdy w awangardzie cyfrowej rewolucji. Dopóki jednak firmy zajmujące się produkcją realnych dóbr produkcyjnych i konsumpcyjnych nie wyjdą na prostą, dopóty sukcesy przedsiębiorstw z branży gamingowej czy e-handlu mogą okazać się krótkotrwałe.

Protest rolników pod siedzibą PiS w Warszawie, 16 września 2020 r.

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS



Rafał A. Ziemkiewicz

W sejmowych kuluarach i na korytarzach w państwowych mediach da się słyszeć powtarzaną ze zgrozą, na razie szeptem, herezję, która jeszcze dwa tygodnie temu była nie do pomyślenia: „Naczelnik zniszczy nas wszystkich!”

Już po pierwszych z serii wygranych przez PiS wyborów, zwycięstwie Andrzeja Dudy w roku 2015, prof. Radosław Markowski rzucił w studiu TVN hasło: „Wieś narzuciła nam prezydenta”. Ta narracja, doskonale pasująca do wyższościowych emocji liberalnych salonów, rozbrzmiewała mocno przez całe pięć lat. Szczególnie mocno po ostatnich wyborach, kiedy to na Andrzeja Dudę zagłosowało 81 proc. rolników, a mobilizacja wyborców na terenach wiejskich przeważała mobilizację wielkomiejskiego elektoratu anty-PiS. Politycy PiS zapewniali z kolei o swej wdzięczności, budując na wsi przekonanie, że można na PiS liczyć, że to jej partia.

Niestety, wdzięczność okazała się wyrażać tylko w propagandzie – czego ostatnim przejawem był transmitowany w telewizji festyn, podczas którego władza „dziękowała polskiej wsi”. Ponieważ jednak festyn zbiegł się w czasie z „piątką dla zwierząt”, skutek był odwrotny do zamierzonego i ludowe tańce na scenie odebrano wręcz jako drwinę. Niemal z dnia na dzień miłość przeszła w zajadłą nienawiść.

FALA WŚCIEKŁOŚCI

Nastrój zdrady, zlekceważenia, a w końcu krzywdy ze strony PiS, który tyle wsi zawdzięcza, pojawił się zresztą już wcześniej – czego media, z natury bardziej „miastowe”, a tym samym i politycy nie zauważyli. Bardzo źle odebrano na wsi nowy podatek, nazwany przez władzę myląco „opłatą cukrową”. Oficjalnie miał on uderzyć w niezdrową żywność, zwłaszcza w odpowiedzialne za wiele „chorób cywilizacyjnych” słodzone napoje gazowane; w istocie

Coś w PiS pękło

uderza głównie w żywność zdrową, w polskie soki, dżemy i inne przetwory oraz w producentów owoców. Można było łatwo osiągnąć deklarowany cel, na przykład opodatkowując zamiast cukru stosowaną w napojach gazowanych izoglukozę. Tylko że jej głównym producentem na Polskę jest koncern amerykański, a i niezdrowe napoje produkują głównie amerykańskie koncerny; po licznych otwartych i nieodmiennie skutecznych interwencjach ambasador USA w obrocie amerykańskich firm fakty te zostały przez sadowników i plantatorów owoców miękkich natychmiast skojarzone.

Uderzenie w nich okazało się jednak tylko preludium do „piątki dla zwierząt”. Nieoczekiwane ogłoszenie przez samego Jarosława Kaczyńskiego (rzecz bez precedensu – prezes nie angażował się dotychczas osobiście w ogłaszanie nawet najbardziej strategicznych dla PiS ustaw) „piątki dla zwierząt” zaskoczyło wszystkich, ale wśród rolników, po pierwszej fali niedowierzania, wywołało prawdziwą wściekłość.

Nawet najbardziej zaangażowani po stronie PiS i samego Kaczyńskiego medialni wojownicy dobrej zmiany zostali

całkowicie zaskoczeni i nie wiedzieli, jak „piątki” bronić. Ostatecznie pojawiła się narracja, próbująca przekonać rolników, że „piątka” uderza jedynie w hodowców nerek, a to nie są prawdziwi rolnicy, tylko „biznesmeni”, obrzydliwie w dodatku bogaci, których bronią jedynie ludzie przekupieni.

Przedstawianie hodowców nerek jako wpływowych milionerów słabo współbrzmi z używanym równolegle argumentem, że to branża schyłkowa, marginalna i nieważna, ale propaganda nie musi być logiczna. Powinna natomiast, jeśli chce być skuteczna, liczyć się z realiami. Wieś, która – jak widać – politykom PiS wciąż jawi się jak z Reymonta, bardzo się zmieniła, a zwłaszcza bardzo się zmienili rolnicy – do tego stopnia, że sami producenci chętniej niż o rolnictwie mówią dziś o „agrobiznesie”. Słowo „biznesmen” nie jest na wsi skuteczną obelgą, a próba odgrzania przez PiS leninowskiego antagonizmu między „biedniakami” a „kułactwem” podkreśla tylko w oczach rolników ignorancję rządzących wobec ich problemów.

Narracja „futrzarzy” i ich hasło „PiS zdradził polską wieś” brzmi o wiele

bardziej przekonująco. Każdy hodowca wie, że akurat norki czy szynszyle są wśród „żywiny” arystokracją i szcześnie rżmami. Najbardziej nawet zdeprawowany i niemoralny hodowca po prostu musi traktować je dobrze, bo źle traktowane linieją i stają się bezwartościowe. Akurat w hodowli drobiu, trzody i bydła na mięso można sobie pozwolić na to, by zwierzęta były trzymane w ciasnocie albo poranione. Zwierzę hodowane na futra staje się zaś po zranieniu odpadem i przenosi się je do osobnego „ambulatorium” – takiego, jakie udało się sfilmować działaczowi „pod przykryciem” na użytek filmu portalu Onet, który to film prawdopodobnie popchnął prezesa PiS do krucjaty przeciwko „maltretowaniu zwierząt”.

POLIGON EKOTERRORYSTÓW

Dlaczego zatem akurat właśnie branżę futrzarską starają się tak zajadle zniszczyć „organizacje prozwierzęce”? Jej odpowiedź także brzmi dla agrobiznesmenów bardziej przekonująco od wersji oficjalnej: skrajna lewica wybrała nas na poligon przed planowanym całkowitym zniszczeniem produkcji zwierzęcej.

REKLAMA

Jak potoczyłaby się kampania 1939 roku, gdyby nie weszli Sowieci?

Polska mogła wygrać w 1939 roku.

Fakty, a nie historia alternatywna.



PATRONATY MEDIALNE:



Ekoterrorysty uznali, że jako stosunkowo wąski segment rynku będzie nas najłatwiej zohydzić i zniszczyć – kiedy im się to uda, przyjdzie kolej na następnych, taktyką salami, plasterek po plasterku. Nie da się zaprzeczyć, że wszystkie argumenty używane przez lewicę, a teraz także przez PiS, przeciwko „futrzarzom” mogą być użyte przeciwko wszystkim innym działom produkcji. Maltretowanie zwierząt, trzymanie ich w klatkach, smród? Żadna ferma, obora czy chlewnia się nie obroni, kiedy zabiorą się do niej sprawdzonymi na „futrzakach” metodami spin doktorzy z Vivy! czy Otwartych Klatek.

Jeśli ktoś na wsi wątpił, że obrona futer powinna być wspólną sprawą wszystkich, to przekonał go do tego sam Kaczyński, łącząc zakaz hodowli na futra z uderzeniem w branżę drobiową i eksport wołowiny. O farmach drobiowych można powiedzieć wszystko to samo co o futrzarskich, poza jednym – to na pewno nie jest branża marginalna. Przeciwnie, w eksporcie mięsa drobiowego Polska jest potęgą. A 40 proc. tego eksportu idzie na Bliski Wschód. Podobnie jak 40 proc. eksportu polskiej wołowiny. Zakaz uboju halal/koszer to więc dla tych branż katastrofa – sama informacja o planach takiego zakazu już wpędziła je w kłopoty, powodując zawirowania cen.

A kłopoty trzech branż hodowli to kryzys całego rolnictwa. To nadpodaż mięsa, upadek plantatorów dostarczających paszę, zbiednienie pracowników, nagłe koszty utylizacji odpadów poubojowych, teraz zużywanych przez hodowców futer...

Szaleństwo „piątki dla zwierząt” na tym się nie wyczerpuje. Jakby celowo chcąc podkreślić swe poparcie dla ekoterrorystów, będących od dłuższego już czasu utrapieniem dla polskiej wsi (prezes PiS mógłby przynajmniej obejrzeć TVP, gdzie w „Sprawie dla reportera” pokazywano ostatnio drastyczne przypadki napaści na gospodarstwa „ekoaktywistów”, konfiskujących „złe traktowane” zwierzęta), autorzy projektu wpisali w nią szerokie uprawnienia dla „zwierzęcego ORMO”. Pełno tu zapisów, delikatnie mówiąc, mocno nieprzemyślanych, otwierających szerokie pole nadużyć dla wszystkich, od policji, która pod pozorem troski o zwierzęta mogłaby wejść do każdego domu bez nakazu, do wszelkiego rodzaju złodziei i mafii, dla których zarejestrowanie organizacji „mającej

w statucie ochronę zwierząt” nie byłoby żadnym problemem.

Wręcz nie sposób wymienić w jednym artykule wszystkich nonsensów generowanych przez „piątkę” – ot, choćby niedawna rekonstrukcja kawalerskiej bitwy pod Komarowem, uświetniona przez marszałek Witek i z dumą pokazywana w TVP, albo by się pod rządami „piątki” odbyć nie mogła, albo rekonstruktorzy musieliby jak przedszkolaki cwałować na kijkach zwieńczonych końskim łbem, by nie naruszyć zakazu używania zwierząt „w widowiskach o charakterze rozrywkowym”.

Projekt ustawy niosącej tak ogromne skutki nie został poprzedzony żadną analizą, żadnymi konsultacjami. Napisanie skomplikowanego aktu prawnego powierzył Kaczyński partyjnej młodzieżówce, nie spytano o zdanie ani – życzliwych przecież PiS! – organizacji rolniczych, ani żadnego eksperta. Fakt, że sam minister rolnictwa po ogłoszeniu projektu ocenił go w pisemnym liście do prezesa i członków partii, dowodzi, że również jego o zdanie nie spytano, mało tego, że także już po ogłoszeniu projektu Kaczyński po prostu odmówił spotkania z nim (co zresztą potwierdzają tzw. źródła).

Na dodatek prezes PiS ogłosił ustawę w tonie apodyktycznym, fundamentalistycznym wręcz, z punktu odrzucając wszelkie zastrzeżenia i sprzeciw argumentem moralnym: kto jego „piątki” nie poprze, ten jest po prostu „złym człowiekiem”. I narzucił błyskawiczny sposób procedowania i uchwalenia nowego prawa oraz partyjną dyscyplinę, demonstracyjnie łamiąc własnej partii kręgosłup i sprowadzając posłów do roli bezwolnej klaki.

Powiedzieć, że ten moralny ton, to – de facto – zdelegalizowanie całego rolnictwa jako nikczemnego prześladowania zwierząt, godne Sylwii Spurek, wywołało w wiejskim elektoracie oburzenie, to nie powiedzieć. Jednak straty PiS bynajmniej nie ograniczają się do wsi. Nagle moralne wzmoczenie w obronie zwierząt polityka, który od lat relatywizuje kwestie ochrony życia, przedkładając ponad życie nienarodzonych dzieci polityczny pragmatyzm, wywołało wściekłość wyborców katolickich, innych wyborców prawicy rozjuszyło poddanie się PiS zagranicznemu, głównie niemieckiemu lobbingsowi, od dawna starającemu się pod hasłami „eko” zlikwidować polską konkurencję. Wreszcie wyborców libe-

rałów zbulwersowała gotowość PiS do beztraskiego, arbitralnego likwidowania w imię ideologicznej fanaberii z dnia na dzień całych dobrze prosperujących branż, doprawdy nieważne, rolniczych czy miastowych.

GORZKIE OWOCE

W PiS istnieje świadomość kosztów tego szaleństwa, którego nie sposób uzasadnić niczym innym niż powszechnie znaną miłością prezesa do „koczurów” (jak je ponoć ze staropolska nazywa) i innych zwierząt; być może także sprytną krzątanią partyjnej młodzieżówki, która tę słabość prezesa wykorzystała. Pochwał bowiem ze strony Sylwii Spurek czy Agnieszki Holland, w duchu: „Nawet Kaczyński zrozumiał, że to nasza polityka jest słuszną”, nikt chyba za polityczny sukces nie uzna – przeciwnie, dowodzą one ideowej kapitulacji przed „zmianami cywilizacyjnymi”.

Dodajmy, że równolegle zbiera już PiS gorzkie owoce podobnego szaleństwa, jakiemu uległ prezes kilka miesięcy temu, brnąc irracjonalnie do „pocztowych” wyborów w maju. Skutkiem jego ówczesnego zacietrzewienia jest 70 mln zł zmarnowanych na druk niepotrzebnych kart, miażdżący dla rządu wyrok WSA stwierdzający nielegalność działań premiera i rozpaczliwa próba ratowania się „na skróty” burzącą dla społeczeństwa ustawą o bezkarności w razie działań podjętych w imię walki z epidemią. Ustawą, podobnie jak „piątka”, coraz mocniej kontestowaną, zwłaszcza przez koalicjantów PiS, i nawet bez innych okoliczności zagrażającą jedności Zjednoczonej Prawicy. A wszystko to nakłada się na zajądłe spory o „rekonstruktywizację” rządu.

W sejmowych kuluarach i na korytarzach w państwowych mediach da się słyszeć powtarzaną ze zgrozą, na razie szeptem, herezję, która jeszcze dwa tygodnie temu była nie do pomyślenia: „Naczelnik zwariował! Zniszczy nas wszystkich!”.

Coś w PiS pęka i kończy się bezpowrotnie. W chwili, gdy oddajemy ten numer do druku, ów proces dopiero się zaczyna i nie sposób przewidzieć, jak szybko będzie przebiegał i jak daleko zajdzie. Jeśli jednak to, co robi Jarosław Kaczyński, nie jest – jak nazwała to w klasycznej pracy Barbara Tuchman – „szaleństwem władzy”, to czym jest?

KONIEC systemu

WTOREK 21:30

Zapraszam
Dorota Kania



www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl b59b780b03

To jest naprawdę potrzebne, dzieje się bardzo wiele złego i musimy, każdy dobry człowiek powinien, poprzeć tę ustawę. Ja ją popieram z całego serca” – mówi prezes PiS Jarosław Kaczyński na krótkim wideo, które pojawiło się na TikToku, jednym z najpopularniejszych wśród nastolatków portali społecznościowych.

Kilka dni wcześniej, gdy na konferencji prasowej Jarosław Kaczyński prezentował po raz pierwszy „piątkę dla zwierząt”, towarzyszył mu nieznaną szerszej publiczności Michał Moskał, szef Forum Młodych PiS, partyjnej młodzieżówki.

To nie przypadek. Wybory parlamentarne, a później prezydenckie pokazały, że PiS ma problem z przyciągnięciem do siebie najmłodszej grupy wyborców. W drugiej turze wyborów prezydenckich na Andrzeja Dudę zagłosowało 35,6 proc. osób w wieku 18–29 lat, podczas gdy 64,4 proc. oddało głos na Rafała Trzaskowskiego. Rok wcześniej w wyborach parlamentarnych na PiS głosowało 26,2 proc. najmłodszych wyborców. 24 proc. zagłosowało na Koalicję Obywatelską i aż 20,2 proc. na Konfederację.

– Szukamy rozwiązań, które mogłyby przyciągnąć do nas najmłodszych wyborców. Nie jest to łatwe, bo młodzież ma to do siebie, że jeśli się buntuje, to zazwyczaj przeciwko rządzącym. W naszej ofensywie programowej na pewno znajdują się tematy, które do części młodych trafią – przyznawał w niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy” Krzysztof Sobolewski, poseł PiS, bliski współpracownik Jarosława Kaczyńskiego. Zapytany, co konkretnie chcą zaproponować młodym, odpowiedział, że właśnie kwestie dotyczące ochrony praw zwierząt. – To jest coś, co bardzo leży na sercu młodemu pokoleniu, podobnie jak sprawy szeroko rozumianej ekologii. Mamy parę pomysłów, ale gwarancji, czy młodzi wyborcy to docenią, nie ma – dodał.

NA NIE SWOIM POLU

Mimo że gwarancji nie ma, PiS postanowił zaryzykować i na szybko zaproponować projekt ustawy zakazujący m.in. hodowli zwierząt futerkowych. Wiadomo było, że ustawa wzbudzi kontrowersje i protesty branży futrzarskiej, a także wspierających ją środowisk, m.in. o. Tadeusza Rydyzka. Prezes PiS, wrażliwy na sprawy zwierząt, uznał jednak, że lepszego momentu nie będzie – najbliższe wybory dopiero za trzy lata,



Kamila Baranowska

„Piątka dla zwierząt” to także próba otwarcia PiS na młodych wyborców. W partii wiedzą, że bez tej grupy trudno będzie wygrać następne wybory

Piątka dla młodzieży?

a przez ten czas emocje wokół tematu opadną. Twarzą projektu uczynił zaś wspomnianego Moskala, który miał uwiarygodnić projekt w oczach swoich rówieśników.

– Wątpię, czy były jakieś nowe badania mówiące, że akurat ten temat porwie młodych i sprawi, że spojrzą na nas łaskawszym okiem. Szybciej było tak, że ktoś z partii, chcąc się przypodobać prezesowi, przekonał go, by ten temat uruchomić, i dorobiono do tego narrację pod tytułem: walczymy o młodzież – komentuje polityk PiS młodego pokolenia. – Nie pomyślano tylko, że efekt może

być taki, iż młodych tym nie przekonamy, a zrazimy swój twardy elektorat. Nie tylko rolników, lecz także tych, którzy uważają, że wchodząc w jakieś lewicowo-postępowe tematy, rozmywamy swoją tożsamość – narzeka.

Narzekających na nową inicjatywę PiS pojawiło się po prawej stronie sporo. A będzie ich pewnie jeszcze więcej, gdy rzeczywiście partia Jarosława Kaczyńskiego spróbuje zająć się tematami związanymi z ekologią. Już dziś duże emocje budzą same zapowiedzi podwyżki akcyzy na używane samochody z zagranicy, mające zachęcić



Co ciekawe, obaj to politycy młodego pokolenia.

MŁODZI ZMIENNI

Podczas głosowania nad projektem ustawy wprowadzającej „piątkę Kaczyńskiego” aż 35 posłów PiS zagłosowało wbrew woli prezesa. Tak samo zagłosowała także cała Solidarna Polska. Ustawa głosami większości klubu PiS i opozycji trafiła do prac w komisji, gdzie ma zostać poprawiona. To, że zostanie uchwalona, jest raczej przesądzone. Prezes PiS jest w tej sprawie zdeterminowany i może liczyć na pomoc opozycji. Poza tym część polityków obozu rządzącego uważa, że ta ustawa ostatecznie przyniesie pewne korzyści wizerunkowe. – Na pewno pomoże w ocieplaniu wizerunku partii. PiS wciąż jest postrzegany jako partia nienowoczesna, poruszająca się w świecie jak słoń w składzie porcelany. Ten projekt pokazuje, że PiS to partia, która też ma pewną wrażliwość społeczną, rozumie zmieniającą się rzeczywistość i nie boi się podejmować trudnych tematów. To daje nam trochę punktów, a także argumentów w dyskusjach z liberałami czy lewicą – tłumaczy jeden z naszych rządowych rozmówców.

Profesor Rafał Chwedoruk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego, pozostaje sceptyczny co do możliwości pozyskania młodych wyborców „piątką dla zwierząt”. – Trudno widzieć w tym długofalowy plan, wygląda to raczej na rozpoznanie bojem, sprawdzanie, na ile można sobie pozwolić w pozyskiwaniu nowego elektoratu, by nie stracić swojego dotychczasowego – wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy”. Dodaje też, że jeśli chodzi o najmłodszy elektorat, to w ogóle trudno o planowanie długofalowe. – Młodzi mają to do siebie, że fascynacje polityczne, fascynacje tematami i zagadnieniami szybko im mijają. Jeszcze parę lat temu wśród młodzieży była moda na prawicowość. Trudne do przewidzenia jest to, czym będą żyli najmłodsi wyborcy za trzy lata – ocenia.

Trudno też, o czym przekonał się rząd PiS ostatnio, liczyć na wdzięczność tego elektoratu. Otoczenie premiera Morawieckiego do dziś dziwi się, że młodzi zupełnie nie docenili zerowego PIT dla osób do 26. roku życia, choć wydawało się, że kwestie ekonomiczne mają największą siłę przekonywania.

Profesor Chwedoruk zaznacza jednak, że z punktu widzenia PiS przejmowanie tematów takich jak ochrona praw

zwierząt czy ekologia nie jest całkiem pozbawione sensu. – Nawet jeśli nie uda się tym PiS pozyskać najmłodszej grupy wyborców, to być może uda się ograniczyć możliwości mobilizacji tego elektoratu przez przeciwnika – wyjaśnia.

PiS coraz częściej oskarżany jest o to, że chcąc przypodobać się młodym wyborcom o lewicowych poglądach, zatracą własną, konserwatywną wrażliwość

A to już i tak dużo. Politolog zwraca uwagę, że PiS miał szczęście, iż młodzi ludzie nie mieli ochoty angażować się w ostatnich latach w walkę z rządzącymi, choć opozycja próbowała ich do tego wszelkimi sposobami namówić. Gdyby w demonstracjach KOD czy licznych protestach w obronie sądów masowo wzięła udział młodzież, trudniej byłoby je ignorować. – Na razie wygląda jednak na to, że młodzi nawet jeśli nie chcą głosować na PiS, to też nie widzą się po stronie obecnej opozycji – podsumowuje prof. Chwedoruk.

NADAŻYĆ ZA WYBORCAMI

Analitycy działający na rządowo-partyjnym zapleczu wskazują też, że nie tylko najmłodszy elektorat jest dziś dla Zjednoczonej Prawicy wyzwaniem. Zwracają uwagę na raport CBOS sprzed paru miesięcy, z którego wynika, że w ciągu ostatnich sześciu lat mocno wzrósł odsetek ludzi postrzegających siebie jako klasę średnią – dziś jest to połowa badanych, aż o 10 punktów procentowych więcej niż w 2013 r. – To badanie pokazało, jak zmienia się struktura polskiego społeczeństwa. Rośnie odsetek osób definiujących się jako klasa średnia, a co za tym idzie – PiS staje się partią ludzi, którzy awansowali społecznie i mają już inne oczekiwania niż w 2015 r.

Musimy dostosować do tej nowej rzeczywistości swój przekaz i swoją politykę. Oczywiście z zachowaniem wyraźnego, twardego rysu konserwatywnego, bo tego na pewno nie odpuścimy. W każdym razie nie możemy popełnić błędów z 2007 r., kiedy nie nadażyliśmy za swoimi wyborcami i skończyło się, jak się skończyło – przypomina.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozstanie po krakowsku



Piotr Semka

Niezależnie od tego, jak skończą się rozmowy na temat rekonstrukcji rządu, wszystko wskazuje na to, że wicepremier Jadwiga Emilewicz nie znajdzie się w nowym składzie gabinetu. Politycy Zjednoczonej Prawicy uznają to już niemal za pewnik. Sama pani wicepremier wypowiada się dość ogólnikowo, ale i dość fatalistycznie



FOT. MATEUSZ MAREK/PAP

Jestem przygotowana na każdą ewentualność – przyznała Jadwiga Emilewicz w wywiadzie dla RMF FM, odnosząc się do pytań o jej przyszłość. Pytana, czy ktoś prowadził z nią rozmowy na temat jej odejścia z rządu, odpowiadała: „Nie, takich rozmów jeszcze nikt ze mną nie prowadził. Myślę, że te rozmowy trwają. Są intensywne”.

Skoro Porozumienie ma otrzymać w nowym rozdaniu tylko jeden resort, a Jarosław Kaczyński zgodził się na powrót lidera Porozumienia do gabinetu Mateusza Morawieckiego, jasne jest, że szans na kolejny resort dla Emilewicz nie ma.

Tak kończy się zapoczątkowany wiosną konflikt wiceszefowej rządu z Jarosławem Gowinem. Dlaczego przebiegł w tak ostrej formie? Co mówi nam o zasadach rządzących polską polityką?

DZIECKO SUKCESU

Jadwiga Emilewicz, rocznik 1974. Urodzona krakowianka. Do II Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Jana III

Sobieskiego – jednej z trzech najbardziej prestiżowych szkół pod Wawelem – przybywa jesienią 1989 r. Kraków jest wtedy ostro rozpolitykowany po niedawnych wyborach do pierwszego, półdemokratycznego parlamentu. Emilewicz połyka wtedy politycznego bakcyła. Jak wspominają koledzy ze szkoły, już w liceum czyta uważnie dzienniki pełne publicystycznych polemik. Dlatego mało kogo dziwi, że po zdaniu matury wybiera jako przedmiot studiów nauki polityczne na szacownej Jagiellonce.

Trafia na czas sporego ożywienia po prawej stronie. Politycy prawicy są wtedy rozbici na małe partyjki i nieźle skłóceni, ale w warstwie metapolityki dzieje się sporo. W 1996 r. zalicza nawet krótki staż w „Życiu” (z kropką) Tomasza Wołka. Jej mentorem i wprowadzającym do świata krakowskich elit jest Jarosław Gowin. To on publikuje jej pierwsze teksty w kwartalniku „Znak”, którego wówczas był szefem. Zaraz potem młodą Jadwigę wciąga Klub Jagielloński, miej-

sce ciekawych dyskusji i wybijania się ciekawych osobowości od Artura Wołka do Arkadego Rzegockiego, dziś ambasadora RP w Londynie. Emilewicz – polityczna rówieśniczka III RP – doskonale pasowała do tego okresu wielu nadziei, z którymi „jagiellończycy” wkraczali do życia publicznego. W latach 2007 i 2008 zasiadała w zarządzie Klubu Jagiellońskiego, potem została członkinią rady stowarzyszenia, a wreszcie członkiem honorowym KJ. Rywale z innych obozów zazdrościli po cichu Gowinowi, że wychował sobie tak dynamiczną, ale i dobrze przygotowaną do polityki generację młodych konserwatystów.

Emilewicz szybko przyzwyczała wszystkich, że w równym tempie podąża za swoim mentorem Jarosławem Gowinem w marszu do kolejnych instytucji. Była wykładowcą Wyższej Szkoły im. Józefa Tischnera, potem wraz z Gowinem wstąpiła do Platformy. Też wraz z nim w 2013 r. odeszła z PO i budowała partię Polska Razem. I gdy ta zawiodła

oczekiwania swoich twórców, razem z Gowinem i Polską Razem przeszła do obozu PiS.

W Krakowie pół żartem, pół serio snuto porównania kariery młodej krakowianki u boku Gowina do kariery Angeli Merkel u boku kanclerza Helmuta Kohla. Niechętni Jadwidze Emilewicz przypisywali jej chorobliwą ambicję. Życzliwi wskazywali, że jako kobieta w męskim świecie polityki musiała mieć twardsze łokcie niż inni. Nikt jednak nie podejrzewał, że to terminowanie u boku starszego o ponad dekadę Gowina zakończy się konfliktem.

WŁASNYM SZLAKIEM

Jeśli szukać gdzieś początku rozchodzenia się dróg bohaterki tego tekstu z Gowinem, to można wskazać na rok 2015. Po podwójnym zwycięstwie wyborczym PiS Jadwiga Emilewicz wchodzi do rządu Beaty Szydło. Co ważne, trafia do pionu resortów pod pieczę Mateusza Morawieckiego, a nie do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego Gowina. Zostaje podsekretarzem stanu w Ministerstwie Rozwoju. Nikt nie widzi w tym nic szczególnego. Gowin i Morawiecki pasują do siebie jako zwolennicy nadania polskiej prawicy wyraźnego, technokratycznego wizerunku. Jeśli ktoś zauważał w nominacji dla Emilewicz jakieś polityczne aspekty, to raczej odnotowywano wprowadzenie bliskiej współpracownicy Gowina do bloku ministerstw pod pieczę Morawieckiego.

To tu powstają ambitne projekty rozwoju programów produkcji samochodów elektrycznych i plany ułatwień dla start-upów. Emilewicz awansuje też w macierzystej partii – zostaje wiceprzewodniczącą Porozumienia.

W wyborach 2019 r. swój poselski mandat zdobyła w Poznaniu, gdzie wyznaczonej jej misję odbicia dla prawicy tego miasta wychylonego od pewnego czasu w lewo. Z wynikiem 43 958 głosów pobiła poprzedni wynik PiS w tym okręgu o dodatkowe 10 tys. głosów. Walczy o akceptację w Poznaniu. Jej asystenci wymyślają formułę „pikników PJE”, na które udaje się przyciągnąć wielu ludzi dotychczas omijających z dala imprezy PiS. Po wyborach w 2019 r. i w ramach drugiego rządu Morawieckiego zostaje już samodzielnym ministrem rozwoju. Drobna sylwetka nowej pani minister w eleganckiej sukience rzucała się w oczy w czasie uroczystości wręczenia nominacji rządowych 15 listopada 2019 r. w pałacu prezydenckim.

Gdy wybuchła kryzys koronawirusowy, w pełni angażuje się w pomoc w zarządzaniu walką z pandemią. Ten okres wspomina jako dni w niewielkim stopniu zauważanej chwały ekipy Morawieckiego, gdy zbawienną rolę odegrały zdecydowanie premiera i jego zdolność do podejmowania szybkich decyzji. Słowem, biegłość w „crisis management”. Zajęta pomaganiem przy utrzymaniu sprawności państwa – jak twierdzą jej współpracownicy – nie przywiązywała początkowo wagi do sporu Jarosława Gowina z Jarosławem Kaczyńskim o termin wyborów. Gowin jako swoją idée fixe przyjął pomysł przełożenia wyborów o dwa lata. Kaczyński chciał wyborów w konstytucyjnym terminie 10 maja.

Gdy 8 kwietnia Gowin podaje się do dymisji, Jadwiga Emilewicz zastępuje go.

Pęknięcie między dawnym mentorem a polityczną wychowanką następuje niedługo potem. Żyła z Morawieckim w czasie akcji antykoronawirusowej i, jak można się domyślać, ceniąc sobie awans na szczebel zastępcy szefa rządu Emilewicz ma już inną optykę niż Gowin. Dla niej jego determinacja, by nie dopuścić do wyborów w maju, zaczyna się kojarzyć z groźbą wywrócenia rządowej łódki. Nie zgadza się na logikę czołowego zderzenia Porozumienia z PiS. Próbuje pełnić funkcję mediatora, ale Gowin nie potrzebuje jej w takiej roli. Oczekuje bezwarunkowej lojalności.

Nie bardzo zdając sobie sprawę z konsekwencji takiego ruchu, Emilewicz rzuca wyzwanie Gowinowi, ogłaszając, że trzeba przyjąć PiS-owski projekt ustawy umożliwiającej głosowanie 10 maja, a potem korzystając z miesiąca przetrzymywania ustawy w Senacie, wynegocjować z PiS jakieś racjonalne wyjście z kryzysu.

Gowin uznaje to za nielojalność.

Plotki o wizytach Jadwigi Emilewicz na Nowogrodzkiej zwolennicy Jarosława Gowina tłumaczą sobie jako chęć jej przejścia do PiS ze wsparciem Jarosława Kaczyńskiego. W podobnym kierunku zdają się iść deklaracje Adama Biela – innego wiceszefa Porozumienia – o zdecydowanym wsparciu dla wyborów majowych.

W końcu 6 maja dochodzi do ugody między Kaczyńskim a Gowinem. Politycy Porozumienia odetchnęli z ulgą, ale w relacjach Gowin-Emilewicz niczego to nie zmienia. Od maja szef Porozumienia

nie rozmawia ze swoją byłą polityczną wychowanką. Dochodzić ma jedynie do wymiany SMS-ów na tematy czysto techniczne.

Co innego relacje Gowina z Bielanem. Obaj politycy po cichu zawarli pokój po burzliwym maju, uznając swoje strefy wpływów w Porozumieniu.

POLITYKA I JEJ PRAWA

Jadwiga Emilewicz nie zdecydowała się na walkę o przywództwo w partii w momencie kryzysu w swoim ugrupowaniu. Wieloletnie relacje z Jarosławem Gowinem powstrzymały ją od takich planów. Skupiona na technokratycznych zadaniach, nie miała też wystarczająco doświadczonego grona współpracowników, by zawalczyć o przeciągnięcie większości klubu na swoją stronę.

Jednak reakcja Gowina na „zdradę” była i jest nieugięta. Znawcy życia partyjnego twierdzą, że takie są wilcze prawa polityki. Tym bardziej że Gowinowi sprzyja rozwój wydarzeń. Po fiasku rozmów sondażowych z PSL Porozumienie nadal jest niezbędne Jarosławowi Kaczyńskiemu do utrzymania większości sejmowej.

Sama Emilewicz, jeśli wierzyć jej otoczeniu, przeżyła zerwanie z Gowinem bardzo osobiście. Wbrew liczным pogłoskom nie wybiera się na razie do PiS. Nie chce też dać się łatwo wypchnąć z Porozumienia.

„Ja się nie wybieram do biznesu – mówiła w RMF FM. – Nie jadę do Konina, jak niektórzy sugerowali. Także nie wybieram się do Londynu, do Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Moje plany na najbliższe trzy lata są związane z aktywnością parlamentarną i tę mam zamiar wypełniać”.

Doświadczeni w polityce krakusi zachęcają, by nie spisywać jej zbyt pochopnie na straty. „W życiu nie spotkałem równie ambitnej kobiety w polityce” – mówi jeden z polityków Platformy spod Wawelu, który śledzi jej karierę od 25 lat. – To, że jest kobietą, może jej w przyszłości pomóc. W ciągu najbliższych trzech lat Jarosław Kaczyński będzie stawiał wobec potrzeby nominacji jakiejś kobiety na ważne stanowisko. Emilewicz zna języki, umie się poruszać na Zachodzie. Prędzej czy później prezes sobie o niej przypomnia. A że taka nominacja może być przy okazji prztyczkiem w nos dla Gowina – to tylko dla szans Jadwigi lepiej.



Tomasz Rowiński

Zanim SLD zdążył zdominować nową lewicę, z jej szeregów odeszła posłanka Hanna Gill-Piątek. Teraz Szymon Hołownia ma reprezentantkę w parlamencie

Dobrze widać, jak bardzo zabolęło polityków Lewicy odejście z klubu i partii Hanny Gill-Piątek. Zareagowali posłowie i publicyści – z większym lub mniejszym rozżaleniem dając do zrozumienia swoim odbiorcom, że ta strata nie jest im obojętna. Tym samym potwierdzili, że Szymon Hołownia rzeczywiście odniósł – przynajmniej medialny – sukces. Sukcesem jest też z pewnością całkowicie rzeczywiste ubiegnięcie Rafała Trzaskowskiego w pokazie siły nowych ruchów politycznych. „Nowa Solidarność” wciąż pozostaje mglistym szyldem – nawet jeszcze nie ideą – a Polska 2050 przy sprzyjających okolicznościach już niedługo może mieć koło parlamentarne, do którego założenia potrzeba trzech parlamentarzystów.

To oczywiście, że z jednym posłem w Sejmie nie można wiele zdziałać, tym bardziej gdy zarówno lider, jak i jedyny poseł otwarcie deklarują różnice w poglądach. Czy jednak te różnice są aż tak znaczące, by paraliżować wspólne działania? Wydaje się, że problemem znacznie większym jest, na razie, osamotnienie Hanny Gill-Piątek. Jeżeli różnice pomiędzy Hołownią a byłą posłanką Lewicy polegają na wahaniu, czy powinno się najpierw wprowadzić związki partnerskie, czy może od razu małżeństwa homoseksualne, to deklaracja Hołowni, by robić „najpierw te rzeczy, które możemy robić razem, zanim zaczniemy się spierać o te rzeczy, w których się spieramy”, pokazuje, że różnic mogących być przeszkodą nie ma.

Zarówno lewica, jak i partie oraz ruchy miejskie, takie jak Polska 2050, „obiecują postępowe postulaty, opakowane w lepsze i bardziej spójne srebro – wsparcie dla mniejszości, realizację postulatów feministycznych i LGBT, wolności osobiste, dekryminalizację narkotyków, ekologię” – za-



Hanna Gill-Piątek zadeklarowała przejście do ruchu Polska 2050 Szymona Hołowni

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Porażka lewicy

uważył w ciekawej analizie sytuacji po decyzji Gill-Piątek outsider lewicowej publicystki Jakub Dymek. Sama Hanna Gill-Piątek potwierdziła taką diagnozę: „Myślę, że na początku będzie nie tyle ostracyzm, co taka nieufność. To się potem przetrze. Wszyscy działamy w ramach opozycji i nie ma różnic, jeżeli chodzi o fundamentalne sprawy”. Ostatnie zdanie jest na dziś zasadnicze

i z pewnością dla polityków Lewicy trudne do przełknięcia.

ZANIM ZGARNIE ICH SLD

Słuchając uzasadnienia politycznego transferu, jakie podała Gill-Piątek, warto zwrócić uwagę na jej ocenę środowiska, które opuszcza. „Lewica się w tej chwili konsoliduje. Wiosna Roberta Biedronia przestaje istnieć. Za moment wszyscy

wejda na pokład SLD pod nazwą Nowa Lewica". O skutkach porażki Biedronia w wyborach prezydenckich, a także wcześniejszym niepowodzeniu samotnego marszu partii Razem pisałem niedawno w „Do Rzeczy” (26/2020). To Włodzimierz Czarzasty i SLD są zwycięzcami ostatnich lat przekształceń na lewicy. Już wcześniej sojusz Razem i postkomunistów skonfliktował wewnętrznie pierwszą z tych partii, a dziś nieuchronnie zbliżający się horyzont kolejnych zmian powoduje sprzeciw części lewicowych działaczy. „Jesteśmy więc między czymś, co się zamknęło: kampanią prezydencką, a czymś, co dopiero ma się otworzyć, czyli kongresami programowymi i tym ruchem, który Lewicę jakoś wzmocni. Jest to więc najlepszy czas, żeby wyjść z Lewicy, bo to jest moment uczciwy, żeby odpowiedzialnie podjąć tę decyzję” – mówiła Gill-Piątek, rysując plan sytuacyjny swojego odejścia do Hołowni. Wygląda na to, że dla nowej parlamentarzystki ruch Polska 2050 trwanie w szeregach Lewicy oznaczałoby mocowanie się z niekorzystnymi jej zdaniem instytucjonalnymi zmianami prowadzącymi do wewnętrznej dominacji SLD nad Lewicą. Hołownia zaś zaproponował pani poseł działanie w „młodym, prężnie rozwijającym się zespole” i to zadziałało.

Ta ostatnia uwaga nie jest przypadkowa. Hanna Gill-Piątek była po studiach działaczką Sejmu najbardziej aktywnym posłem Lewicy. Miała na koncie 154 interpelacje i zapytania poselskie oraz udział w głosowaniach na poziomie 97 proc. Do 9 września liczba interpelacji zapytań wzrosła do 833. „Gill-Piątek dała [...] do zrozumienia, że swój aktywizm, działalność poselską, stachanowski zapał do pisania interpelacji i załatwiania spraw przenosi tam, gdzie jest miejsce dla takich rzeczy – wzmacniając »społecznikowski« i »ludzki« wymiar Hołowniowego przedsięwzięcia i odbierając lewicy punkty w tej samej konkurencji” – pisze cytowany już Jakub Dymek na swoim blogu. Nie dziwi zatem ani zainteresowanie Szymona Hołowni bardzo aktywną parlamentarzystką lewicy, ani też jej możliwe zniechęcenie do kierunku, w którym zmierza jej dotychczasowe ugrupowanie. Do Lewicy trafiła zresztą nie aż tak dawno. Najpierw przez lata działania w partii Zielonych, a potem krótko w Wiośnie. Ważne okazały się podobne doświadczenia z działalności społecznej

Gill-Piątek i Hołowni, a jednocześnie przekonanie, że Hołownia dał się przeciągnąć na stronę lewicy. „Dopóki się nie upewniłam, że Szymon mógłby stanąć pod katedrą ze mną z kasą fiskalną, to do tej pory nie podjęłam decyzji. Nigdy w kampanii nie zwracałam się przeciw religii, przeciw wierze, jak zresztą cała Lewica, nigdy nie mówiliśmy nic złego na ten temat. Punktowaliśmy tylko wykroczenia Kościoła, jak brak rozliczeń, publiczne pieniądze, pedofilia i te wszystkie rzeczy Szymon też punktuje”.

Hanna Gill-Piątek pokazała też jeszcze jedną, niewątpliwie ważną cechę. Chociaż deklaruje się jako biseksualistka (była żoną Tomasza Piątka, kiedyś pisarza, dziś dziennikarza „Gazety Wyborczej”), to jest – mimo swoich radykalnych poglądów – zdolna do współpracy ponad podziałami. Była autorką jednej z poprawek do pandemicznej tarczy 3.0, która znalazła wsparcie Ministerstwa Sprawiedliwości kierowanego przez Zbigniewa Ziobrę. Chodziło o to, by w czasie pandemii nie można było doprowadzić do eksmisji czy licytacji majątku. Na łamach lewicowego „Przeglądu” twierdziła, że „gdyby nie kampania wyborcza, podobnych poprawek ponad podziałami byłoby więcej. Pracownicy byłoby lepiej chronieni, bezrobotni mieliby lepsze zabezpieczenie, a przedsiębiorcy szybszy dostęp do środków antykryzysowych [...]”. Gdy nad wszystkim wisi ta nieustanna polaryzacja i presja, by pokazać, kto jest lepszy, a kto gorszy”.

O ZAŁATWIANIU SPRAW

Takie opinie wyrażane przez poseł ruchu Polska 2050 wyjaśniają bardzo wiele w kontekście jej rozumienia polityki, a jednocześnie to one – w konsekwencji transferu politycznego – wywołały największe niezadowolenie. Najpoważniejszy intelektualnie atak na Gill-Piątek przeprowadził inny poseł Lewicy związany z Wiosną, socjolog Maciej Gdula, w swoim tekście opublikowanym na portalu „Krytyki Politycznej”. Napisał: „Przechodząc do Hołowni, dołączyłaś do tego, co sama zwalczałaś latami”, wskazując, że Hołownia podtrzymuje w polskim życiu publicznym anachroniczne, znane z liberalnej dominacji w latach 90., złudzenie, że można robić politykę bez polityki, że wystarczy „załatwiać sprawy”. Trudno Gduli, także z prawicowej perspektywy, nie przyznać racji.

„Kiedy mniej więcej 15 lat temu angażowaliśmy się m.in. z Hanną Gill-Piątek w budowanie w Polsce lewicy przez Krytykę Polityczną, przeciwstawialiśmy się polityce eksperckiej, czyli myśleniu w kategoriach »załatwiania« konkretnych spraw. Mieliśmy tego dość, bo polityczne w gruncie rzeczy decyzje przedstawiano w ten sposób jako zagadnienia czysto »techniczne«, a więc niepodlegające wyborowi. Jako »zadania do wykonania« albo »sprawy do załatwienia«. [...] Wkurzało nas, że dominacja polityki eksperckiej oznaczała spychanie na margines tzw. sporów ideologicznych, czyli de facto spraw fundamentalnych, takich jak prawa kobiet, świeckie państwo czy prawa mniejszości” – napisał Gdula w tekście opublikowanym 8 września.

Oczywiście przejście Hanny Gill-Piątek do ruchu Szymona Hołowni nie oznacza, że jest ona jakimś człowiekiem środka. Od lat związana była z Krytyką Polityczną (w Łodzi prowadziła świetlicę tego środowiska), także z ruchami miejskimi, Kongresem Kobiet, w czerwcowym wywiadzie dla Wirtualnej Polski podkreśliła, że w przypadku „osób LGBT” nie chodzi o tolerancję, ale o akceptację. W ten sposób miękko zatarła różnicę pomiędzy kondycją osób o skłonnościach homoseksualnych a postulatami politycznymi aktywistów LGBT. Tym bardziej jednak Lewica będzie chciała pozycjonować ruch Hołowni, a razem z nim i Gill-Piątek w taki sposób, by w społecznym odbiorze wyglądali oni na polityczne centrum. Ruch traktowany jako partia umiaru wychylony maksymalnie na lewo to zawsze pewien zysk. Nic innego Lewicy teraz nie pozostaje – odcinać się od Hołowni i Gill-Piątek jako tych, którzy w konkretnych postulatach stoją najbliższej nich, ale są odlegli co do deklarowanych zasad polityki. Daje to pewną szansę przesunięcia spektrum debaty i jednocześnie pozwala zachować lewicy nadzieję na odrębną tożsamość na przyszłość, gdy Polska 2050 już się wypali. Czy tak będzie, tego jeszcze nie wiemy, na razie sondaże wynoszą coraz bardziej Hołownię, a Lewica schodzi nawet poniżej progu wyborczego. Nad sukcesem Hołowni, który może oznaczać rozdrobnienie lewicy, nikt po prawej stronie nie będzie płakał. Może poza tymi z nas, którzy ze smutkiem patrzą, jak kolejny katolik w polityce lekce sobie waży katolickie zasady i pociąga tą fałszywą wizją innych.



Agnieszka Niewińska

Jarosław Kaczyński w serwisie TikTok zainicjował internetowe wyzwanie, by wyrażać poparcie dla ochrony zwierząt. Politycy pokazali już wcześniej, że takich prób się nie boją. Oblewali się już kubkami zimnej wody i dawali popisy wokalne. Tylko po co?

Hashtag nad głową prezesa i naklejka z rudym kotem – tak w serwisie TikTok zadebiutował prezes PiS Jarosław Kaczyński. W krótkim wideo poparł nowelizację ustawy o ochronie zwierząt nazywanej potocznie „Piątką

dla zwierząt”. – Każdy dobry człowiek powinien poprzeć tę ustawę – oświadczył Kaczyński. A jego pojawienie się w serwisie popularnym wśród nastolatków stało się sensacją weekendu.

ROBERT TAŃCZY, ANNA WRACA DO FORMY

TikTok to chiński serwis oraz aplikacja internetowa, umożliwiające zamieszczanie krótkich nagrań (od 15 do 60 sekund) najczęściej o charakterze muzycznym. Tiktokier (bo tak nazywa się użytkowników serwisu) najczęściej wybiera podkład muzyczny i nagrywa do niego choreografię albo chociażby porusza ustami do słów piosenki. Filmikiem dzieli się z innymi użytkownikami.

Dzięki tiktokowym teledyskom wśród użytkowników narodziły się gwiazdy, ale w serwisie nie brakuje też tych, którzy zostali gwiazdami wcześniej i z takim statusem wkroczyli do wirtualnego świa-

ta (Jennifer Lopez, Beyoncé, Ed Sheeran czy Robert Lewandowski).

Rosnąca liczba użytkowników TikToka (tylko w Polsce używa go 6 mln osób) sprawia, że o przyczółkach na TikToku, choć jeszcze nieśmiało, myślą też politycy. Swoje konto założyła tam część amerykańskich senatorów, a także prezydent Francji Emmanuel Macron. Zanim z TikToka usłyszeliśmy głos Jarosława Kaczyńskiego, który przemówił za pośrednictwem konta Forum Młodych PiS, głośno było o pojawieniu się na platformie Andrzeja Dudy. Po co politykom TikTok, skoro wśród jego użytkowników przeważają nastolatki (w Polsce wśród tiktoków najwięcej jest 13–15-latków)?

Doktor Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie wizerunku publicznego z firmy Trzeciak|Chmal, podkreśla, że to myślenie perspektywiczne. – 15-letni użytkownik TikToka nie ma jeszcze prawa głosu, ale będzie je miał za trzy lata. Polityk, który jest obecny na TikToku, ma szansę wbić się w jego świadomość, a pośrednio oddziaływać też na jego rodziców. Skoro rozmawiamy o prezesie Kaczyńskim na TikToku, to wygląda na to, że cel osiągnął – mówi dr Trzeciak. I dodaje, że PiS nie po raz pierwszy stara się dotrzeć do ludzi młodych, którzy jeszcze nie mają prawa głosu.

KUBEŁ ZIMNEJ WODY

Występem na TikToku Jarosław Kaczyński zainicjował internetowy #StopFurChallenge. Challenge, czyli wyzwanie, to ostatnio modna forma rozpowszechniania jakiejś idei lub aktywności wśród użytkowników sieci. Ten, kto podejmuje wyzwanie, nagrywa jego realizację, wrzuca do sieci i nominuje kolejne osoby do zrobienia tego samego.

Jednym z najgłośniejszych internetowych wyzwań o globalnym zasięgu był Ice Bucket Challenge z 2014 r. Wyzwanie polegało na tym, by wylać sobie na głowę kubek lodowatej wody. Zadanie niezbyt ambitne, ale cel jednak był szczytny. Podejmujący wyzwanie wpłacali datkę na rzecz stowarzyszenia osób ze stwardnieniem zanikowym bocznym. Do akcji przystąpiło wiele znanych osób, m.in. Marc Zuckerberg, Bill Gates, Justin Bieber czy Donald Trump.

– Powodów rozpowszechniania się w sieci różnego rodzaju challenge'ów jest wiele. Część osób decyduje się na to, by wygłupić się przed kamerą ze względu na szczytny cel, któremu to posłuży. Sam byłbym na to gotów, gdyby chodziło o jakieś większe dobro – mówi

FOT. ANNA GOSZCZAK/REPORTERS

medioznawca i audytor jakości mediów prof. Jacek Dąbała. Zaraz jednak dodaje: – Wśród biorących udział w wyzwaniach jest też wielu takich, dla których to okazja do tego, by poczuć wspólnotę z innymi albo sposób na zaistnienie, zdobycie popularności czy zabicie kapitału politycznego. Bywa też i tak, że do udziału w chellengu popycha kogoś zwykła głupota. Wyjątkowo niemądrych internetowych wyzwań nie brakuje. Wiele z nich powtarzanych przez młodzież jest wręcz dla niej niebezpieczna.

OSTRY CIEŃ MGŁY

Wyzwanie rzucone na TikToku przez Jarosława Kaczyńskiego nie jest specjalnie trudne w realizacji. Kolejni politycy zamieszczają w sieci filmy, w których po prostu wyrażają poparcie dla nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt, pozują z własnymi pupilami. Pod koniec kwietnia reprezentacja polityków przystąpiła do poważniejszego wyzwania, jakim była akcja #hot16challenge2. Chodziło o ułożenie w ciągu 72 godzin 16 wersowych utworów do wybranego podkładu muzycznego, zaprezentowanie nagrania w sieci i wpłacenie darowizny na rzecz

walczącej z koronawirusem służby zdrowia.

Akcja zainicjowana przez raperów wypłynęła jednak poza ich środowisko. Zaczęło się od nagrania słynącego z niechęci do partii rządzącej prawnika prof. Marcina Matczaka, a prywatnie ojca rapera znanego jako Mata. W jego 16-wersowym utworze nie zabrakło politycznych przytyków i aluzji. Matczak recytował, że chce „unieść sumień strumień w czasy przyszłe, gdzie konstytucję szanuje mu Jarek ze Zbyszkim”. Do stworzenia własnego utworu nominował rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara, który uderzył w podobny ton. Rapował o tym, że „Unia nie może się wynieść jak eksmąż”, a „konstytucja to dla mnie wersy modlitwy”.

Po tym było już tylko gorzej. Janusz Korwin-Mikke w swoim wideo pojawił się z pistoletem i rymował o socjalistach „dla ojczyzny ratowania zamiast rzucać się przez morze / trzeba wziąć takiego drania obciąć jaja albo gorzej”. A cała Polska zastanawiała się, co miał na myśli prezydent Andrzej Duda, powtarzając wers: „Nie pytają cię o imię, walczą z ostrym cieniem mgły”.

– Granica między zaprezentowaniem się polityka jako osoby z dystansem i poczuciem humoru a ośmieszeniem się jest bardzo cienka. Nie wszystko, co robawi nastolatka, będzie dobrze przyjęte przez dorosłego wyborcę. Występ na TikToku przygotowany dla młodzieży zobaczą także starsi odbiorcy, dlatego zaangażowanie w takie akcje wymaga dużego wyczucia – mówi dr Sergiusz Trzeciak. Zaznacza, że politycy w korzystaniu z nowych technologii nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. – Obserwujemy nowy trend, który polega na wykorzystaniu przez polityków rozszerzonej rzeczywistości. Dzięki temu, ściągaając specjalną aplikację na smartfony, awatary polityków możemy zaprosić do naszych mieszkań i ustawić w dowolnym miejscu. Sięgnął po to ostatnio prezydent Izraela, który z okazji dnia niepodległości gościł w domach wyborców. W Polsce są już aplikacje, takie jak np. Viuu, które rozszerzoną rzeczywistość wykorzystują w rozwiązaniach biznesowych. Pojawienie się jej w marketingu politycznym w Polsce jest tylko kwestią czasu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

MIĘDZYNARODOWY XII FESTIWAL FILMOWY NNW
24-27 09.2020
GDYNIA
NIEPOKORNI NIEZŁOMNI WYKŁĘCI

ORGANIZATORZY: **scena kulturalna**
 PARTNER GENERALNY: **ORLEN**
 PARTNER STRATEGICZNY: **Bank Polski**
 DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIAŁOŃ KULTURY I DZIAŁOŃ KULTURY I DZIAŁOŃ KULTURY
 WSPÓŁFINANSOWANIE: **LOTOS**, **CEBOS**
 SPONSORZY: **INSTITUT PAMIECI NARODOWEJ**, **TEATR**, **TEATR**
 PARTNERZY INSTYTUCJONALNI: **TVP**, **POLSKA RADIO**, **24**, **EXCITY**
 INTERNA MEDIALNA: **TVPC**, **POP**

1918 2018
 Patronat Narodowy
 Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
 Andrzeja Dudy
 w Słubie Odzyskania Niepodległości

NNW

OGŁĄDAJ NAS ONLINE NA **WWW.FESTIWALNNW.PL**

Wyspa niezgody



Z Markiem Kochanem, pisarzem i reżyserem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Czy Polacy aż tak bardzo są podzieleni? Napisał pan sztukę, która wprowadzie dzieje się w tropikach, lecz dotyczy Polski współczesnej.

MAREK KOCHAN: Nie tylko my się dziś głęboko różnimy. Podobną temperaturę dyskusji widać choćby w Stanach Zjednoczonych, podzielonych na zwolenników i przeciwników Donalda Trumpa. Może to jakiś znak czasów. Podział w naszym kraju jest współczesny, ale nawiązuje do tych z przeszłości. Mamy bogatą historię. Był spór Sarmatów z kosmopolitami, romantyków z pozytywistami, piłsudczyków z wrogami sanacji, zwolenników i przeciwników władzy komunistycznej... Od roku 2005 mamy konflikt w obozie postsolidarnościowym, który w ciągu ostatnich pięciu lat znacznie się zintensyfikował.

Dla mnie punktem przełomowym była w nim katastrofa smoleńska. Skądinąd zaskakujące, w jak nikłym stopniu obecna na polskiej scenie.

Bo tam, niestety – mówię to z ubolewaniem – dominują dziś często nie namysł nad wspólnotą, lecz lewicowa propaganda, agresja i wulgarność. Zamiast pobudzać publiczność do przemyśleń, poddaje się ją swoistej terapii szokowej. „Trójkąt Bermudzki” pośrednio nawiązuje do daty 10 kwietnia 2010 r. Nie mówi jednak o samej katastrofie, lecz o tym, co wydarzyło się później. Z czym zostaliśmy jako społeczeństwo. Jak się spieramy i jakie mamy możliwości porozumienia się ponad tym sporem.

Obsadzenie w rolach rozbitków rodzonych braci dodaje tekstowi pikanterii...

Cezary i Radosław Pazurowie doskonale wpisali się w założenia tekstu. W didaskaliach sztuki bohaterowie są opisani jako bardzo różni, a zarazem bardzo podobni. Trudno to lepiej oddać niż za pomocą więzów rodzinnych. Bracia aktorzy różnią się fizycznie, ale zarazem wiemy o ich bliskim pokrewieństwie.

Nasuwać mi się skojarzenia z „Emigrantami” Sławomira Mrożka, w których adaptacji, mówiąc nawiasem, Cezary Pazura onegdaj wystąpił jako XX (AA odtwarzał Olaf Lubaszenko).

Cieszę się z takiego odbioru. „Trójkąt Bermudzki” to polemika z „Emigrantami”, ze sposobem przedstawienia tam zwykłych ludzi. Mrożek, sam inteligent z awansu, chcąc się uwiarygodnić w nowej roli, opisywał człowieka prostego, czyli owego XX, z góry, z perspektywy intelektualisty, którym był AA, który zresztą w końcówce sztuki spostrzega, jak bardzo się co do XX mylił. Wizerunek prostego człowieka, oparty na takim stereotypie, pokutuje jednak do

dziś wśród ludzi uważających się za inteligentów. Ten konflikt ma swoją historię. Słowacki zderzał „czerep rubaszny” szlachty z „duszą anielską” ludu. Wyspiański opisywał chłopomanie krakowskich elit podszytą lękiem przed chłopstwem. Socjalizm pozornie wywyższał prostego człowieka jako „przewodnią siłę narodu”, a zarazem komunistyczne elity czuły się wyobcowane, bały się ludu, gdyż swoją pozycję zawdzięczały sowieckim bagnetom i fałszowanym wyborom. Taka swoista demofobia, czyli niechęć do ludu, przetrwała u części współczesnych Polaków, którzy z pozycji mentorów wciąż przypisują rodakom rozmaite przywary i mankamenty, żeby móc się samemu uważać za kogoś lepszego. To prowadzi do wielu nieporozumień i napięć. W „Trójkacie Bermudzkim” odwróciłem sytuację. To ów zwykły człowiek poprzez obserwację i rozmowę diagnozuje mentalność wykształciucha. Tak, by ten mógł się przejrzeć niczym w lustrze. I ujrzeć, że powierzchowne rozpoznania, oparte na stereotypach, prowadzą do błędnych ocen rzeczywistości. Poza tym prawdziwy inteligent powinien wspierać w rozwoju tych, którym los utrudnił start życiowy czy zdobycie wykształcenia, a nie okazywać im wrogość albo lekceważenie.

Kabotyn, malkontent, arogant, pyszałek – Mirosław to typ antypatyczny.

Ale też dramatyczny, gdyż żyje w fikcyjnym świecie, boi się własnych fantazji. Pisząc tę sztukę, inspirowałem się wieloma postaciami naszego życia publicznego. Mirosław to postać fikcyjna, ale inspirowana w 30 proc. Adamem Michnikiem, w 15 proc. Jackiem Żakowskim, po 4 proc. wziętem z Tomasza Lisa i Marii Nurowskiej, po 1 proc. inspiracji pochodzi od Agaty Młynarskiej i Waldemara Kuczyńskiego, zaś reszta od wielu innych osób, w których wypowiedziach poczucie wyższości miesza się z agresją i pogardą wobec rodaków, a także – na głębokim poziomie – z lękiem przed nimi. Mirosław jest karykaturą inteligenta, sam się za takiego uważa, ale jego zachowanie klóci się z inteligentkim etosem. Rozpoznania ma stereotypowe i fałszywe, nie chce wiedzieć, jaki świat naprawdę jest. Woli żyć w krainie własnych projekcji na temat innych ludzi, utwierdzając się w wyobrażeniach na własny temat, aby podtrzymać swe

dobre samopoczucie. Takich Mirosławów jest w Polsce wielu.

Radomir to również amalgamat figur rzeczywistych?

Jest kontratypem Mirosława. To self-made man, przedsiębiorca, optymista, człowiek praktyczny, trzeźwo myślący, prostoliniowy, osadzony w tradycji. Ma nie najlepsze maniere. Ukrywa swoje emocje, zapamiętuje urazy, choć umie też być wielkoduszny. Wrażliwy na hipokryzję. Czasem działa zbyt spontanicznie, dłużej przetwarza dane. Nie wie wszystkiego, lecz jest bardziej czytany, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Uderzyły mnie w „Trójkacie Bermudzkim” dwa elementy pastiszowe. Pierwszy dotyczy mody na egzotyczne urlopy last minute/all-inclusive, drugi – feministek.

Wakacje w tropikach są mitem, współczesnym wyobrażeniem raju. Miliony ludzi marzą, by tam trafić, i wielu się to udaje, choć moim bohaterom akurat nie. Co do feministek: oczywiście istnieje w Polsce grupa kobiet radykalnie idących w przód, wyrażających się w antyklerykalizmie, gloryfikowaniu aborcji czy swobodzie obyczajów. W moim odczuciu ta grupa nie jest zbyt liczna, za to niezwykle hałaśliwa, hołubiona przez mainstream, eksponowana w mediach. Gdyby zapytać, kto utożsamia się z taką wizją kobiecości, prawdopodobnie większość Polek odrzuciłaby ów model. Bo ta większość, moim zdaniem, myśli bardziej tradycyjnie: chce sobie normalnie ułożyć życie, wyjść za mąż, mieć dzieci i rodzinny dom, oczywiście zachowując podmiotowość i możliwość spełnienia na polu zawodowym czy społecznym. I taka jest bohaterka „Trójkąta Bermudzkiego” (Anna Karczmarczyk). Z pozoru nowoczesna, jednak wyrwana ze swego świata, obcując na wyspie z dwoma emablującymi ją mężczyznami, odnajduje w sobie pokłady atawizmu, chce się jakoś wpisać w zaistniałą sytuację. Zgrywanie pozy feministki w takiej sytuacji byłoby dość irracjonalne. A może ona tylko tak udaje, by przetrwać?

Widzów zaskoczy strona plastyczna przedstawienia...

Estetyka graficzna „Trójkąta Bermudzkiego” – jeżeli nie pionierska, to na pewno nowatorska i eksperymentalna – wzbogaca język Teatru Telewizji. Zarazem wyostreza i bierze w cudzysłów

współczesny spór Polaków, mający w istocie cechy komiksowe. Bo nie jest zniuansowany, wymaga ślepego przywiązania do własnych racji i odrzucenia złożoności świata na rzecz podziału czarno-białego. Niczym w westernie, każdy kreuje się w nim na szeryfa, w innym widząc złoczyńcę. W uproszczeniach gubi się istota konfliktu. Zarówno scenografia, dekoracje, jak i kostiumy służą wyrazistemu pokazaniu problemu, który jest tematem sztuki.

Pańska dramaturgia zaistniała w Teatrze Polskiego Radia, Teatrze TVP oraz na scenach zagranicznych.

Jak wynika z badań, 84 proc. Polaków w ogóle nie chodzi do teatru! Widocznie większość nie odnajduje tam wartościowych dla siebie spektakli. Nasz teatr w zdecydowanej większości zajmuje się zagadnieniami, które dotyczą 5–10 proc. Polaków, a dla reszty są wydumane i do tego podane w nieatrakcyjnej formie. Jest on dziś – poza nielicznymi wyjątkami – zamknięty na dramat odbiegający przekazem czy formą od lewicowych dogmatów i norm poprawności politycznej. Na pewno istnieją sztuki, które mogłyby zainteresować widzów, lecz jakoś nie ma na nie miejsca w dzisiejszym teatrze. Moje „Rio” prezentowane w Teatrze Telewizji dwa lata temu otrzymało na festiwalu w Sopocie nagrodę publiczności. Myślę, że ta sztuka mogłaby być z powodzeniem grana w każdym dużym mieście. Ile teatrów w Polsce pokazało „Rio”? Ani jeden. Mam nadzieję, że z „Trójkątem Bermudzkim” będzie inaczej. Wydałem ostatnio zbiór pt. „Dramaty wybrane”, przynajmniej można je przeczytać. Miewają premiery za granicą, a nie w kraju. Taki paradoks.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Teatr Telewizji, Marek Kochan „Trójkąt Bermudzki”, premiera: pon. 21 IX, godz. 21, TVP Kultura, reżyseria: Bodo Kox, obsada: Cezary Pazura, Radosław Pazura, Anna Karczmarczyk



Marek Kochan – prozaik i dramaturg, reżyser radiowy, profesor Uniwersytetu SWPS. Wydał m.in. powieści „Plac zabaw” i „Fakir z Ipi”. Autor wielu sztuk prezentowanych i nagradzanych w Polsce i za granicą. Teatr Telewizji zrealizował wcześniej jego „Traktat o miłości” oraz „Rio”.

Czy androidy śnią o dzieciach?



Piotr Gociek

„Wychowane przez wilki” to serial nierówny. Mądry jako opowieść o relacjach człowiek-maszyna. Głupi jako przypowieść o starciu nauki z religią

Amanda Collin w roli Matki niesie na swych barkach całą emocjonalną wiarygodność historii opowiedzianej w serialu. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na odległej planecie Kepler-22B ląduje niewielki statek kosmiczny. Na pokładzie pojazdu wyglądającego jak srebrny gwizdek znajduje się tylko dwóch pasażerów. To nowi Adam i Ewa gatunku ludzkiego.

Planeta nie jest zbyt gościnna, ale zdalna do życia. Coś pośredniego między skalistą Islandią a chilijską pustynią Atakama. Jest powietrze, jest skąpa roślinność, są także pozostałości zwierząt, które niegdyś zamieszkiwały ten świat: gigantyczne szkielety i tajemnicze tunele. To oczywiście fantazja, ale wywiedziona z naukowych obserwacji. Druga planeta układu Keplera (odległego od nas o ponad 600 lat świetlnych) rzeczywiście okraża swoje słońce w odległości sprawiającej, że może być przyjazna życiu, a na jej powierzchni panuje przyjemna temperatura 22 st. C, choć może mocno się wahać z powodu eliptycznej orbity.

Jednak nie astronomiczne rozważania ważne są w tej historii, lecz to, co dzieje się na planecie, oraz to, co wydarzyło się 10 lat wcześniej na Ziemi. Ta ostatnia przestała być miejscem zdatnym do życia za sprawą nas samych – skłóconych, krótkowzrocznych i nieustannie walczących ze sobą ludzi.

SZTUCZNI RODZICE LUDZKICH DZIECI

Kepler-22B ma więc być miejscem nowego początku, tyle że jest to początek mocno zaskakujący. Przybysze z Ziemi to bezimienne androidy, zwracające się do siebie „Ojcze” i „Matko”. Syntetyczne ciało żeńskiego androida przystosowane zostało do tego, by nosić prawdziwą ciężę. W ruch idą zamrożone zarodki. Wkrótce rodzą się ludzkie dzieci, którymi zaopiekować się muszą sztuczni rodzice. Trudny start nowej kolonii.

Serial „Wychowane przez wilki” („Raised by Wolves”) powstał na podstawie scenariusza Aarona Guzikowskiego, twórcy serialu „The Red Road” (2014), a wcześniej scenarzysty filmów kinowych – przeciętnej „Kontrabandy” (2012) z Markiem Wahlbergiem i bardzo dobrego „Labiryntu” (2013) w reżyserii Denisa Villeneuve’a. Z kolei najważniejszą figurą, jeśli chodzi o to, jak wygląda przedstawiony na ekranie obcy świat, jest Ridley Scott, jeden z producentów i reżyser pierwszych dwóch odcinków. To właśnie twórca „Obcego” i „Łowcy androidów” odpowiada za wykreowanie wizji, która natychmiast głęboko zapada w pamięć. Kto zna wcześniejsze dokonania Scotta, ten nie będzie zaskoczony. Czasem ujrzy kadry przypominające „Prometeusza”, innym razem nawet „Królestwo niebieskie” (zaraz dojdziemy dlaczego), kiedy indziej zaś pierwszego „Obcego” – ot,

choćby uszkodzone androidy wydzielają białą ciecz, tak jak robot Ash.

Kepler-22B jest krainą posępną, tarzaną wichrami i niezaprzeczalnie piękną. A Ridley Scott, projektując przyszłość na obcej planecie, oddał też hołd klasycznej fantastyce połowy XX w. – bardzo wiele motywów pochodzi z kanonicznego katalogu ikonografii kina i ilustracji dawnej SF. Biegłość Scotta w kreowaniu wiarygodnych światów jest powszechnie znana, nie ma dla niego znaczenia, czy to starożytny Rzym, średniowieczne Francja i Anglia, Bliski Wschód czasu wypraw krzyżowych, futurystyczne Los Angeles czy bliski nam Mars albo całkiem obce planety. Nie dziwi także to, że twórca „Gladiatora” zainteresował się bardzo mocno scenariuszem Guzikowskiego – przecież wątek relacji człowiek-android jest obecny w jego filmach niemal od początku. To niegdyś wspomniany już „Obcy” oraz „Łowca androidów”, a ostatnio „Prometeusz” i „Obcy: Przymierze”, o których Scott mówił wprost, że to już nie horrory o ksenomorfach, ale opowieści o sztucznej inteligencji.

Pytania o to, co czyni nas ludźmi, a także o odpowiedzialność za istoty przez nas stworzone należą do najważniejszych zagadnień, którymi fantastyka naukowa zajmuje się od bardzo dawna. Pod tym względem serial „Wychowane przez wilki” okazuje się propozycją bardzo ciekawą, choć moim zdaniem zbyt zimną. W sercu rozważań znajduje się postać Matki, androida, dla którego naczelną dyrektywą jest troska o życie i wychowanie ludzkich dzieci. Szybko okazuje się, że owa istota idealna, która teoretycznie powinna być wolna od wszelkich emocji i rozterek, zaczyna się... no właśnie: uczłowieczać, psuć czy może wyciągać niewłaściwe wnioski ze słusznych zaleceń programisty? Rozpacz, tęsknota, troska, zazdrość – czy android, który zazna tych uczuć, jest tylko maszyną? Bardzo ciekawa jest dynamika między Matką a Ojcem, wyraźnie zaznaczają się różnice, które nie mogą wynikać jedynie z odmiennych funkcji. Czyżby bezdusznemu opiekunowi niedobitków ludzkości zaczęli ewoluować emocjonalnie, acz w różnych kierunkach?

ATEIZM NA RATUNEK LUDZKOŚCI

Wszystko to jest niesłychanie ciekawe, choć może niespecjalnie atrakcyjne w kategoriach „wielkie widowisko rozrywkowe dla telewizji”. Dlatego dostajemy w nowej produkcji HBO drugą warstwę postaci,

zakrętów fabuły i znaczeń. I jest to moment, w którym zachwycająca wizualnie zabawka Ridleya Scotta zaczyna się rozsypywać.

Z retrospekcji dowiadujemy się, że historia ludzkości na Ziemi dobiegła kresu wskutek straszliwej wojny toczonej przez ateistów i mitraitów, wyznawców kultu Sol. Samo w sobie jest to już głęboko absurdalne. Co stało się z innymi religiami i dlaczego wygrał mitraizm? Czy każdy niewierzący jest automatycznie członkiem aktywnej wspólnoty ateistów, inaczej mówiąc – czy połączenie ludzi odrzucających religię z miliona różnych powodów automatycznie tworzy z nich jedną wielką „armię ateistów”? Matka i Ojciec nie mają wątpliwości – wysłani zostali na Keplera-22B, by zbudować społeczeństwo ateistów i tak właśnie wychować dzieci. Tylko ateizm bowiem, słyszymy z ekranu, może uratować ludzkość.

Cóż, przypuszczam, że wątpię. Zwłaszcza że z tego, co widzimy na ekranie, wcale jasno to nie wynika. Mitraiści wykorzystują do walki bojowej androidy o straszliwych mocach, za to ateści – równie bezlitośni – szkołą oddają dziecięcych żołnierzy, całkiem jak afrykańscy watażkowie, w dodatku przerabiają część dzieci na samobójców w imię sprawy (czyli ateizm może „być sprawą” – zatem nie jest odrzuceniem religii, lecz... kontrreligią?). Żeby było śmieszniej, wyznawcy Sola chodzą odziani w białe płaszcze przypominające stroje chrześcijańskich rycerzy na krucjatach, tyle że zamiast znaku krzyża mają na piersiach znak słońca. Niewiele dowiadujemy się o samej religii. Tyle tylko, że wierni uważają, iż ich bóg poddaje ich w jakimś celu próbom, że każdy zbiera to, co zasieje, i że być może Kepler-22B jest planetą opisaną w prorocztwie. Nową ziemią obiecaną.

Okazuje się więc, że świat, który zasiedlić mają wychowankowie Matki i Ojca, jest także celem wyprawy kosmicznej arki mitraitów. Co oznacza, że serial „Wychowane przez wilki” zamienia się w opowieść o rywalizacji nauki z religią. Tyle że im więcej dostajemy tego dania, tym bardziej robi się niestrawne. Straszne jest to bowiem pomieszanie z poplątaniem. Technologia, którą posługują się mitraiści, jest bardzo zaawansowana – po-



SEZON 1
„WYCHOWANE PRZES WILKI”
(„RAISED BY WOLVES”)
USA 2020

wyst. Amanda Collin, Abubakar Salim, Travis Fimmel, dystr. HBO GO i HBO

trafią budować wielkie statki kosmiczne i przypominające ludzi androidy, tworzą wirtualne światy, skomplikowane systemy hibernacyjne – nie widać więc, by nauka napawała ich jakimś wstrętem. Ateści wyglądają przy nich (wnioskuje po skąpych retrospekcjach) jak skrzyżowanie hamasowskiej partyzantki z luddytami. Jak do tego doszło? O co w tym wszystkim chodzi? Gdzie tak naprawdę jest linia frontu?

RIDLEYOWSKI BEŁKOT

Sposób, w jaki przedstawiono mitraitów z kolei, to składanka najbardziej tandetnych kalek antyklerykalnych. Oczywiście są jacyś hierarchowie, którzy okazują się głupi i bezduszni (ciekawie, że Hollywood nie zna biskupów cnotliwych i kochanych przez swych wiernych). Oczywiście jeden z hierarchów uważa, że realizuje boży plan, gwałcąc małe dziewczynki. Oczywiście teokracja służy temu, żeby kapłani jedli obficie i opływali w dostatki, a wierni nosili ich w lektykach i żarli mech. Serio? Serio mamy na tym poziomie poważnie rozmawiać o konflikcie religii i ateizmu lub wiary i nauki?

Ridleyowi Scottowi zapewne się podobało, bo to zaciekle ateusz, który chwalił się, kręcąc niby-biblijny epos „Exodus: Bogowie i królowie” (2014) o Mojżeszu i Ramzesie, że wychodził ze skóry, by wypłukać tę opowieść z religii. Na szczęście nie wszyscy widzowie mają tak zryte nienawiścią do religii mózgi jak mister Ridley. I dostrzegają, że intrygująca opowieść o maszynach uczących się człowieczeństwa oraz o tym, jak ludzie je traktują (dla mitraitów są po prostu niewolnikami), zamienia się w bełkot. To, co pozostanie, to kapitalna strona wizualna serialu i wybitna kreacja aktorska Amandy Collin w roli Matki. Tak naprawdę to ona niesie na swych barkach całą emocjonalną wiarygodność tej historii – a przynajmniej jej część. Wizja przyszłości, w której sztucznej inteligencji bardziej będzie zależało na przetrwaniu ludzkości niż samym ludziom, jest bez wątpienia intrygująca. O wiele ciekawsza od sugestii, że to ateści bardziej kochają dzieci.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Futbol na tak

Zemsto, twe imię kobieto! Bogata rozwódka z Anglii, Rebecca Welton (Hannah Waddingham, nieco przypominająca Katarzynę Bonde), która od swego niewiernego męża wydebiła podczas rozwodu grubą gotówkę oraz klub piłkarski, zatrudnia amerykańskiego trenera, tyle że od futbolu amerykańskiego. Piłkarze są wściekli, fani załamani, a prasa uważa sprowadzenie Teda Lasso za kiepski żart. Sympatyczny jankes nie wie, że w piłce nożnej są remisy, zna tylko dwóch piłkarzy (Ronaldo i Beckhama), nie ma pojęcia, ile kolejek do rozegrania w Premier League ma jego drużyna ani nie słyszał, kto wygrał ostatnio Ligę Mistrzów. Ale właśnie wszystko to czyni go w oczach Welton kandydatem idealnym. Wcale nie zależy jej

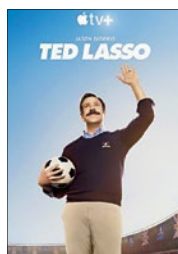
na fachowcu i zwycięstwach. AFC Richmond był ukochaną zabawką jej męża, a ona, niszcząc reputację klubu, szuka pomsty na zniechęconym eks.

Teda Lasso gra Jason Sudeikis. Przybysza z Ameryki wspiera jego wieloletni asystent i przyjaciel, brodaty trener Beard (Brendan Hunt), który w odróżnieniu od Lasso wydaje się mieć pojęcie o tym, co robi. Pozory mylą, obaj uzupełniają się znakomicie, lecz by to odkryć, musimy obejrzeć kilka odcinków serialu „Ted Lasso”, sierpniowej premiery Apple TV+. Z początku wydaje się, że to średnio udana komedia najeżona sucharami. Dowcipy o tym, że Anglicy mówią jakoś dziwnie, oraz o tym, że ich herbata jest ohydna, nie są specjalnie świeże. Kto jednak da serialowi szansę, ten szybko



odkryje, że jest w tej opowieści coś bardzo rzadkiego we współczesnej rozrywce: serce i empatia. Amerykański trener może się wydawać fajtłapą, ale tak naprawdę to człowiek o niezłomnych zasadach, absolutnie uczciwy i mający nietypowe dla współczesnego sportu motto: nie liczy się, czy wygrywasz, czy przegrywasz, ale to, czy sport pozwala ci być lepszym człowiekiem.

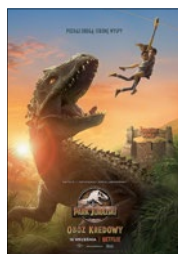
Z odcinka na odcinek piłkarska komedia robi się ciekawsza i lepsza, a postacie, które pierwiej wydawały się jednowymiarowe i sztampowe, szybko zyskują na głębi. Apple TV+ ma w swych dłoniach skarb, który odpowiednio pielęgnowany może zamienić się w sukces rozciągnięty na kilka telewizyjnych sezonów. Nie widziałem dotychczas lepszej premiery wśród oryginalnych produkcji internetowej stacji z jabłuszkiem, a przecież napinka była spora – nowa wersja „Amazing Stories” czy naszpikowany gwiazdami „The Morning Show”. ©©



★★★★★

SEZON 1
„TED LASSO”
USA 2020

wyst. Jason
Sudeikis, Hannah
Waddingham,
Brendan Hunt



NOWE SERIALE: „PARK JURAJSKI. OBÓZ KREDOWY”

Animowany serial Netflixu rozszerzający świat wykreowany w filmach kinowych „Jurassic World”, czyli sequeli do oryginalnych powieści Michaela Crichtona oraz filmów Stevena Spielberga „Jurassic Park”. Akcja opowieści o szóstej nastolatki rozgrywa się równoległe z wydarzeniami znanymi z filmu „Jurassic World”. Upadłe

królestwo” (2015). To pierwsza telewizyjna produkcja z tego uniwersum, ale na pewno nie ostatnia. Współproducentami serii są Steven Spielberg, Frank Marshall i Colin Trevorrow. ©©

Piotr Gociek

• Sezon 1, „Park Jurajski. Obóz kredowy” („Jurassic World: Camp Cretaceous”), USA 2020, animowany

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Adrian Grunberg „Rambo: Ostatnia krew” („Rambo: Last Blood”), USA 2019, sensacyjny
- reż. Oliver Laxe „Sika ognia” („O que arde”), Hiszpania 2019, obyczajowy
- reż. William Nicholson „Co przyniesie jutro” („Hope Gap”), Wielka Brytania 2019, obyczajowy

Wojna łyżeczek



Fanom seriali o ludziach obrzydliwie bogatych nie wystarczyła reaktywacja „Dynastii”. Amatorów fabuły o ludziach chorych na władzę zniesmaczył finałowy sezon „House of Cards”. Jednych i drugich próbuje zadowolić „Sukcesja” – opowieść o patologicznej rodzinie zarządzającej globalną korporacją. Pierwszy sezon rozbudził apetyty, kolejny – o dziwo – im sprostał. Czwórka potencjalnych dziedziców imperium miota się między nadzieją i wątpliwością. Upokorzony Kendall próbuje dojść do siebie i odzyskać względy ojca, młodsze rodzeństwo trzyma kciuki za jego definitywny upadek. Nie wiedzą jednak, co sądzić o zapowiedziach abdykacji seniora. Prawda to czy prowokacja?



★★★★★
SEZON 2
„SUKCESJA”
USA 2019

wyst. Brian Cox,
Jeremy Strong,
Sarah Snook

Tymczasem rozsądnemu dotąd Connorowi marzy się posada prezydenta USA. Zwyczajne dylematy urodzonych ze srebrną łyżeczką w ustach. Ostatnie słowo jak zwykle będzie należało do Logana – starego i schorowanego despoty, który swych zepsutych potomków przejrzał na wylot i domyśla się, że biznes medialny (w przeciwieństwie do rozrywkowego) nie ma większej przyszłości. Jeśli diagnoza stawiana przez twórców „Sukcesji” jest słuszna, to światem rządzą intrygi pozbawionych odrobiny klasy socjopatów, którzy zależnie od kaprysu mogą „wypatroszyć” firmę lub zainwestować w nią miliardy. Precz z chamstwem i kapitalizmem! ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NÓŻ KONTRA SEKATOR

W KINACH



★★★★★
REŻ. WON-CHAN HONG

„I ZBAWA NAS ODE ZŁEGO”

KOREA PŁD. 2019, MAYFLY

wyst. Jun-min Hwang, Jung-jae Lee, Jung-min Park

Zabijanie męczy. Zawodowy kiler zamierza więc przejść na wczesną emeryturę, wyjechać do Panamy i moczyć nogi w oceanie w asyście pięknych Latynosów. Tymczasem dawna miłość prosi go o pomoc: w Bangkoku porwano jej dziewięcioletnią córkę. In-nam mimo początkowych wahań ruszy na odsiecz, bo serce największego twardziela mięknie, gdy widzi krzywdę dzieci – przymusowych dawców nerek i innych narządów. Wkrótce będzie miał na karku tajską mafię, policję, służby specjalne i żadnego zemsty gangstera z Tokio, nie bez kozery zwanego Rzeźnikiem. Ów zmanierowany i kuloodporny koleś spycha całą opowieść w stronę groteski. Szkoda, gdyż poza tym jest to solidne (w swoim gatunku) kino. Bohater rosyjskiego „Brata” był młotem na bandziorów z Ukrainy i Ameryki. In-nam zdobywa sympatię południowokoreańskiej widowni, maltretując Japończyków i obywateli Tajlandii. Pomaga mu rodak – transwestyta. To chyba ukłon w stronę Zachodu.

A RZĘKA PŁYNIE



★★★★★

REŻ. CLINT EASTWOOD

„RZĘKA TAJEMNIC” („MYSTIC RIVER”)
USA 2003

wyst. Sean Penn, Tim Robbins, Kevin Bacon

Mole książkowe twierdzą, że powieść Dennisa Lehane'a była lepsza, lecz Brian Helgeland (scenariusz) i 73-letni Clint Eastwood (reżyseria) też plan wykonali. A było nim przekonanie widzów, że grecka tragedia równie dobrze może się wydarzyć we współczesnej Ameryce. Z tą poprawką, że pedofilia pozostawała poza zasięgiem zainteresowań Sofoklesa i Eurypidesa, dziś jest zaś jednym z ulubionych oręży artystów, pragnących wstrząsnąć zblazowaną publiką. Smutny epilog przyjaźni trzech chłopaków, wychowanych w pięknej dzielnicy Bostonu, Akademia Filmowa wyceniła na dwa męskie Oscary, lecz w „Rzecz tajemnic” znakomitym aktorstwem popisały się również panie. Gdyby Annabeth nie była żoną, a Celeste panikarą, afera rozeszłaby się po kościach, wszyscy żyliby długo i szczęśliwie. Eastwooda za młodu oskarżano o mizoginię. Czyżby na starość postanowił zadzwic z krytyków? A mówią, że mściwi żyją krócej... ©©

recenzuje Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „MARVEL'S AVENGERS”

Wydawać by się mogło, że stworzone przez Marvela uniwersum kultowych superbohaterów to kura znosząca złote jaja. Przynajmniej w kinematografii kolejne odsłony zmagani Avengersów to kasowe hity. Dlaczego prawo serii nie działa w przypadku gier komputerowych? Może dlatego, że produkcjom

takim jak „Marvel's Avengers” zawsze czegoś brakuje. Tym razem dostaliśmy efektowną graficznie grę akcji, w której podczas ciekawej fabuły wcielamy się w Iron Mana, Hulka czy Thora. Gdy jednak skończymy główny wątek, czeka nas nudne powtarzanie bliźniaczo do siebie podobnych poziomów. A na



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

deser sporo rozczarowujących błędów technicznych. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** TPP/Akcja
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Crystal Dynamics/Ceneg
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dobosz **wyjątkowy**

Przez lata zaczynaliśmy lekturę czasopism od felietonów, ciesząc się, gdy ich autorzy nawiązywali do najlepszych tradycji felietonistyki polskiej, od Bolesława Prusa poczynawszy, a na Stefanie Kisielewskim skończywszy. A jednak bywało, że „felietonista” stawał się epitetem i nieprzypadkowo Maciej Urbanowski w posłowie do wydanego właśnie wyboru tekstów Andrzeja Dobosza przywołuje opinię jednego z mistrzów tego ostatniego, Karola Irzykowskiego, którego zdaniem „felieton jako gatunek i pewien wpisany weń gest duchowy związane są z upraszczaniem zagadnień, redukowaniem ich do dowcipkowania”. Podejrzewam, że istnieją czytelnicy, którzy właśnie autora „Dni powszednie niepospolitych ludzi”, identyfikując go z kultową postacią Filozofa z filmu „Rejs”, mają za takiego wesołka. Może się jednak mylę; wytrawny czytelnik Dobosza to w końcu ten, który poznał go jako „Pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia”, przynajmniej słyszał o jego wyczynach dziennikarskich, takich jak przeprowadzenie po październiku 1956 r. wywiadu z osławionym „generałem gazrurką”, Kazimierzem Witaszewskim, a może i widywał go w PIW-owskiej kawiarni przy stoliku Antoniego Słonimskiego.

Nawiasem mówiąc, w esbeckiej informacji z roku 1964 o tych, zasługujących – jak widać – ze strony komunistycznych władz na szczególną uwagę, spotkaniach Andrzej Dobosz występuje jako pisarz. W istocie swoją pierwszą książkę wydał dopiero 30 lat potem. Za to jesienią 1974 r. wyjechał do Paryża, „na trzy miesiące, które okazały się ostatecznym urlopem od PRL”.

Nad Sekwaną coś tam pisywał, ale głównie czytał, promował i sprzedawał książki innych au-



FOT. MICHAŁ WÓJCIAK/FEST NEWS

torów, w późniejszych latach we własnej księgarni Librairie Dobosz w Dzielnicy Łacińskiej. Aż w końcu zaczął wydawać felietony i te dawne, nowe, które w wolnej wreszcie Polsce publikował najpierw w „Tygodniku Powszechnym”, a następnie w „Rzeczpospolitej”. To w tej ostatniej, redagując dodatek „Rzeczpospolita i Książki”, miałem ogromną przyjemność współpracować z nim, przy okazji nieźle się stresując, gdyż terminowość nadsyłania materiałów traktował, powiedzmy, dość dowolnie. Naprawdę było to jednak bez znaczenia, nie zwątpiłem bowiem nigdy, że niezależnie od tego, czy np. podzielałem zdanie Andrzeja Dobosza w ocenie jego nauczyciela akademickiego Jana Kotta, czy nie, jest on autorem pod każdym względem wyjątkowym. Jeśli bowiem ktoś kontynuował to, co najlepsze w naszej felietonistyce, także tej od Adolfa Nowaczynskiego, to twórca takiego choćby felietonu „Abeandry – książka podręczna” sprzed lat dziewięciu, oddającego, co należy, stanowczo niedocenionemu Andrzejowi Biernackiemu, wytrawnemu edytorowi i autorowi, przez długie lata redagującemu w „Twórczości” znakomite „Noty”. Kończy Dobosz swój tekst następująco: „Po śmierci

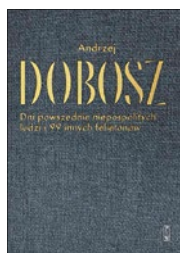
Jerzego Lisowskiego redakcję »Twórczości« objął niejaki Zadura, spowinowacony z Aleksandrem Kwaśniewskim. Przystosowując pismo do gustów rodzinnych, zrezygnował z wieloletniego współpracownika, a całkiem ostatnio prezes dziennikarzy Bratkowski Stefan postanowił pozbawić słuchaczy Szkoły im. Wańkowicza kontaktu z profesorem Biernackim, ponieważ ten miał przy sobie wśród innych gazet »Nasz Dziennik«”.

Kiedy trzeba, jego pióro zamieniało się w brzytwę, zwykle wtedy, gdy przychodziło mu komentować wyczyny dawnych pieszczoszków komuny. Odnajdujemy jednak w jego felietonach również nutę tęsknoty za latami z całą pewnością głęboko niesłusznymi, nie do wytrzymania, nie do życia, a jednak... „Z telewizora – wspomina Dobosz w 2000 r. – gada bez ustanku towarzysz Gomułka. Ale telewizory kupowano nie po to, by wysłuchiwać Gomułka. – Czy masz telewizor? – spytał mnie mój kolega Himilbach. – Nie. A ty, Janku? – Ja mam, ale jeszcze nigdy nie widziałem. Mnie o tej porze nie ma w domu.

Nie mając telewizora, nie opuściłem ani jednego Kabaretu Starszych Panów. Telewizja nie była jeszcze maszyną do wymóldzania, dopiero zdobywała teren”.

Nie było też – wymienia w „Doboszu polskości”, tak pięknie zatytułowanej przedmowie do „Dni powszednich...” Zdzisław Krasnodębski – „influencerów ani influencerów, ani nawet youtube’ów. Aktorzy potrafili grać, a niektórzy pisarze polscy pisali tak, że warto było ich czytać”. A po Krakowskim Przedmieściu, wszystko jedno, czy pełnym deserów czy nie, przemyczał Andrzej Dobosz, który parę minut temu przyjechał z Żoliborza autobusem 116.

W zeszłym miesiącu Andrzej Dobosz skończył 85 lat. ©



★★★★★
ANDRZEJ DOBOSZ
„DNI
POWSZEDNIE
NIEPOSPOLITYCH
LUDZI
I 99 INNYCH
FELIETONÓW”
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY,
WARSZAWA 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Opowieści kebabowe

Kebab jest jednym z bardziej widocznych efektów wtórnej europeizacji Polski, zaraz obok rodzinnych spacerów w weekendy po galeriach handlowych (ograniczonych, na szczęście, przez pandemię) oraz zamiłowania do masowego importu używanych samochodów, po których „Niemiec płakał, jak sprzedawał”. „Kebabistan” zaś jest opowieścią, która wykorzystuje to danie jako pretekst, by przyrzeć się Polsce nieoczywistej.

Krystian Nowak zainteresował się więc miejscami i ludźmi, których w wielkich telewizjach nie znajdziecie. Trochę imigrantami, którzy budki i sieci z fast foodem zakładają, trochę Polakami, którzy nie tylko pałaszują, lecz także czasem w tym biznesie pracują, a wyszło z tego dziełko ciekawe i często zabawne, bo autor ma dobry słuch i odpowiednie reporterskie nawyki. No i dziełko, które jest jednym z kawałków wielkiej mozaiki, „jacy jesteście w XXI w.”.

Ciekawa jest historia przemiany receptur. Początkowo Polakom kebab nie smakował. Za suchy. Za mało w środku. Za wiele możliwości wyboru. Po wypchnięciu dania pozamięsnymi atrakcjami i przede wszystkim po zalaniu go masą gęstego sosu okazało się, że już pasuje. No i poszło. Kebab dotarł pod strzechy, nieraz na głęboką

provincję. I wyparł częściowo poprzedni przebój polskich podniebień: wszędobylską pizzę.

Ciekawsze są historie ludzkie. Mamy tu imigranta, który utknął w absurdałnej pułapce polskich przepisów i dla którego upragniony status uchodźcy okazuje się przekleństwem. Mamy pierwszego króla kebabów. Jest opowieść o tym, jak promuje się w Internecie niektóre kebabowe ekstrema, i o tym, co jest w związku z tym kultowe, a co nie. Jest i Polka pracująca „u Turka”, i historia paru bijatyk pod kebabowniami. A skoro to ostatnie, to oczywiście i próba tropienia rasizmu polskiego. Słabo to jednak Nowakowi wychodzi, choć ewidentnie ma obsesję na tym punkcie, zwłaszcza na punkcie Marszu Niepodległości.

Tam, gdzie bohaterowie nie znajdują w swych wspomnieniach dowodów na tezę o nietolerancji Polaków, tam autor dokłada kąśliwe zdaniuszka od siebie. Wszystko na nic. Mieszkańcy Polski powiatowej zwykle lubią

„swoich Turków” lub w najgorszym wypadku niespecjalnie zwracają na nich uwagę. A jeśli przychodzi do mordobicia, to nie dlatego, że rasizm, tylko dlatego, że ktoś miał w czubie. Zresztą nocne bójki pod fast foodami to nowa świecka tradycja całej Europy. W końcu jesteśmy jej dumną częścią. ©©



★★★★★
KRYSTIAN NOWAK
„KEBABISTAN”
KRYTYKA
POLITYCZNA, 2020

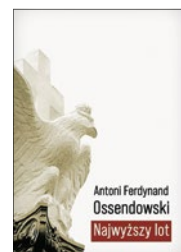
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Czy Polska mogła wygrać kampanię wrześniową 1939 r., gdyby nie została zaatakowana także przez Rosjan? Wedle autora – tak. Przekonuje on, że nie jest to ani teza ahistoryczna, ani czysta zabawa historią alternatywną.



TYMOTEUZ PAWŁOWSKI
„SOWICI NIE WCHODZĄ”
FRONDA

Zapomniana klasyka. Jeden z najbardziej poczytnych pisarzy II RP opowiada o męstwie młodych Polaków walczących w 1920 r. przeciw bolszewickiej nawaie. Autor wymyślać nie musiał, wielu bohaterów wzięt z życia.



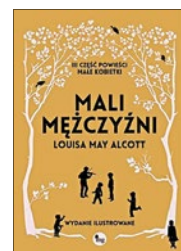
ANTONI FERDYNAND OSSENDOWSKI
„NAJWYŻSZY LOT”
ZYSK I S-KA

Podróż do III i II w. p.n.e., kiedy to hellenistyczne falangi po wielokroć ścierały się z rzymskimi legionami. Co zadecydowało o przewadze tych ostatnich? Co wiemy o sztuce militarnej starożytnej piechoty? Intrygujące.



MYKE COLE
„LEGION KONTRA FALANGA”
REBIS

Z cyklu przegapiona klasyka. „Mali mężczyźni” to ciąg dalszy powieści „Małe kobietki” i „Dobre żony”. Jo dorosła i prowadzi szkołę dla chłopców. Oprócz tego jej życie wypełniają mąż i dzieci. Wzruszenia gwarantowane! ©©



LOUISA MAY ALCOTT
„MALI MĘŻCZYŹNI”
WYDAWNICTWO MG

KOMIKS TYGODNIA: „KOMIKS I MY” – RETRO

Fascynująca wycieczka w prehistorię polskich opowieści obrazkowych. Gwóźdź programu najnowszego numeru to trzy historyjki (Sławomir Zajackowski, redaktor i wydawca, zwie je „protokomiksami”) z 1858 r., rysowane przez Artura Bartelsa – w tym jedna do tekstu Cypriana Kamila Norwida. Ten ostatni występuje też jako publicysta, bo dostajemy przedruk jego krytyki poziomu polskich



MAGAZYN KOMIKSOWY
„KOMIKS I MY”
NR 2 (12)/2020

tygodników ilustrowanych (nazbyt nasładowując zagraniczne – rzecze poeta). Osobny obszerny tekst dotyczy dorobku Jana Wilczyńskiego, jeszcze inne plansze Grottgera oraz ilustracji Jana Lewickiego do „Pamiętników” Paska. ©©

poleca Piotr Gociek

Radykalna **wieś**



FOT. FACEBOOK/RADYKALNA WIEŚ

Pochodzą z Jawora i innych miejscowości Dolnego Śląska. – To na tych terenach się wychowaliśmy, a w tych lasach przesiąkaliśmy miłością do folku – mówią muzycy Radykalnej Wsi, łączącej folk z punkiem i dubowymi brzmieniami. „Współpracujemy z wieloma ludowymi zespołami z regionu, które kultywują muzyczne tra-

dycje i są wierne dawnym zwyczajom. Zależy nam, by nasza twórczość była pełna szacunku do pierwotnego cyklu natury i oddawała klimat starych czasów, który gra w naszych słowiańskich duszach. W świecie pełnym pośpiechu i przywiązania do rzeczy materialnych chcemy uchronić opowieści i melodie pradziadków od zapomnienia.

Łącząc je z pełnymi werwy brzmieniami, wydobywamy z nich to co, magiczne” – piszą o sobie.

W utworze „Złe zorze” nawiązują do topielic – słowiańskich demonów skrywających się pod postaciami pięknych dziewcząt, duchów kobiet, które poniosły śmierć w toniach słowiańskich jezior, a które po śmierci wciągają

pod wodę zbłąkanych chłopców. Z kolei „Włos” to opowieść o niespełnionej miłości. Także tu pojawia się postać z podań i legend – wiedźma, która każe nieszczęśliwie zakochanemu chłopcu skraść i przynieść jej włos nieodwzajemniającej jego uczuć dziewczyny. Ale w orbicie zainteresowań muzyków Radykalnej Wsi są i aktualne tematy oraz realne problemy. W „Cho na blauki” śpiewają: „Mamy zabawki elektromagnetyczne, mamy gierki zupełnie idiotyczne / Mamy za mało mamy [...] / Mamy uzależnionych od smartfonów” i pouczają, zapraszają: „Ja ci tu prawdę całutką wyłożę, starą jak ten nasz pradziadek świat / Zamiast napędzać cały rok sakiewkę, rzuć wszystko i zrób tak jak ja / Cho na blauki!”. Radykalna Wieś ma na koncie jeden album noszący taką samą nazwę jak zespół. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Od glanów do sukni wieczorowej

Kiedy ją poznałem, chodziła w skórze i glanach. Trzydzieści lat później, z okładki najnowszej płyty, uwodzi wspaniałą figurą w błękitnej sukni wieczorowej.

„W listopadzie 1990 roku po rozwiązaniu Ya Hozny Renata zaczęła solową karierą kontynuowaną z powodzeniem do dziś” – sucho informuje notka prasowa. A potem było 10, a może 13 albumów – dodam sucho ja. Najnowszy podsumowuje 30-lecie pracy twórczej... Renata śpiewa swe najważniejsze piosenki, poczynając od: „Babę zesłał Bóg” i „Makijaż twarzy” duetu Ya Hozna, a kończąc na „Kłamiesz” z 2014 r.

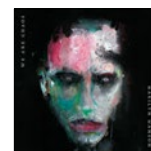
Jej artystycznym problemem, a zrazem atutem, jest „nieszufiad-

kowalność” – piosenka poetka, punk, underground, starsi panowie, Cohen... Z rzadka pisze teksty. Pewnie dlatego nie zaszła tam, gdzie jej miejsce. A może to i lepiej? Wybiera teksty innych, a te są niezwykle. Niezwykłe w jej interpretacji.

To nie jest typowe podsumowanie kariery. Tutaj siłą jest zderzenie pierwiastków. Żeński dominujący spotyka męski, równie mocny. Iskry, bo nie ma wygranych. Mikrofon w mikrofon Renata jest z: Adamem Nowakiem, Andruszem, Buslavem, Mozilem, Johnem Porterem, Leskim, Dyjakiem, Damianem Ukeje, Skubasem, Vieni, Waglewskim... Ona ich wybrała. Oni cenią ją za jej moc. Ona kocha męski głos. Spotkać ją znów bym chciał. ©©



★★★★★
RENATA PRZEMEK
„RENATA
PRZEMEK
I MĘŻCZYŹNI”
AGORA MUSIC



★★★★★
MARILYN MANSON
„WE ARE CHAOS”
LOMA VISTA
Najsłynniejsze
straszydło lat 90.

wraca do formy. Gotycki mąż stanu wraz z wykleśtym countrowcem, Shooterem Jenningsem (synem słynnego Waylona), przetworzył żrące, upiorne brzmienie Mansona z ery albumu „Mechanical Animals” w świetlisty glam metal wysokiej próby.



★★★★★
THE BARTENDERS
ALIBABKI I GOŚCIE
„TRIBUTE TO
ALIBABKI”
GAD

W 1965 r. Alibabki nagrały epkę w rytmie ska. Reggae'owcy z The Bartenders uczcili 50-lecie premiery płyty, zapraszając do studia 16 wokalistów i wokalistek i upichcili przeboje Alibabek w jamajskim sosie. A z paniami nagrali współczesne wersje tamtych piosenek. ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl b59b780b03

I dźcie do Narodowego, nie tylko na Kozuchowską w tytułowej roli Matki Joanny, ale i na Iwaszkiewicza, i na rzetelnie robiony teatr. Pół roku pandemicznej przerwy w graniu wpłynęło ożywczo i na aktorów, i na sam spektakl. Był czas na przemyślenie, dopracowanie rozwiązań, eliminację. Była okazja oczyścić scenę z pustostłowa, z nadmiaru, z inscenizacyjnego gadulstwa i pomysłów bez pokrycia. Chwalebny jest ten minimalizm reżyserski Wojciecha Farugi. Jeśli muzyka, to biały szum, w którym czuje się dobrze nie byle jaki filozofujący dialog. Jeśli rekwizyt, to wygrany do końca, który ma swoją wagę, niemal fizycznie odczuwalną. Jeśli scenografia – to przejście do zaświatów poprzez zawieszony nad sceną okrągły ekran, na którym można rzucić i oślepiające światło objawienia, i cień najczarniejszego mroku. Jeśli tekst opowiadania – to oskrobany do najistotniejszych, gęstych dialogów (dramaturgia Julii Holewińskiej). W tak przygotowane, obiecujące miejsce sceniczne wszedł zespół celebrujący powrót do grania – po to, by wpuścić tam Iwaszkiewicza takiego, na jakiego zasługuje Narodowy. I nie chodzi mi wcale o intronizację kolejnego narodowego wieszczka, ale o to, że doskonały polski autor po prostu został wnikliwie przeczytany. Wystarczyło obrać trajektorię bez ideologicznej łatwizny, nie pouczać publiczności. Dać postaciom mówić „od siebie”, wydobyć architekturę utworu z przewrotnym rozwiązaniem akcji, gdzie ostateczna racja i tak nie należy do nikogo.

Czym jest centralne pojęcie chrześcijaństwa, ofiara? – na to finalne pytanie nie dostaniemy odpowiedzi, bo ironia miesza się tu z uznaniem świętości. Żarliwie,



Jarosław Iwaszkiewicz
„Matka Joanna od Aniołów”,
reżyseria, scenografia, światło
– Wojciech Faruga,
dramaturgia – Julia Holewińska,
Teatr Narodowy w Warszawie
– premiera 5 września 2020 r.

FOT. MAGDA HUECKEL

Kto kocha jak przyziemny sknera...



Grzegorz Kondrasiuk

Mamy jednak trochę teatru w Polsce. Takiego, który ma w zapasie ciekawą możliwość: trafną inscenizacją utworu potrafi znieacka przenieść autora z powrotem w rejony nieoczywistości. Właśnie coś takiego przydarzyło się w Teatrze Narodowym „Matce Joannie od Aniołów”

jak to tylko agnostyk potrafi, pyta tu Iwaszkiewicz o sankcje ostateczne i o problem zła, a echa tych pytań pojawiają się w kwestiach postaci drugoplanowych: u prowincjonalnego sybaryty, ks. Bryma (Krzysztof Stelmaszczyk), i w manichejskiej filozofii cadyka, rebeego Isze.

Opowiadając o opętaniu zakonniczki Joanny i o doktrynerze, ks. Surynie, egzorcyście, który otrzymał najtrudniejszą misję w życiu, Iwaszkiewicz paradoksalnie jest tu jak najdalszy od doktrynerstwa. Nie byłby Iwaszkiewiczem, gdyby nie pisał o diabłach i aniołach na poważnie, co

jakiś czas przymrużając lekko jedno oko: pozwalając sobie na nazywanie Zapalniczką ostatniego z demonów nękających Joannę albo wypowiadając ustami Bryma taką oto filozoficzną refleksję: „Wielki diabeł Behemot, który operuje w wielkich zbrodniarzach – i mały... może się Piwko nazywa? – który nam podsuwa drobne zadowolenia”.

Zasługą skoncentrowanego, mocnego zespołu aktorskiego jest przekazanie tych tonów – tak jak muzykę przenosi dobrze wykonany i zestrojony instrument w rękach majstra. Suryn (Karol Pocheć) nie jest tu naiwnym młodzieniaszkiem, tylko zmęczonym mistykiem: ma pobrużdżoną twarz i udęcone oczy. Matka Joanna jest zagadką, oszczędna, a przez to świetlista rola Małgorzaty Kozuchowskiej nie rozstrzyga, czy jej opętanie to mistyfikacja, choroba, a może rzeczywistość niedająca się objąć racjonalnym umysłem. Żadnego gwiazdorzem! W tak naszkicowanym świecie byłoby ono głośno brzmiącym fałszem. Długa scena, w której Suryn i Małgorzata wymierzają sobie raz po raz ten drugi chrystusowy policzek, ma w sobie moc scen układanych przez Pinę Bausch (no, prawie...).

Długo (i o każdej roli) można pisać, bo szerokie otwierają się tu przestrzenie, po których da się wędrować z własnymi przemyśleniami. A może jest to rzecz o miłości? Bo w narastającym crescendo coraz mocniej wybrzmiewają, stając się w końcu jedynymi, wątki nie tylko finałowej zbrodni, lecz także miłości. Tej boskiej i tej ludzkiej. „Kto kocha jak przyziemny sknera / ciałem, nie duszą, temu biada” – powiada słowami Johna Donne’a upadła zakonniczka Małgorzata (głęboko prawdziwa, ludzka Edyta Olszówka). ©©

POLSKIE TERMOPILE

ZAŁOGA ODCINKA WIZNA.
DWIE KOMPANIE PIECHOTY
W KILKU BETONOWYCH
SCHRONACH. SZEŚĆ DZIAŁ.
MNIJ NIŻ 700 ŻOŁNIERZY.
**PRZECIWKO 40 TYSIĄCOM
NIEMIECKIEGO KORPUSU
PANCERNEGO, GENERAŁA
HEINZA GUDERIANA.**

TAK ROZPOCZYNA SIĘ
DESPERACKA WALKA
DO OSTATNIEGO NABOJU,
OSTATNIEJ KROPLI KRWI.
WALKA KAPITANA
WŁADYSŁAWA RAGINISA,
DOWÓDCY, KTÓRY
PRZYSIĄGŁ, ŻE ŻYWY
SWEJ POZYCJI
NIE OPUŚCI.



fabryka słów
WYDAWNICTWO

PATRONAT MEDIALNY

JACEK KOMUDA WIZNA

PREMIERA
KSIĄŻKI
18.09.2020



Jak przegrać wojnę cywilizacji



Mariusz Dzierżawski

Rewolucja obyczajowa zwyciężyła na Zachodzie, ponieważ ci, którzy mogli i powinni podjąć debatę, nie odważyli się tego zrobić. Tomasz Terlikowski zachęca nas dzisiaj do powtórzenia tej strategii

Tomasz Terlikowski na łamach „Rzeczpospolitej” [magazyn „Plus Minus” z 6 września] przedstawił swoją ocenę starcia cywilizacji w Polsce. Trudno nie zgodzić się z opisem sytuacji Zachodu zawartym w artykule.

Prawda przestała mieć znaczenie w debacie publicznej, w polityce, a nawet w części filozofii. Ideałami są: pragmatyzm, utylitaryzm, interes, sukces czy wreszcie najprostsze zaspokojenie emocji, ale nie prawda, pisze publicysta.

Autor przywołuje opinię Alasdaira MacIntyre’a, który porównał obecne czasy do upadku Imperium Rzymskiego, z tą różnicą, że dzisiejsi „barbarzyńcy nie gromadzą się u naszych bram; oni od pewnego czasu sprawują nad nami władzę”.

Trafnej ocenie upadku cywilizacyjnego Zachodu nie towarzyszy nawet próba wyjaśnienia okoliczności tej katastrofy. Bez takiej analizy trudno sformułować rekomendacje, które pozwoliłyby uniknąć realizacji zachodniego scenariusza w Polsce.

Nie zważając na ten wymóg, Tomasz Terlikowski przystępuje do formułowania ocen i wskazówek dla uczestników debaty cywilizacyjnej w naszym kraju.

Publicysta krytykuje obóz rządzący za to, że „zamiast prowadzić spójną,

realistyczną politykę, zaczyna uprawiać medialną partyzantkę, która niewiele lub zgoła nic nie zmienia, a za to rozwściecza ideowych adwersarzy i zwiększa ich determinację”.

REALIZM?

Zastanawiam się, co autor ma na myśli, pisząc o „spójnej, realistycznej” polityce? Przecież taką właśnie politykę prowadziły partie konserwatywne i chadeckie w Europie Zachodniej. To owym „realistycznym” politykom zawdzięczamy legalizację rozwodów, aborcji, a następnie wprowadzenie deprawującej (w wielu krajach przymusowej) edukacji seksualnej. Zachodni prawicowcy, wprowadzając niemoralne prawa, argumentowali, że gdyby zrobiła to lewica, efekty byłyby jeszcze gorsze. Oczywiście lewicowcy, dochodząc do władzy, niemoralne prawa jeszcze pogarszali. Prawicowcy, wracając do władzy, w imię „spójności i realizmu” destrukcyjnych zmian lewicowców nawet nie próbowali korygować. Terlikowski, który przez lata politykę zachodnich prawicowców piętnował, tym razem namawia do tego, aby polscy politycy do zachodnich standardów się dostosowali.

Równie ciekawe jest określenie „medialna partyzantka”. Czyżby jasne formułowanie kwestii moralnych było „partyzantką”? Czy publiczne kwestionowanie postulatów lobby LGBT+ jest naganne? Dlatego że „rozwściecza ideowych adwersarzy”? Ideowych adwersarzy na Zachodzie rozwściecza wskazywanie biologicznych różnic między kobietami i mężczyznami. Czy dlatego mamy przestać o nich mówić? Uleganie strachowi przed „rozwścieczeniem” przeciwnika jest prostą drogą do klęski. Przecież rewolucjonistów obyczajowych rozwścieczyć może wszystko, co nie jest zgodne z ich ideologią. Próby ugłaskania rewolucjonistów zawsze

kończyły się eskalacją ich żądań. To właśnie obserwujemy dziś na Zachodzie. Nawiasem mówiąc, zastanawiam się, jak Tomasz Terlikowski wyobraża sobie wprowadzenie zakazu aborcji eugenicznej bez „rozwścieczania adwersarzy”.

Tomasz Terlikowski zajmuje się również rolą hierarchów Kościoła w debacie cywilizacyjnej. Publicysta sugeruje, że biskup, który nie potrafił poradzić sobie z rektorem seminarium, bywalcem klubów gejowskich, nie powinien wypowiadać się w sprawach moralnych, bo media nie będą tego tolerować. Zastanawiam się, co autor ma na myśli. Czy chodzi o to, aby biskupi przestali się wypowiadać niezgodnie z mainstreamem medialnym, czy o to, aby zaczęli postępować zgodnie z nauką Kościoła, którą powinni jasno głosić? Gdyby chodziło o to drugie, należałoby tej tezie przyklasnąć. Obawiam się jednak,



ROS MAROSIAN OWIZNEK



czych, prowadzenie badań naukowych. Wszystko to są oczywiście pożyteczne rzeczy, ale nie można ich zrealizować, unikając otwartej debaty w kwestiach obyczajowych, aby nie „rozwścieczać ideowych adwersarzy”. Właśnie strach prawicowców przed otwartą debatą doprowadził do katastrofy społeczeństwa Zachodu. Wbrew temu, co sugeruje publicysta, to nie jasne sformułowanie swojego stanowiska zwiększa determinację ideowych adwersarzy, tylko tchórzostwo okazywane przez prawicowców. Przez wiele lat policja łagodnie traktowała tęczowych chuliganów, którzy stawali się coraz bardziej agresywni, aż doszło do bandyckiego napadu „Margota” i jego kumpli na Wilczej. Zdecydowana reakcja prokuratury spowodowała, że poziom agresji lewicowych bojówkarzy gwałtownie opadł.

Publicysta ma rację, opisując sytuację na froncie cywilizacyjnym jako dramatycznie trudną. Przyczyniły się do tego zaniedbania prawicowych polityków i bierność biskupów, którzy na kryzysowe sytuacje reagowali chowaniem głowy w piasek. Siłą napędową rewolucji były i są media. Terlikowski, choć od kilkudziesięciu lat uprawia zawód dziennikarza, zdaje się tego nie zauważać. To media od dziesięcioleci promują rozwój „kochających inaczej” jako wzór do naśladowania, skandale i ekshibicjonizm przedstawiają jako odwagę. Prace analityczne i zmiany prawne, które postuluje publicysta, są potrzebne, ale nie tutaj znajduje się główny odcinek frontu. Sześćdziesiąt lat temu cały Zachód miał lepsze ustawodawstwo niż to, o którym marzy Terlikowski. Podobnie było jeszcze kilka lat temu w Irlandii. W tym czasie rewolucjoniści obyczajowi prowadzili intensywne kampanie społeczne. Konserwatyści byli cisi i potulni. Nic dziwnego, że wielu ludzi uznało, iż dobre prawo jest złe.

Rewolucja obyczajowa zwyciężyła na Zachodzie, ponieważ ci, którzy mogli i powinni podjąć debatę, nie odważyli się tego zrobić. Tomasz Terlikowski zachęca nas dzisiaj do powtórzenia tej strategii, bo inaczej „rozwścieczymy adwersarzy”. Swoją drogą – ciekawe, dlaczego elity Zachodu bez walki uległy rewolucjonistom? Jednym z głównych argumentów rewolucjonistów była obłuda konserwatystów. Rewolucjoniści twierdzili, że

konserwatyści pięknie mówią o zasadach moralnych, ale nie żyją według nich. Niestety, często mieli rację. Z tej prawdziwej obserwacji wyciągali błędny wniosek, że trzeba zmienić prawo chroniące moralność. Sprzeczność między dobrymi słowami a złymi czynami należy rozwiązywać przez poprawę czynów. Niestety konserwatyści na Zachodzie woleli zachować złe obyczaje, a zmienić dobre prawa.

UCIERPIĄ DZIECI

Jesteśmy dzisiaj w znacznie gorszej sytuacji, niż był Zachód 60 lat temu, ale to nie znaczy, że powinniśmy dostosować się do wymagań przeciwnika. Nie ma żadnych symptomów, że rewolucja obyczajowa na Zachodzie się ogranicza. Wręcz przeciwnie – widzimy, jak przyspiesza. Dostępność i łatwość aborcji rośnie, podobnie jest z eutanazją. Promocja coraz bardziej odrażających zbrodni seksualnych przybiera na sile. Bluźnierstwa i prześladowania chrześcijan również. Legalizacja „zmiany płci” nie spowoduje spowolnienia działań rewolucjonistów, wręcz przeciwnie – będą się domagać szerszego dostępu do dzieci, aby chętnych do zmiany płci było jak najwięcej. Statystyki brytyjskie, według których dzieci tysiącami szpikuje się hormonami, budzą przerażenie.

To bowiem właśnie dzieci są głównymi ofiarami rewolucjonistów. Dzieci milionami mordowane w Europie przez aborterów. Dzieci pozbawione dzieciństwa, ideałów i zdolności do budowania relacji przez seksedukatorów.

Naszym obowiązkiem jest bronić tych, którzy sami bronić się nie mogą, nawet jeśli oznacza to dla nas dyskomfort czy prześladowania. Linda Gibbons i Mary Wagner spędziły wiele lat w więzieniu za obronę dzieci przed aborcją. Krytykowanie zbrodni w wielu krajach Zachodu jest traktowane jako czyn kryminalny. Wolontariusze Fundacji Pro – Prawo do Życia od lat spotykają się z atakami werbalnymi, a ostatnio z przemocą fizyczną. Gdybyśmy pod wpływem tych napaści wycofali się, oznaczałoby to zdradę najsłabszych.

Tomaszowi Terlikowskiemu, sobie i wszystkim, którzy walczą w obronie mordowanych i deprawowanych dzieci, polecam słowa, które do Jeremiasza skierował Pan Bóg: „Nie lękaj się ich, bym cię czasem nie napełnił lękiem przed nimi”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

że nie taka była intencja autora.

W artykule znajdują się również wskazówki, co rządzący powinni zrobić. Jednym z postulatów jest ułatwienie formalnej procedury zmiany płci, bo – jak pisze Terlikowski – dotychczasowa procedura uderza w godność rodziny. Publicysta nie zaprzęta sobie głowy pytaniem, czy z biologicznego punktu widzenia zmiana płci jest możliwa. Zatem jeśli ktoś chce zmienić sobie płeć, to państwo powinno tę jego chęć zrealizować. Formułuje ten postulat człowiek, który kilka akapitów wcześniej opłakiwał utratę znaczenia prawdy w debacie publicznej.

WINA MEDIÓW

Tomasz Terlikowski zapewnia czytelników, że nie wywiesza białej flagi. Postuluje prowadzenie wytrwałej pracy prawnej, szkoleń dla środowisk prawni-



Premier Mateusz Morawiecki podczas konferencji poświęconej inicjatywie Trójmorza w 2018 r. w Bukareszcie FOT. DANIEL MIHAILESCU/AFP/EAST NEWS

Trójmorze i Bruksela



Jan Parys

Żaden sojusz gospodarczy nie będzie miał znaczenia, jeżeli nie zostanie wsparty przez mechanizm promocji wspólnego dziedzictwa i wspólnych interesów. Ta reguła dotyczy także Trójmorza

Kraje Europy są obecnie poddane presji, jaką stanowi spór między ideologią liberalną a konserwatywną. Nie jest celem naszego regionu, by narzucać komukolwiek nasz środkowoeuropejski styl życia i myślenia, lecz w naszym interesie jest, by państwa Trójmorza zachowały swoje dziedzictwo

i przetrwały przy fundamentach cywilizacji łańciskiej. Mamy prawo bronić naszych tradycji i naszych zasad ustrojowych.

Żadne państwo ani żadna organizacja międzynarodowa nie mają prawa ingerować w sprawy wewnętrzne państw Trójmorza. Co więcej, wszystkie cywilizowane państwa podpisały zobowiązania, które zakazują takich ingerencji, gdyż jest to poważne naruszenie suwerenności. Jak wiadomo, karta ONZ w art. 3 pkt 1 gwarantuje każdemu państwu prawo do równouprawnienia i samostanowienia, co wyklucza ingerencje czy wywieranie nacisków na sprawy wewnętrzne. Deklaracja KBWE z sierpnia 1975 r. w części VI mówi wprost o zasadzie nieingerencji w kwestie wewnętrzne, bo to jest podstawa pokojowej kooperacji między państwami. Traktat o UE w art. 4 ust. 2 mówi, że Unia szanuje równość państw członkowskich i ich tożsamość narodową. Są więc pełne podstawy

prawno-międzynarodowe do tego, by kraje Trójmorza broniły nie tylko swoich interesów, lecz także swoich wartości.

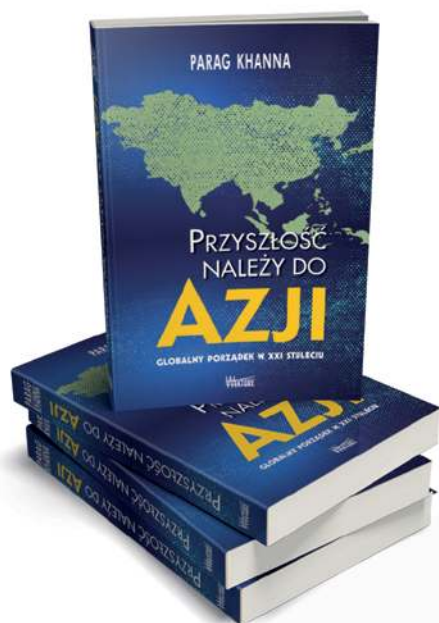
ZAINWESTOWAĆ W WIZERUNEK

Prawda o nas, o naszym regionie sama się nie upowszechni, trzeba być aktywnym w jej obronie i ją promować. Nikt za nas tego nie zrobi. Warto zainwestować w nasz własny wizerunek, we własną reputację. W Unii Europejskiej trwa nie tylko rywalizacja gospodarcza. Jest też konkurencja o lepszy wizerunek, bo on stanowi specjalny rodzaj ważnego kapitału, bez którego trudno utrzymać wpływy polityczne czy pozycję ekonomiczną.

Nie ma co ukrywać, że od pokoleń niektórzy politycy na Zachodzie świadomie popularyzują na temat naszego regionu opinie negatywne – głoszą, że jesteśmy nie tylko zacofani gospodarczo, lecz także pozbawieni dziedzictwa. Koncepcja tzw. **■**

REKLAMA

NOWA POZYCJA WYDAWCY SERII WOJNA O PIENIĄDZ:



Przyszłość należy do Azji

Porządek zachodniego świata już nie istnieje i nigdy nie powróci. Był tak zależny od okoliczności, jak jakiegokolwiek inna epoka, a teraz lepiej będzie dla nas, jeśli będziemy aspirować do bardziej inkluzywnego oraz stabilnego horyzontu. Nigdy wcześniej nie było światowego systemu tak silnie naznaczonego przez liczne cywilizacje, regiony oraz bieguny władzy obejmujące wszystkie kontynenty, porządku świata, w którym sukces każdego zależy od zdrowego stopnia globalizacji między nimi.

– Parag Khanna
Wiodący doradca ds. strategii globalnej, podróżnik i autor bestsellerowych książek

Czas Niewolników

Józef Bialek
Współczesne społeczeństwa składają się w przeważającej mierze z bankowych niewolników oddających wszystko za dach nad głową.



Wojna o pieniądze 5

Song Hongbing
Izrael, Iran i Chiny w wojnie o świat, źródła najważniejszych konfliktów współczesnego świata, zarówno militarnych, jak i gospodarczych.



Jałowy pieniądź

E. Michael Jones
Dzieje kultury Zachodu z punktu widzenia gospodarki i systemu, który dominował w niej w czasach nowożytnych: kapitalizmu.



WŁAŚCIWE WEKTORY W CZASACH ZAMĘTU
WWW.WYDAWNICTWOWEKTORY.PL

■ Europy Wschodniej ma służyć temu, by legitymizować ich dominującą pozycję, która ma uprawniać ich do wtrącania się w nasze sprawy, a nas zmuszać do słuchania cudzych rad.

Tożsamość Europy Zachodniej to tożsamość kolonialna zarówno wobec państw pozaeuropejskich w XIX w., jak i dziś wobec państw Trójmorza. Koncepcja barbarzyńskiego i zacofanego wschodu ma obecnie uzasadniać pozycję dominującą brukselskich biurokratów. Wśród polityków brukselskich często spotykamy postawy kulturowego rasizmu i kulturowej hegemonii, postawę wrogości i pogardy dla każdego, kto jest ze wschodu. Multikultura-

Koncepcji Trójmorza brakuje fundamentów ideowych – istnieją oczywiście od wieków, tylko trzeba je przypominać i popularyzować

lizm obowiązuje tam tylko wobec muzułmanów. Według brukselskich biurokratów Europa to tylko kilka państw z zachodniej części kontynentu, a reszta świata to peryferie. To jest nawiązanie do politycznej koncepcji z XIX w., kiedy Europą rządził koncert mocarstw, czyli sojusz państw imperialnych po kongresie wiedeńskim.

JAK BUDOWAĆ?

Politycy z Brukseli próbują narzucać jeden model społeczno-gospodarczy i ustalać obowiązującą hierarchię dobra i zła. Za pomocą cenzury, procedur prawnych i kar finansowych chcą dyscyplinować wolne narody wedle panującej w Brukseli ideologii. Jest paradoksem, że głosząc wolność i liberalizm, politycy z Paryża, Berlina, Rzymu, Hagi i Madrytu odmawiają prawa do wolności i tożsamości 130 mln Europejczyków tylko dlatego, że ci mieszkają na wschodzie kontynentu. Trudno o lepszy przykład myślenia schematami neokolonialnymi. Niestety, także obecna Komisja Europejska próbuje podporządkować sobie państwa Trójmorza dlatego, że są inne, a każdy inny według biurokratów z Brukseli musi być gorszy (chyba że chodzi o muzułmanów).

To, że wskutek konferencji w Teheranie i w Jałcie nasz region pozostawał w roli peryferii, nie oznacza, że nam to odpowiadało. To był rezultat zdrady Zachodu. Pozycja ta nie była ani nie jest naszym wyborem.

Niektórzy na Zachodzie chcieliby dziś kontynuować system uzależnienia Europy Wschodniej – tym razem od nowej centrali pod hasłem postępu. Tymczasem kraje Trójmorza chcą utrzymać i odrodzić swoją tożsamość, zamiast przyjmować brukselskie wzory. Najwyższy czas zdekolonizować mentalność polityków z Brukseli wobec państw Trójmorza. Tradycje parlamentarne i zasady tolerancji w naszym regionie często są starsze niż w Europie Zachodniej. Polska czy Węgry to nie są nowe demokracje, lecz państwa o starej demokratycznej, parlamentarnej i konstytucyjnej tradycji. Nie możemy się godzić z rolą wiecznych naśladowców, którzy tylko doganiają kraje uważane za postępowe. Nie wystarczy jedynie polemizować z tymi ignorantami. Żeby się bronić, trzeba samemu coś oferować w dziedzinie idei.

Budując Trójmorze, warto sięgać do dobrych wzorów współpracy międzynarodowej. Można tu przypomnieć zdanie Jana Pawła II, który w Strasburgu w październiku 1988 r. w Parlamencie Europejskim mówił: „Gdyby religia i chrześcijaństwo zostały pozbawione wpływu na etykę i kształt społeczeństw, oznaczałoby to nie tylko zapomnienie dziedzictwa europejskiej przeszłości, ale i poważne zagrożenie dla godnej przyszłości”.

Politykom zajmującym się sprawami międzynarodowymi papież przy różnych okazjach wskazywał cztery ważne cele: obronę życia, pokoju, wolności oraz walkę z głodem i biedą. Zjawiska negatywne w życiu międzynarodowym według Jana Pawła II to dążenie do dominacji i wyzysku innych narodów oraz egoizm zamiast solidarności. Wskazywał, że pokój to nie jest brak konfliktów – bo to jest utopia – lecz zdolność pokojowego rozwiązywania sporów przez sprawiedliwe postępowanie, czyli poszanowanie praw ludzi i narodów. To są zasady, na których, w nawiązaniu do dorobku Jana Pawła II, warto budować Trójmorze.

POTRZEBNY FUNDUSZ ABC

W tej chwili koncepcji Trójmorza brakuje fundamentów ideowych – istnieją oczywiście od wieków, tylko trzeba je przypominać i popularyzować. Potrzebne są środki finansowe do upowszechnienia idei Trójmorza w Europie. Czas najwyższy, by przeznaczyć chociaż 1 proc. z funduszy na inwestycje w komunikację między obywatelami z państw tworzących region oraz na promocję wielkiego projektu Trójmorza w Europie. Proponuję ten fundusz nazwać

ABC (to skrót od nazwy trzech mórz: Adriatyku, Bałtyku i Morza Czarnego). Bez tego trudno będzie pozyskiwać zrozumienie, poparcie i środki finansowe. Mamy dobre przykłady owocnego współdziałania państw we wspólnych strukturach Unii Europejskiej. Jest grupa państw Beneluksu, które koordynują swe działania od wielu lat. Przykładem skutecznej kooperacji jest także grupa państw Wyszehradu. Są więc pozytywne doświadczenia, którymi można się posłużyć, budując Trójmorze.

Język traktatów i finansów, sprawy rurociągów i światłowodów nie opisywają w pełni ludzkiego świata. Państwa Trójmorza nie mogą zgodzić się na rolę politycznych peryferii, na rolę dostawców podzespołów dla niemieckich fabryk i rynku zbytu. Dzisiaj niektórzy politycy na Zachodzie chcą traktować obywateli naszej części Europy gorzej niż uchodźców z Afryki. W sferze gospodarczej państwa Trójmorza są zaniedbane. W sferze kultury i polityki mamy długą historię oraz poważne tradycje, chociaż są one słabo znane na Zachodzie.

Uważam, że nie mamy powodu do kompleksów. Na kraje naszego regionu nie można patrzeć jak na anomalie, lecz na odrębną drogę rozwoju.

Nie musimy wciąż naśladować Zachodu. Przypomnijmy – to na Zachodzie zainicjowano drugą wojnę światową. To tam po wojnie pojawiły się doktryny filozoficzne podważające fundamenty europejskiego myślenia, kwestionujące koncepcję prawdy wywodzącą się od Arystotelesa oraz prawa logiki. Czas powiedzieć wprost – to zwolennicy popularnych na Zachodzie ideologii boją się dziś faktów i dlatego zajmują się niszczeniem samej prawdy jako wartości. Tymczasem nie można prawdy o świecie zastępować poprawnością polityczną ani prywatnymi narracjami. Warto bronić w naszych krajach nauczania i popularyzowania filozofii greckiej, prawa rzymskiego, historii chrześcijaństwa, dziejów całej Europy, czyli także dziejów narodów Trójmorza. Nie ukrywajmy tego, że nasze narody weszły w krąg światowej kultury, kiedy przyjęły chrześcijaństwo. Może warto wspólnym wysiłkiem opublikować po angielsku podstawowe dzieła o historii regionu i z zakresu kultury. Możemy przyjmować strategię rozwoju UE, ale pod warunkiem, że wcześniej Unia uwzględni nasz punkt widzenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest byłym ministrem obrony narodowej.

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 1



Izraelska polityka historyczna – wzór skuteczności

- Holokaust jako fundament izraelskiej państwowości • Konsekwencje procesu Eichmanna – jak Izrael stworzył skuteczną narrację historyczną
- Izraelskie lobby w USA – kluczowe narzędzie polityki historycznej



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI





FOT. DOMENA PUBLICZNA

SPIS TREŚCI

53 PIOTR ZYCHOWICZ NIGDY WIĘCEJ SŁABOŚCI

Izrael wykorzystuje Holokaust do wzmacniania siły swojego państwa. A także do pozyskiwania wsparcia dla swojej polityki na scenie międzynarodowej

57 PIOTR WŁOČZYK PROCES STULECIA

Spektakularny proces Adolfa Eichmanna kompletnie zmienił postrzeganie Holokaustu nie tylko w Izraelu, lecz także na świecie

60 WOJCIECH SIMON MIĘKKA SIŁA LOBBYSTÓW

Izrael dba o propagowanie interesów na świecie m.in. za pomocą wpływowych grup lobbujących w USA. To niezwykle skuteczne narzędzie. Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych (AIPAC) jest jedną z najbardziej znaczących organizacji w Waszyngtonie. Z AIPAC konkuruje z kolei lewicowa J Street

62 WOJCIECH SIMON POLITYKA I PAMIĘĆ

Państwo Izrael już w 1986 r. uchwaliło prawo przewidujące karę do pięciu lat więzienia

za negowanie Holokaustu. Próba przyjęcia przez Polskę prawa zakładającego kary do trzech lat więzienia za kłamstwa o „polskich obozach śmierci” spotkała się już jednak z ostrymi protestami izraelskich władz oraz mediów

64 JAKUB OSTROMĘCKI BIBLIA W POLITYCE HISTORYCZNEJ

Tradycja biblijna odgrywa olbrzymią rolę w polityce Izraela. Sięganie do tych opowieści pomaga utrzymać jedność narodową i pozwala tłumaczyć współczesnym Izraelczykom ich prawo do życia na tych ziemiach

Nigdy więcej słabości



W 2003 r. generał lotnictwa Amir Eszel za sterami samolotu F-15 przeleciał tuż nad Auschwitz

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Piotr Zychowicz

Izrael wykorzystuje Holokaust do wzmacniania siły swojego państwa. A także do pozyskiwania wsparcia świata dla swojej polityki

W dniu pamięci Holokaustu na oficjalnym profilu izraelskiej armii opublikowany został fotomontaż. Przedstawia on czarno-białe zdjęcie Żydów pędzonych na śmierć przez Niemców w trakcie drugiej wojny światowej. W pewnym momencie zdjęcie to się rozmywa, aby przekształcić się w kolorową fotografię dziarsko maszerujących po pustyni

izraelskich żołnierzy. Są obwieszeni bronią maszynową, jeden z nich dzierży dumnie łopoczący na wietrze sztandar z gwiazdą Dawida.

Plakat wywołał poruszenie internautów. Część uznała go za wyjątkowo niesmaczne wykorzystywanie Zagłady przez Państwo Izrael. Próbę używania tragedii Holokaustu do usprawiedliwiania okupacji Palestyny i łamania praw człowieka przez izraelskie siły zbrojne. Inni nie potrafili jednak ukryć wzruszenia.

„Naród żydowski był zmuszany przez Nazistów do »marszów śmierci«. Nigdy więcej! Historia pokazała, że możemy polegać tylko na sobie i musimy stawiać opór. Stoimy u boku Izraela i izraelskiej armii teraz i na zawsze” – napisał w emocjonalnym tweecie kanadyjski działacz żydowski Avi Benlolo.

W ten sposób w kilku zdaniach przedstawił jeden z głównych dogmatów

izraelskiej polityki historycznej. Holokaust – zagłada milionów europejskich Żydów w trakcie drugiej wojny światowej – jest obecnie jednym z fundamentów ideologii państwa żydowskiego na Bliskim Wschodzie. Wykorzystywanym do celów zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych.

F-15 NAD AUSCHWITZ

Izrael cierpi na syndrom obłożonej twierdzy. Otoczony ze wszystkich stron przez nieprzyjaciół, od momentu swojego powstania toczy kolejne krwawe wojny z sąsiednimi państwami arabskimi. Największe kampanie przypadły na lata: 1948, 1956, 1967, 1973, 1982 i 2006. Do tego należy dodać kolejne palestyńskie intifady i trwającą niemal bez przerw walkę na śmierć i życie z Hezbollahem i Hamasem.

Izraelscy politycy lubią powtarzać, że niewielki Izrael żyje we „wrogim

■ arabskim morzu”, że Izraelczycy siedzą na tykającej bombie. Miażdżąca przewaga technologiczna i bezwarunkowe wsparcie Stanów Zjednoczonych do tej pory pozwalały im jednak wychodzić z oparów obronną ręką. Wszystko to może jednak nie wystarczyć, gdy w narodzie umrze duch bojowy.

Jednym z narzędzi do jego podtrzymania jest właśnie pamięć o Holokauście. Izraelscy uczniowie biorą udział w wycieczkach do Auschwitz i innych byłych obozów zagłady, gdzie mogą się przekonać, co może spotkać bezbronnych Żydów żyjących w diasporze. Żydów pozbawionych własnego państwa i własnej potężnej armii, która może obronić ich przed czyhającymi wszędzie wrogami.

Do Auschwitz często przyjeżdżają również wycieczki izraelskich żołnierzy. Defilują oni w mundurach przed barakami i wzdłuż drutów kolczastych. Naczelnym hasłem wygłaszanym podczas takich uroczystości jest: „Nigdy więcej”. Nigdy więcej słabości. Nigdy więcej bezradności. Nigdy więcej Zagłady.

Żydzi mają już własne państwo, własne karabiny maszynowe, własne czołgi, rakiety, a nawet pociski jądrowe. Nie pójdą już jak jagnięta na rzeź – będą walczyć jak lwy w obronie swojej egzystencji. Młodych Izraelczyków w mundurach przekonuje się, że jeżeli zawiodą na polach bitew, wówczas cały naród zostanie wymordowany przez krwiożerczych Arabów. Tak jak niegdyś omal nie został wymordowany przez krwiożerczych nazistów.

Do legendy przeszły słowa, które podczas jednej z wizyt w Auschwitz wypowiedział słynny izraelski wojskowy i polityk Ehud Barak. Składając wieniec w byłym obozie zagłady, rzekł: „Niestety, przybyliśmy za późno...”. To, co dla postronnego słuchacza mogło się wydawać groteską, dla Izraelczyków było ważnym przekazem. Wtedy nie mieliśmy armii, która mogła nas obronić, ale teraz mamy.

W 2003 r. generał lotnictwa Amir Eszel za sterami samolotu F-15 przeleciał nad Auschwitz. Izraelski oficer przebywał w Polsce na pokazie lotniczym w Radomiu. Polacy pozwolili mu przelecieć nad obozem, ale pod warunkiem, że zrobi to nad poziomem chmur. Eszel złamał zakaz i z rykiem silników przeciągnął tuż nad barakami.

„Powiedziałem wówczas pozostałym pilotom: musieliśmy słuchać Polaków przez 800 lat. Teraz już się ich słuchać



Żydzi mają już własne państwo, własne karabiny maszynowe, własne czołgi, rakiety, a nawet pociski jądrowe. FOT. DOMENA PUBLICZNA

nie musimy” – relacjonował. Słowa te zostały przyjęte przez część społeczności żydowskiej z entuzjazmem. Generał został uznany za bohatera i żydowskiego mściciela.

„Nad Auschwitz Eszel dokonał symbolicznej zemsty na Polakach, którzy upokarzali Żydów w trakcie stuleci, które doprowadziły do Holokaustu – napisał znany amerykański publicysta Jeffrey Goldberg. – Jego ówczesny dowódca uznał, że ten przelot był najlepszym dowodem, że syjonistyczne przekonanie, iż Żydzi mogą liczyć tylko na siebie, jest prawdziwe”.

Młodzi izraelscy żołnierze stanowią również spory procent odwiedzających muzeum Yad Vashem w Jerozolimie. Izraelska armia urządza swoim rekrutom pogadanki na temat Szoah, pokazuje im filmy i regularne spotkania z ocalałymi z Holokaustu.

Z myślą o młodych żołnierzach uruchomiony został również specjalny program „Świadkowie w mundurach”. „Świadkowie w mundurach – czytamy na stronie internetowej izraelskiej armii – odwiedzają były obozy śmierci w Polsce w składzie delegacji składających się z oficerów, rezerwistów, członków rodzin

poległych żołnierzy oraz ocalałych z Holokaustu. Podróże te niezmiennie wzmacniają ich determinację, aby wytrwać, chronić swój naród i głosić hasło: »Nigdy więcej«.

Nietrudno się dziwić, że po powrocie z takiej wyprawy młody człowiek gotowy jest poświęcić życie w obronie swojej ojczyzny i swojego narodu. Naczelne hasło brzmi w końcu: „Opłakiwać zgładzonych, bronić żyjących”.

NOWY HITLER NADCHODZI

Izrael używa Holokaustu również na arenie międzynarodowej. Taktyka ta szczególnie działa w Stanach Zjednoczonych, gdzie – m.in. dzięki potęgde kultury masowej – opinia publiczna jest szczególnie wyczulona na kwestię wojennego cierpienia Żydów. Izraelczycy starają się więc przekonać Amerykanów (i nie tylko), że stoją w obliczu kolejnego Holokaustu.

Oddajmy głos premierowi Beniaminowi Netanjahu, który mówił o tym szeroko w styczniu 2010 r. podczas uroczystości z okazji 65. rocznicy zajęcia Auschwitz przez Armię Czerwoną. Szef izraelskiego rządu przedstawił wówczas wizję, według której Żydzi są wieczne zagrożeni przez Amalekitów. Starożytne plemię, które – według biblijnych podań – było śmiertelnym i zjadłym wrogiem Izraelitów.

Chociaż w 1945 r. – przekonywał Netanjahu – „nazistowscy Amalekici” zostali pokonani, Żydzi wcale nie są bezpieczni. Na świecie pojawili się bowiem nowi Amalekici, którzy ponownie grożą unicestwieniem narodu wybranego.

„Nie pozwolimy na to! – zapewniał Netanjahu. – Nigdy nie zapomnimy i zawsze będziemy stać na straży naszego narodu. Mordercza nienawiść musi zostać zatrzymana w blokach startowych, powstrzymana już na samym początku. Wszystkie kraje na świecie muszą odrobić tę lekcję, tak jak zrobiliśmy to my po utracie jednej trzeciej naszych rodaków w przesiąkniętej krwią Europie. Dowiedzieliśmy się, że jedyną gwarancją ochrony naszego narodu jest państwo Izrael i jego siły zbrojne”.

Szef izraelskiego rządu oświadczył, że już nigdy istnienie Izraela i narodu żydowskiego nie będzie zagrożone. Według niego Izrael musi stanąć na czele wszystkich cywilizowanych narodów świata w walce z nadciągającym niebezpieczeństwem.

„Jako przywódca państwa żydowskiego – ciągnął Netanjahu – przysięgam, że nigdy więcej nie pozwolimy, aby ręka zła przerwała egzystencję naszego ludu i naszego państwa. Pochylamy głowy przed pamięcią o ofiarach Holokaustu i wznosimy głowy, gdy na wietrze powiewa nasza flaga z dwoma niebieskimi paskami i gwiazdą Dawida”.

Kogo Netanjahu miał na myśli? Kim w 2010 r. byli owi nowi naziści, owi nowi Amalekici? Izraelski premier nie pozostawił żadnych wątpliwości – chodziło o Iran. Państwo, które starało się i nadal stara pozyskać energię nuklearną. Izrael widzi w tym dążeniu poważne zagrożenie dla swoich interesów na Bliskim Wschodzie, w związku z tym nawołuje świat do powstrzymania owego rzekomego „nowego hitleryzmu”.

Izrael od lat apeluje do świata o nałożenie kolejnych sankcji na Iran, a – jak twierdzą wtajemniczeni – starał się również wpłynąć na Stany Zjednoczone, żeby zbrojnie zaatakowały Iran i obaliły reżim ajatollahów. Na szczęście wojny i zniszczenia kolejnej części Bliskiego Wschodu przez Amerykanów udało się uniknąć. Prezydent Barack Obama w 2015 r. zawarł z Irańczykami układ o kontroli irańskiego programu nuklearnego. Izrael nie ukrywał wówczas swojego oburzenia. Beniamin Netanjahu zupełnie na poważnie porównywał porozumienie z Teheranem do polityki appeasementu stosowanej w latach 30. przez mocarstwa zachodnie wobec rosnącej w siłę III Rzeszy. Gdy w Białym Domu zasiadł Donald Trump, nowy prezydent – pod naciskiem izraelskiego lobby – wycofał się z układu z Iranem.

Porównywanie wrogów Izraela do III Rzeszy nie jest niczym nowym. W latach 80. premier Menachem Begin mianem „nowego Hitlera” określił Jasira Arafata. A kierowaną przez niego Organizację Wyzwolenia Palestyny uznał za „nowe SS”. Z kolei w trakcie wojny w Zatoce Perskiej arabską reinkarnacją Führera miał być iracki dyktator Saddam Husajn. Jeszcze wcześniej – egipski przywódca Gamal Abdel Naser.

Sięganie przez Izrael po tę historyczną analogię ma oczywiście na celu zyskanie sympatii społeczności międzynarodowej. A szczególnie pozyskanie militarnego, dyplomatycznego i finansowego wsparcia Stanów Zjednoczonych. Taktyka ta przynosi doskonałe skutki – do państwa żydowskiego od lat nieprzerwanie płynie strumień miliardów dolarów. I nikt zdaje

się nie dostrzegać oczywistego faktu, że Izrael jest znacznie silniejszy niż jego wrogowie, co wizję „nowego Holokaustu” czyni bardzo iluzoryczną.

Jest również inny aspekt sprawy, na który często uwagę zwracają Palestyńczycy i obrońcy praw człowieka. Ich zdaniem Państwo Izrael wykorzystuje tragedię europejskich Żydów do usprawiedliwiania przestępstw wojennych, których dopuszcza się na terytoriach okupowanych. Jeżeli bowiem uda się przekonać świat, że Izraelczycy toczą walkę nie o to, aby odebrać ziemię Palestyńczykom, ale o to, aby powstrzymać nowy Holokaust, to łatwiej mu będzie przełknąć wstrząsające obrazki z Zachodniego Brzegu Jordanu i ze Strefy Gazy.

Gdy pod koniec 2019 r. Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze (ICC) zapowiedział, że zbada izraelskie nadużycia wobec Palestyńczyków, wybuchła prawdziwa burza. Izrael z miejsca oskarżył trybunał o antysemityzm, a premier Beniamin Netanjahu wezwał wszystkie kraje świata do podjęcia walki z ICC.

Zrobił to w trakcie Światowego Forum Holokaustu zorganizowanego w styczniu 2020 r. w Jerozolimie. Według szefa izraelskiego rządu próba wszczęcia postępowania w sprawie izraelskich zbrodni wojennych jest równoznaczna z odmawianiem Żydom prawa do samoobrony. Mało tego – służy do zniszczenia samego Państwa Izrael. Netanjahu odwołał się przy tym oczywiście do Holokaustu. „Już raz duża część naszego narodu zginęła w płomieniach – mówił. – Nie pozwolimy, żeby to się powtórzyło”.

Co ciekawe, izraelscy politycy, którzy bardzo chętnie i często porównują wszystkich swoich przeciwników do „nazistów”, sami wpadają w oburzenie, gdy ktoś stosuje takie chwytły poniżej pasa wobec nich samych. Szczególnie irytuje ich porównywanie Strefy Gazy do getta warszawskiego. Prawdziwe gromy posypały się na prof. Yeshayahu Leibowitza, który izraelskich żołnierzy pacyfikujących palestyńską intifadę nazwał „judeonazistami”. Według jego krytyków urodzony w żydowskiej rodzinie w Rydze naukowiec był antysemitą.

SPÓR O PAMIĘĆ

Polityka historyczna Państwa Izrael jest bardzo skuteczna, ale wielu żydowskich badaczy Holokaustu i intelektualistów uważa ją za niemoralną. Ich zdaniem izraelski rząd z pełną premedytacją



Izrael od lat może liczyć na wsparcie Ameryki. Na zdjęciu szef dyplomacji USA Mike Pompeo z premierem Benjamine Netanjahu. FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ wykorzystuje cierpienie milionów ludzi do swoich politycznych celów. Ludzi, którzy nawet nie byli Izraelczykami. Państwo żydowskie powstało bowiem w 1948 r. Trzy lata po zakończeniu Holocaustu.

Izraelscy badacze Zagłady wskazują na pewną niekonsekwencję. Z jednej strony Izrael powtarza, że Szoah było jedynym, unikalnym i niepowtarzalnym wydarzeniem w historii świata. A z drugiej cały czas straszy świat i swoich obywateli, że Szoah może zaraz się powtórzyć.

Wspomniani intelektualiści podkreślają, że dotychczasowe proporcje strat w konflikcie palestyńsko-izraelskim nie potwierdzają tych obaw. Izraelczycy zabili bowiem kilkakrotnie więcej Palestyńczyków niż Palestyńczycy Izraelczyków. Podobnie było podczas innych wojen i konfliktów prowadzonych przez państwo żydowskie.

Na przykład podczas drugiej wojny libańskiej z Hezbollahem w 2006 r. Izrael stracił 121 żołnierzy i sześciu cywili. W wyniku izraelskich bombardowań śmierć poniosło zaś kilkuset żołnierzy przeciwnika i... 1,2 tys. cywili. W tym wiele kobiet i dzieci.

„Absurd polega na tym – mówił mi w jednym z wywiadów znany izraelski pisarz Icchak Laor – że chce się nam

wmówić, że Izrael jest jedynym miejscem na świecie, w którym Żydzi mogą czuć się bezpiecznie i żyć bez strachu pod opieką naszej potężnej armii. Z drugiej strony ci sami ludzie bez mrugnienia okiem powtarzają nam, że cały czas grozi nam zagłada z rąk Arabów. Drugi Holocaust. Że jesteśmy otoczeni przez morze wrogów, którzy chcą nas wyrząść. To jakaś schizofrenia! To już przestało mieć jakikolwiek związek z logiką, to czysta ideologia”.

Podobnego zdania jest znany krytyk Izraela amerykański prof. Norman Finkelstein. Jego zdaniem Izrael wykorzystuje poczucie winy świata za Holocaust do wypaczania obrazu konfliktu z Palestyńczykami.

„Problemem na Bliskim Wschodzie – mówił profesor – nie jest jakaś abstrakcyjna wrogość wobec Izraela »wyssana z mlekiem matki« przez Arabów, ale to, jak Izrael traktuje Palestyńczyków. Przypomnę rzecz, wydawałoby się, oczywistą: to Izraelczycy okupują terytoria palestyńskie, a nie odwrotnie. A mimo to przedstawiają się jako ofiary tego konfliktu. To dla mnie niepojęte”.

Podobne słowa wielu Izraelczyków uważa za niesprawiedliwe. Ludzie tacy jak prof. Finkelstein nazywani są „self-hating Jews”, czyli Żydami niena-

widzącymi własnego narodu. Obrońcy polityki Izraela podkreślają, że obywatele państwa żydowskiego mają pełne prawo do odczuwania traumy z powodu Zagłady.

Ponad 20 proc. obywateli Izraela jest ocalałymi z Holocaustu lub ich potomkami. Kolejne setki tysięcy obywateli są spokrewnione z Żydami zgładzonymi przez Niemców podczas drugiej wojny światowej. Zaduszonymi w komorach gazowych Sobiboru. Rozstrzelanymi w jarach Babiego Jaru.

Należy więc zrozumieć specyficzną żydowską wrażliwość. Strach przed tym, że straszliwe wydarzenia sprzed ponad 75 lat mogą się powtórzyć. Świadczyć może o tym bezwzględność palestyńskich terrorystów wobec żydowskich kobiet i dzieci. To bowiem one często padają ofiarą zamachów bombowych i eksplozji nadlatujących ze Strefy Gazy rakiet.

W tej sytuacji czyż można mieć pretensje do Państwa Izrael, że wykorzystuje wszystkie dostępne środki i sposoby, żeby bronić swojego narodu? W polityce i na wojnie liczy się przecież przede wszystkim skuteczność.

Spór o pamięć o Holocaustie i jego rolę w bieżącej polityce w Izraelu trwa od lat. I nic nie zapowiada, aby szybko się zakończył.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Proces Adolfa Eichmanna sprawił, że nagle w Izraelu Holokaust stał się tematem numer jeden FOT. DOMENA PUBLICZNA

Proces stulecia



Piotr Włoczyk

Spektakularny proces Adolfa Eichmanna kompletnie zmienił postrzeganie Holokaustu nie tylko w Izraelu, lecz także na świecie

Atmosfera wśród funkcjonariuszy Mosadu robiła się coraz bardziej nerwowa. Ich cel spóźniał się już niemal pół godziny. Ricardo Klement, skromny pracownik warsztatu Mercedesa, od 10 lat żyjący w Buenos Aires, każdego dnia wysiadał

ok. godz. 19.30 na przystanku pod domem. Tym razem było jednak inaczej. Dochodziła już godz. 20, a Klementa wciąż nigdzie nie było widać. Zaczajeni nieopodal w aucie Izraelczycy wiedzieli, że z każdą minutą rośnie zagrożenie wpadką. Dowodzący siedmioosobowym komando Rafi Eitan coraz poważniej brał pod uwagę przerwanie akcji. Wreszcie punktualnie o godz. 20 pojawił się długo wyczekiwany autobus.

„W końcu zobaczyliśmy go idącego powoli z przystanku w kierunku domu. Na ulicach było wtedy zupełnie pusto. Jeden z naszych ludzi podszedł do niego i powiedział po hiszpańsku: »Un momentito, señor« (Momencik, proszę pana). Eichmann zatrzymał się. Wtedy

nasz człowiek wskoczył na niego – wspominał Eitan w rozmowie ze mną w 2013 r. – Momentalnie doskoczył do nich jeszcze jeden z naszych ludzi i w końcu ja też pobiegłem z pomocą. We trójkę zaciągnęliśmy go do samochodu. Położyliśmy go na tylnym siedzeniu tak, że jego głowa spoczywała na moich kolanach. Był zupełnie zdezorientowany i krzyczał jak mała dziewczynka”.

Człowiekiem, który podawał się w Argentynie za Ricardo Klementa, był w rzeczywistości Adolf Eichmann – szef referatu żydowskiego w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), który odpowiadał za zorganizowanie zagłady europejskich Żydów.

11 maja 1960 r. Rafi Eitan (1926–2019), wówczas szef pionu operacyjnego w Mosadzie, wykonał właśnie najważniejszą misję w swojej długiej karierze. „Od razu ruszyliśmy, a ja, nie zwlekając, chciałem się upewnić, że człowiek, który leżał mi na kolanach, był rzeczywiście katem, na którym tak bardzo nam zależało – wspominał Eitan. – Charakterystyczna blizna na jego brzuchu nie pozostawiała wątpliwości – w końcu go dopadliśmy. O tym charakterystycznym znaku wiedzieliśmy dzięki przeczytaniu jego esesmańskich papierów. W momencie, gdy wszystko było już jasne, uśmiechnąłem się i ucisnąłem z radości rękę agenta, który siedział koło mnie. Potem powiedzieliśmy mu po niemiecku, żeby się zamknął, jeżeli życie jest mu miłe. Wyszeptał tylko: »Jawohl«”.

Dlaczego Izraelczycy zdecydowali się na porwanie Eichmanna, zamiast skoryzystać z oficjalnej ścieżki? Otóż władze Izraela obawiały się, że w przypadku uruchomienia formalnej procedury międzypaństwowej Eichmann w najlepszym razie zostałby wysłany do Niemiec.

„W tamtym czasie Niemcy zapewne skazaliby go na karę więzienia, ale nic poza tym. Tymczasem naszym celem było zorganizowanie mu procesu w Izraelu! To miało być bardzo doniosłe wydarzenie dla wszystkich Żydów na świecie! To było niesłychanie ważne zadanie i nie mogliśmy sobie pozwolić na żaden błąd. Dlatego zdecydowaliśmy się go porwać” – tłumaczył mi Eitan.

„Cel pojmania Eichmanna był jasny od samego początku – po pierwsze, chodziło o nagłośnienie tego, co Niemcy zrobili Żydom, a po drugie, przypomnienie żydowskiej młodzieży, dlaczego Państwo Izrael musi istnieć. To był punkt zwrotny w historii Izraela” – powiedział w rozmowie z magazynem „Time” Neal Bascomb, amerykańskim reporter, autor głośnej książki „Wytropić Eichmanna”.

KONIEC ZE SŁABOŚCIĄ

Chociaż z dzisiejszej perspektywy trudno w to uwierzyć, to – jak tłumaczy to w swojej książce „Siódmy milion. Izrael – piętno zagłady” znany izraelski historyk Tom Segev – tuż po wojnie przeciętny żydowski mieszkaniec Palestyny (od 1948 r. Izraela) miał zgola inne wyobrażenie na temat Holokaustu oraz ludzi, którzy przeżyli Zagładę.

„Trudno dziś znaleźć słowa, które mogłyby w odpowiedni sposób nazwać



Byli więźniowie obozu koncentracyjnego Buchenwald w Hajfie, 1945 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

to, w jak haniebny sposób byli traktowani ocalali z Holokaustu w Izraelu po wojnie. Żydzi z europejskiej diaspory byli według niego [Żyda z Palestyny – przyp. red.] Żydami słabymi – mówił Tom Segev w rozmowie z Piotrem Zychowiczem. – Dali się wymordować Niemcom, w drodze do komór gazowych byli potulni jak jagnięta prowadzone na rzeź. Dla syjonistów, którzy tworzyli w Palestynie nowego żydowskiego człowieka – odważnego Żyda wojownika – podobna postawa była czymś godnym pożałowania”. Segev przypomina w swojej książce, że tuż po wojnie na ludzi, którzy przeżyli Holokaust, mówiono w Palestynie (a następnie w Izraelu) „mydło”.

„Gdy po raz pierwszy słyszałem o podobnym nastawieniu od ocalałych – którzy dziś w Izraelu mają status świętych – myślałem, że był to zupełny margines. Im bardziej jednak zagłębiałem się w materiał źródłowy, tym mocniej przekonywałem się, że poglądy takie były niezwykle rozpowszechnione. Niemal każdego ocalałego, który przyjechał do Palestyny, spotkały upokorzenia” – twierdzi Tom Segev.

Przekonanie to nie było wówczas czymś odosobnionym. „Mamy w Izraelu dwie rasy: rasę bogów, przybyłych przed wojną lub tam urodzonych, i tych gorszych, brzydkich, godnych pogardy Żydów, którzy przybyli po wojnie” – wspominała urodzona w Warszawie izraelska pisarka Jehudit Hendel.

Szymon Wiesenthal, słynny żydowski tropiciel nazistowskich zbrodniarzy (pomógł ująć m.in. Eichmanna), opisywał z kolei w swoich wspomnieniach szok, jaki wywarła na nim lektura żydowskich gazet wydawanych w czasie wojny w Palestynie. Wiesenthal ze zdumieniem odkrył, że Holokaust nie był w nich tematem numer jeden. Niewielkie wzmianki na ten temat zajmowały dopiero dalsze strony w żydowskiej prasie w Palestynie. Dopiero głośny proces esesmana, który skrupulatnie realizował rozkaz wymordowania europejskich Żydów, sprawił, że Zagłada zaczęła być postrzegana zupełnie inaczej.

„Nagle Holokaust stał się tematem numer jeden. Ocalali nie mogli uwierzyć, że nagle ich przeżycia okazały się dla reszty społeczeństwa interesujące i ważne – tu-

maczył Tom Segev. – Na początku prokuratura nie mogła znaleźć świadków, bo oni nie byli w stanie uwierzyć, że naprawdę mogą opowiedzieć o Holokauście. Wkrótce pojawiły się jednak tysiące artykułów prasowych i książek o Zagładzie. To był raptowny i całkowity przełom. Proces Eichmanna był terapią dla całego społeczeństwa. Od tego momentu Holokaust stał się centralnym punktem izraelskiej tożsamości”.

Najważniejszy proces w historii Izraela rozpoczął się 11 kwietnia 1961 r. w Jerozolimie. Eichmanna oskarżono m.in. o zbrodnie przeciw ludzkości i zbrodnie wojenne. Jednym z podstawowych problemów okazało się znalezienie obrony dla oskarżonego. Jak otwarcie przyznał ówczesny izraelski minister sprawiedliwości Pinchas Rosen: „Myślę, że nie da się znaleźć izraelskiego prawnika, czy to Żyda, czy Araba, który zgodziłby się go bronić”. Po odpowiedniej modyfikacji izraelskiego prawa adwokatem Eichmanna został Robert Servatius, znany prawnik z Kolonii, który tuż po wojnie bronił w procesach w Niemczech czołowych hitlerowskich zbrodniarzy.

Izraelskie władze zadbały o to, by proces zamienić we wstrząsający spektakl. Sesje odbywały się w audytorium, które mogło pomieścić kilkaset osób. W sumie proces obsługiwało ponad 500 dziennikarzy, w tym wielu przedstawicieli zagranicznych mediów. Dramatyczne zeznania świadków Holokaustu (w roli tej wystąpiło 112 osób) transmitowane były nie tylko przez radio, lecz także za pośrednictwem telewizji.

„W tym historycznym procesie tak naprawdę na ławie oskarżonych nie siedzi konkretna osoba, nie chodzi tu nawet wyłącznie o reżim nazistowski, ale o antysemityzm w całej historii ludzkości” – podkreślał wówczas prokurator generalny Izraela Gideon Hausner.

„BANALNOŚĆ ZŁA”

„Powołując się na autorytety prawne w sześciu językach, od czasów Hugo Grocjusza aż do Konwencji ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa z 1948 roku, sędziowie starali się udowodnić prawo do osądzenia Eichmanna; chociaż Izrael nie istniał, gdy zbrodnie te zostały popełnione” – relacjonował na gorąco amerykański „Time”. „Sędziowie przekonywali jednak, że obecnie Izrael reprezentuje wszystkich Żydów. »Lud jest jeden i zbrodnia jest jedna« – twierdzili sędziowie”.

Jednym ze świadków tego procesu był Rafi Eitan. „Kilkakrotnie przyglądałem się rozprawie. Sala była za każdym razem wypełniona po brzegi. Ludzie czekali w długich kolejkach, żeby posłuchać zeznań świadków – wspominał Eitan. – Dzięki temu historia Holokaustu została opowiedziana całemu światu. Poza tym chodziłem też do celi Eichmanna. Zadawałem mu wiele pytań na temat niemieckich szkół oficerskich. Chciałem się dowiedzieć jak najwięcej o szkoleniu w niemieckiej armii. Dzięki temu lepiej orientowałem się w temacie niemieckiej maszyny wojennej. Po tych rozmowach doszedłem do wniosku, że Eichmann był zupełnie przeciętnym oficerem. Nie miał w sobie niczego kreatywnego. Tak samo wyglądała sprawa z większością niemieckich oficerów. Dlatego pracowali jak maszyny i nie byli w stanie samodzielnie myśleć”.

Eichmann bronił się, podkreślając, że ośobiście nikogo nie zabił i był jedynie urzędnikiem „lojalnym, posłusznym i szczęśliwym, że może służyć swojej ojczyźnie”. Esesman przyznał się do organizowania transportów, ale do końca twierdził, że nie czuje się winny konsekwencji swoich czynów.

Kiedy prokurator przypominał jego słowa z 1945 r.: „Pójdę do grobu, śmiejąc się, ponieważ 5 mln istnień ludzkich na moim sumieniu jest dla mnie powodem do wielkiej satysfakcji”, Eichmann przyznał, że tak wówczas myślał, całkowicie rujnując swoją linię obrony.

Procesowi przysłuchiwała się m.in. Hannah Arendt, słynna żydowska intelektualistka, autorka wydanej w 1951 r. głośnej pracy „Korzenie totalitaryzmu”. W ten sposób powstała kolejna głośna książka Arendt: „Eichmann w Jerozolimie: rzecz o banalności zła”. Również ona zwracała uwagę na „terapeutyczny” charakter procesu esesmana. „Akt oskarżenia oparty był [...] na tym, co przecierpieli Żydzi, nie zaś na tym, co popełnił Eichmann” – pisała Arendt.

15 grudnia 1961 r. sędziowie odczytali oskarżonemu wyrok: śmierć przez powieszenie. Eichmann do samego końca walczył o życie, najpierw apelując do Sądu Najwyższego, a na koniec występując do prezydenta z prośbą o ułaskawienie. Z oczywistych względów taki wariant był jednak kompletnie nierealny. Świadkiem śmierci najsłynniejszego więźnia w Izraelu był Rafi Eitan.

„Poszedłem do niego do celi razem z księdzem – wspominał Eitan. – Ten człowiek nawet tuż przed śmiercią nie chciał porozmawiać z księdzem. Powiedział, że ma nadzieję, iż niedługo wszyscy do niego dołączymy. Jego ostatnimi słowami przed powieszeniem były: »Niech żyją Niemcy, niech żyje Argentyna«. Tak wyglądał koniec tej makabrycznej historii”. Adolf Eichmann został powieszony tuż po północy 1 czerwca 1962 r. Jego prochy rozsypano na Morzu Śródziemnym, z dala od izraelskich wód terytorialnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Eichmann jako główny koordynator i wykonawca planu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, 1942 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA



Eichmann podczas procesu w ciemnym garniturze nie wyglądał na groźnego oficera gestapo FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wojciech Simon

Izrael dba o propagowanie interesów na świecie m.in. za pomocą wpływowych grup lobbujących w USA. To niezwykle skuteczne narzędzie. Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych (AIPAC) jest jedną z najbardziej znaczących organizacji w Waszyngtonie. Z AIPAC konkuruje z kolei lewicowa J Street

Jak to się stało, że największe mocarstwo świata prowadzi najbardziej proizraelską politykę zagraniczną? Kluczem do odpowiedzi jest termin „lobbying”. Angielskie określenie, którego nazwa pochodzi najprawdopodobniej od korytarzy pałacu westminsterskiego (z ang. lobby), w Polsce jeszcze w pierwszej połowie XX w. określane było również mianem „antyszambrowania” (od „anti-chambre”, czyli przedpokoju). Niezależnie od przyjętej definicji zawsze chodziło o miejsca, w których można było spotkać członków parlamentu oraz kluczowych politycznych decydentów, aby próbować przekonywać ich do swoich racji.

Współcześnie w wielu krajach lobbying, aby mógł odbywać się legalnie, musi spełniać wiele wymogów – np. lobbysty muszą być zarejestrowani i regularnie składać sprawozdania ze swojej działalności. Niezgodne z prawem są działania nazywane czarnym lobbieniem, czyli korupcja polityczna, łapownictwo czy płatna protekcja.

Wiele państw w Stanach Zjednoczonych, w tym m.in. Izrael, za pomocą legalnych działań lobbujących osiąga najważniejszy cel, jakim jest wpływanie na korzystne dla siebie decyzje polityczne oraz prawodawstwo najpotężniejszego mocarstwa świata. Oczywiście lobbying można uprawiać „ad hoc” – aby załatwić konkretną sprawę. Skuteczny bywa też czasem „dziki lobbying” uprawiany najczęściej przez byłych decydentów, którzy mogą pochwalić się notesem pełnym kontaktów do osób, które nadal mają ogromne wpływy.

Najsukuteczniejszy w długim terminie wydaje się jednak lobbying profesjonalny, czyli prowadzony przez wyspecjalizowane agencje PR czy firmy konsultin-



Miękka siła lobbystów

gowe. Ich pracownicy potrafią nie tylko przekonać do swojego zdania wybranych polityków, lecz także dostarczyć im odpowiednich informacji oraz argumentów, które ułatwią im przekonywanie do danego punktu widzenia również pozostałych decydentów.

POTĘGA W KORYTARZACH

Forsowanie polskiej polityki historycznej nie będzie jednak łatwe.

Jest ona bowiem bardzo trudna do pogodzenia z polityką historyczną Izraela. Tymczasem Izrael wywalczył sobie pozycję kluczowego sojusznika Stanów Zjednoczonych. Bliska współpraca obu państw na Bliskim Wschodzie obu stolicom przynosi wymierne korzyści. Wzmocnieniu wzajemnych interesów służą m.in. znaczące inwestycje amerykańskich firm zbrojeniowych w Izraelu.



Izrael od wielu dekad może liczyć na szczególne relacje ze Stanami Zjednoczonymi. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Izrael dysponuje też w Stanach Zjednoczonych wyjątkowo wpływowym lobby. To dzięki pracy lobbystów Donald Trump uznał za swej prezydentury Jerozolimę za stolicę państwa żydowskiego. Uznał także suwerenność Izraela nad Wzgórzami Golan. Mimo to, gdy kandydat Partii Republikańskiej podczas kampanii przedwyborczej oskarżył o „wielką nielojalność” amerykańskich Żydów głosujących na Partię Demokratyczną, spotkał się z miażdżącą krytyką i oskarżeniem o powielanie antysemitycznych stereotypów, polegających na zarzucaniu amerykańskim Żydom podwójnej lojalności (wobec USA i Izraela).

Dlaczego Trump zaatakował? Otóż izraelskie lobby od lat organizuje wpływy pieniędzy na kampanie wyborcze wybranych kandydatów. Jest to w pełni legalne, choć każdy amerykański polityk wie zapewne, że Żydzi, choć stanowią niecałe 2 proc. ludności USA, dają politykom nieproporcjonalnie dużo pieniędzy. Według dziennika „The Washington

Post” kandydaci Partii Demokratycznej uzyskują od nich nawet 60 proc. wszystkich funduszy pochodzących z prywatnych źródeł.

Błyskawicznie w tej sprawie odezwały się dwie wpływowe grupy lobbujące amerykańskich Żydów: J Street oraz Komitet Żydów Amerykańskich (AJC). J Street to organizacja nie tylko proizraelska, lecz także mocno lewicowa. Z kolei Komitet Żydów Amerykańskich (AJC) założony został już w listopadzie 1906 r. w celu obrony praw Żydów mieszkających w USA, a także poza Stanami Zjednoczonymi. Ta niezwykle wpływowa organizacja poza siedzibą w Nowym Jorku ma obecnie 10 oddziałów poza granicami USA i kilkadziesiąt umów partnerskich z lokalnymi żydowskimi społecznościami na całym świecie. W 2000 r. AJC pomógł w organizacji Festiwalu Filmów Żydowskich w Atlancie, największej tego typu imprezy na całym świecie. W 2017 r. AJC utworzył też biuro w Polsce. Podczas gali z okazji otwarcia prezydent Andrzej Duda dziękował American Jewish Committee za wsparcie dla polskich aspiracji, w tym poparcie dla przyjęcia Polski do NATO.

W 2018 r. Komitet Żydów Amerykańskich pokazał swoją siłę. Na Twitterze zaapelował do swych członków, aby wysłali listy do amerykańskich kongresmenów w sprawie nowelizacji ustawy o IPN w Polsce, krytycznie ocenianej przez AJC. „Podejmijcie działanie teraz i wezwijcie swoich kongresmenów do wypowiedzenia się przeciwko tej próbie wymazania niewygodnej części historii Polski” – apelował AJC. Apel przyniósł oczekiwany rezultat. Władze w Warszawie ugięły się pod presją Departamentu Stanu oraz Białego Domu i doprowadziły do zmiany budzącej kontrowersje ustawy. Jednocześnie trzeba zauważyć, że Komitet Żydów Amerykańskich wielokrotnie wyrażał nadzieję na pojednanie Polski z Izraelem, a w 2019 r. szefowa oddziału AJC na Europie Środkową oznajmiła także, że słowa p.o. szefa izraelskiego MSZ Israela Katza o antysemityzmie Polaków „wyssanym z mlekiem matki” były niedopuszczalne, i stwierdziła, że strona izraelska powinna za nie przeprosić.

Jedną z najpotężniejszych organizacji lobbystycznych w Waszyngtonie jest AIPAC, czyli American Israel Public Affairs Committee (Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych).

To dzięki niej Izrael może liczyć na wysokiej wartości pomoc z USA, a także na stałe wsparcie Departamentu Stanu, który bardzo często występuje na świecie w roli izraelskiego adwokata. W 1997 r. w rankingu najbardziej znaczących grup wpływu w Waszyngtonie AIPAC zajął drugie miejsce w całych Stanach Zjednoczonych. Dużymi wpływami w stolicy USA cieszy się też Konferencja Przewodniczących Głównych Organizacji Żydowskich (Conference of Presidents of Major Jewish Organizations).

OD ADL DO HOLLYWOOD

Do tzw. izraelskiego lobby należą również wpływowa Liga przeciwko Zniesławieniu (ADL), a także luźno ze sobą powiązani lobbysci, politycy oraz różnego typu komitety wsparcia, których celem jest przekonywanie do pogłębienia relacji USA z Izraelem, a także do wspierania interesów izraelskich na arenie międzynarodowej.

Dzięki temu, krytykując działania lub politykę Izraela, bardzo łatwo się narażać na z góry dyskwalifikujący zarzut antysemityzmu.

Amerykańscy Żydzi są wyjątkowo skuteczni również dlatego, że są zdyscyplinowanymi wyborcami. Uznawani za jedną z najlepiej zorganizowanych grup etnicznych w USA, podczas wyborów mogą pochwalić się frekwencją dochodzącą nawet do 80 proc. Takiej siły w wyborach, w których często wygrywa się o włos, nie można lekceważyć.

Jedno jest więc pewne – prawda się sama nie obroni. Przykład izraelskiego lobby w USA pokazuje, że trzeba prowadzić politykę historyczną. Aby była ona skuteczna, również Polacy powinni stworzyć intrygującą opowieść, zadbać o to, aby była ona łatwa do ekranizacji w Hollywood – które było i nadal jest najpotężniejszym narzędziem amerykańskiej polityki historycznej – lub np. nadawała się do przerobienia na popularną wśród globalnych fanów grę komputerową. Warszawa musi też zabiegać o skuteczny lobbying, o przyjaźń z amerykańskimi mediami oraz o zjednoczenie Polonii. To właśnie zjednoczenie Amerykanów pochodzenia ormiańskiego dało im siłę, dzięki której Senat USA – mimo ogromnego sprzeciwu Ankary – w 2019 r. jednomyślnie przyjął rezolucję uznającą za ludobójstwo rzeź Ormian dokonaną przez Turków w Imperium Osmańskim.

Polityka i pamięć



FOT. DOMENIA PUBLICZNA

Wojciech Simon

Państwo Izrael już w 1986 r. uchwaliło prawo przewidujące karę do pięciu lat więzienia za negowanie Holokaustu. Próba przyjęcia przez Polskę prawa zakładającego kary do trzech lat więzienia za kłamstwa o „polskich obozach śmierci” spotkała się już jednak z ostrymi protestami Izraela

Ktokolwiek rozpowszechnia na piśmie lub ustnie jakiekolwiek stwierdzenia zaprzeczające czynom stanowiącym zbrodnie przeciwko Narodowi Żydowskiemu lub zbrodnie przeciwko ludzkości popełnionym w okresie reżimu nazistowskiego bądź pomniejszające ich skalę, z zamiarem obrony sprawców tych czynów lub wyrażenia swojego poparcia lub identyfikacji z nimi, podlega karze pięciu lat pozbawienia wolności – tak brzmi jeden z zapisów w ustawie

o przeciwdziałaniu negowaniu Holokaustu, przyjętej 8 lipca 1986 r.

SIŁA IZRAELSKIEGO LOBBY

Izrael był pierwszym krajem na świecie, który wprowadził do kodeksu karnego tak surowe prawo o negowaniu Holokaustu. Stanowcze działania izraelskich władz nie są zaś ograniczone jedynie do samego Izraela.

Obecnie podobne przepisy obowiązują w kilkunastu krajach Europy, w tym w Polsce. Przed kilkoma laty projekt podobnej polskiej ustawy o Instytucji Pamięci Narodowej przewidujący kary m.in. za kłamstwa o „polskich obozach śmierci” spotkał się jednak z ostrymi protestami Izraela. Stało się tak, chociaż polska ustawa zakładająca, że „każdy, kto publicznie i wbrew faktom przypisuje polskiemu narodowi lub państwu polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za zbrodnie popełnione przez III Rzeszę Niemiecką lub inne zbrodnie przeciwko ludzkości, pokojowi i zbrodnie wojenne, będzie podlegał karze grzywny lub pozbawienia wolności do lat trzech”, była bardzo podobna do tej przyjętej wcześniej przez Izrael.

W styczniu 2018 r. większość członków izraelskiego parlamentu (Knesetu) poparła projekt ustawy, na mocy której polska ustawa o IPN, gdyby została ostatecznie przyjęta, byłaby uznana za negowanie Holokaustu. Posłowie Knesetu opracowali wówczas projekt, zgodnie z którym przestępstwem jest nie tylko negowanie Holokaustu, lecz także „negowanie lub pomniejszanie udziału w zbrodniach ludzi, którzy pomagali nazistom lub byli kolaborantami”. Jak pisał dziennik „Jerusalem Post”, autorzy projektu nowelizacji izraelskiej ustawy zawarli w nim również zapis zakładający zwiększenie pomocy prawnej dla osób, które przeżyły Holokaust, oraz dla nauczycieli zabierających uczniów lub studentów do dawnych obozów zagłady, jeżeli byłoby ścigani prawem za granicą za opowiadanie, co się zdarzyło podczas Holokaustu.

Izraelscy liderzy dbają o to, aby podtrzymywać opowieść o wyjątkowości Holokaustu. „Polacy i ci, którzy chcieliby ich naśladować, powinni wiedzieć, że historyczna prawda o narodzie żydowskim nie jest na sprzedaż” – mówił cytowany wówczas przez „Jerusalem Post” deputo-

wany Bloku Syjonistycznego Icik Szmuly. Przekonywał, że „wielu Polaków i wielu innych słyszało, wiedziało i wspomagało nazistowską machinę zagłady”. Również dyrektor Centrum Szymona Wiesenthala dr Efraim Zuroff powiedział izraelskiemu dziennikowi, że kraje Europy Wschodniej inwestują w próby przekonania świata, iż „Holokaust był jedynie dziełem Niemców i być może garstki degeneratów”. Zuroff dodał, że w krajach Europy Wschodniej „chcą, by komunizm był uznany za ludobójstwo [...]”. A jeśli komunizm jest ludobójstwem i byli żydowscy komuniści, to Żydzi popełnili ludobójstwo. To jest ich sposób na podważanie Szoah i ich udziału w nim”.

Te wypowiedzi idealnie ukazują promowaną przez izraelską propagandę wersję historii. Widoczna przy tej okazji siła izraelskiego lobby – które nie tylko wywierało presję na Polskę, lecz także skutecznie skłoniło do wywarcia presji na Warszawę m.in. władze w Waszyngtonie – pokazuje dobitnie, jak wielki problem będzie miała Polska z obroną prawdy historycznej.

NAJWAŻNIEJSZA OPOWIEŚĆ

Aby politycy, publicyści, lobbyści mogli skutecznie walczyć o politykę historyczną, potrzebna jest odpowiednia historia. Historia łatwa do zapamiętania i mająca moc, by poruszyć serca odbiorców. Takie opowieści od dekad sprzedają światu m.in. Amerykanie (budując obraz swej potęgi), Brytyjczycy (wspominając o wielkim imperium), Rosjanie (przekonując, że nigdy w historii nie byli agresorami) czy przedstawiciele Izraela (wykorzystując Zagładę do definiowania współczesnej „żydowskości” oraz do żądania bezwzględnej solidarności z Państwem Izrael).

Opartą na Holokaucie współczesną hagadę Izrael prowadzi dzięki skutecznym narzędziom lobbingsowym, a także dzięki przekazywaniu swej narracji w języku angielskim oraz przy użyciu kultury popularnej oraz tzw. miękkiej siły, czyli miękkich narzędzi perswazji dostosowanych do siatki pojęciowej odbiorców przekazu. To dzięki nim Zachód uznał wyjątkowość Holokaustu, niechętnie podchodząc już np. do narracji o wielkiej rzezi Ormian. A ponieważ w każdej historii potrzebny jest czarny charakter, to o Polakach nie mówi się jako o narodzie, który pod groźbą kary śmierci uratował w czasie drugiej

wojny światowej najwięcej Żydów, lecz przedstawia się ich w roli współpracowników hitlerowców (których zgodnie z zasadami politycznej poprawności nie wolno kojarzyć z Niemcami). Każdy – nawet wybitny profesor – kto wywleka przeczące temu fakty, musi być więc przygotowany na surową karę, a konkretnie – zgodnie z modną obecnie „cancel culture” – karę zapomnienia. „Jan Nowak-Jeziorański powtarzał mi: »Mówią o Polsce byle co i są w tym zupełnie bezkarni«” – tak w 2009 r. mówił w wywiadzie dla „Newsweeka” pochodzący z Walii historyk Norman Davies.

On sam stał się jednak ofiarą powszechnego w lewicowych środowiskach amerykańskich antypolonizmu. I chociaż autor „Bożego igrzyska” nie pisze wyłącznie tego, co się Polakom podoba, to i tak nagle odmówiono mu obiecanej posady na prestiżowym uniwersytecie

Aby skutecznie prowadzić politykę historyczną, potrzebna jest dobra historia. Łatwa do zapamiętania i poruszająca odbiorców

w kalifornijskim Stanford. Dopiero po jakimś czasie ceniony historyk dowiedział się, że stało się tak ze względu na metkę „historyka, który broni Polaków”.

HOLOKAUST W SŁUŻBIE PUTINA

O tym, jak mocno upolityczniona bywa walka o prawdę historyczną, można się przekonać, obserwując zakrojoną na bardzo szeroką skalę działalność Yad Vashem. Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu został utworzony w 1953 r. na mocy ustawy przyjętej przez izraelski parlament, aby dbać o państwową doktrynę historyczną. Pełni wiele funkcji. Dokumentuje historię narodu żydowskiego podczas Holokaustu, przechowuje dowody Zagłady, a także odgrywa ważną rolę polityczną. Nagrodę Yad Vashem otrzymało więc np. „Pokłosie” w reż. Władysława Pasikowskiego – film uznany przez wielu komentatorów za ahistoryczny, antypolski paszkwil.

Polskie MSZ interweniowało także w sprawie skandalicznego napisu na wystawie w Yad Vashem, mówiącego o tym, że w czasie wojny Niemcy wraz

z „polską policją” pilnowali wejścia do łódzkiego getta, co jest oczywistym kłamstwem.

Dowód tego, jak bardzo niektóre izraelskie organizacje skłonne są do fałszowania historii w celu osiągnięcia zysków politycznych, można było zobaczyć 23 stycznia 2020 r. podczas kontrowersyjnego Światowego Forum Holokaustu zorganizowanego przez Yad Vashem wraz z Europejskim Kongresem Żydów.

Podczas forum, w którym wzięło udział kilkudziesięciu światowych przywódców, pokazano nagrania wideo oraz inne materiały, które teoretycznie miały przedstawiać prawdę historyczną, ale sugerowały np., że niemiecka agresja w Europie rozpoczęła się w roku 1942. Zapewne, aby przypodobać się Władimirowi Putinowi – z którym bliskie kontakty utrzymuje rosyjski oligarcha, a jednocześnie prezes Europejskiego Kongresu Żydów Mosze Kantor – organizatorzy nie zająknęli się nawet o zbrodniach Związku Sowieckiego podczas drugiej wojny światowej, a także o tym, że 17 września 1939 r. na podstawie paktu Ribbentrop-Mołotow sowiecka Rosja dokonała inwazji na Polskę. Organizatorzy przedstawili też na mapach zafałszowane granice Polski, które nie pokrywały się z granicami ani z 1939 r., ani z roku 1945.

Dopiero w lutym Yad Vashem, pod wpływem oburzenia wielu środowisk, w liście do dziennika „Haarec” przeprosił za „nieścisłości” i „stronnicze przedstawienie faktów” podczas Europejskiego Kongresu Żydów, które „wywołały nieobiektywne wrażenie”. Sam „Haarec” odnotował m.in., że mapy przedstawione na nagraniu błędnie pokazywały granice Polski i jej sąsiadów, nie zawierając też odniesienia do Ukrainy, która jest obecnie w trakcie toczonego się konfliktu z Rosją Władimira Putina.

To niejedyny kontrowersje związane z konferencją w Yad Vashem. Jej organizatorzy odmówili możliwości zabrania głosu polskiemu prezydentowi Andrzejowi Dudzie. Głos mogli za to zabrać prezydent Rosji Władimir Putin, prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier oraz prezydent Francji Emmanuel Macron, książę Karol z Wielkiej Brytanii i przedstawiciel Stanów Zjednoczonych.

Nic więc dziwnego, że wielu komentatorów, w tym Władysław Teofil Bartoszewski, uznali ją za „antypolską”.



„Zniszczenie Świątyni Jerozolimskiej”,
Francesco Hayez, 1867 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Biblia w polityce historycznej



Jakub Ostromięcki

Tradycja biblijna odgrywa olbrzymią rolę w polityce Izraela. Sięganie do tych opowieści pomaga utrzymać jedność narodową i pozwala tłumaczyć współczesnym Izraelczykom ich prawo do życia na tych ziemiach

Iziemy po swoje”. „Nie jesteśmy tu od wczoraj”. „Odbieramy to, co nasze”. Na przestrzeni dziejów każde osiadłe i cywilizowane społeczeństwo, podbijając jakieś terytorium, usiłowało przekonać świat i siebie, że to, co robi, jest dziejową sprawiedliwością.

Współczesny Izrael nie stanowi tutaj wyjątku. Różnica tkwi w szczegółach. O ile większość podbojów w Europie i na Bliskim Wschodzie polegała na ekspansji jakiejś metropolii czy obszaru rdzeniowego ku sąsiednim terytoriom, o tyle w XX w. syjonistom działającym w bry-

tyjskim Mandacie Palestyny i później w niepodległym Izraelu chodziło przede wszystkim o ściągnięcie swoich rodaków – czy ludności, którą za rodaków uważali – do powstającego właśnie państwa, tak by zmienić skład etnicznej mieszanki w Palestynie na swoją korzyść.

Aby operacja, która przeszła do historii pod nazwą alija, przebiegła sprawnie, potrzebne były mit oraz odpowiednia polityka historyczna, zwana w świecie anglosaskim „polityką pamięci”. Trzeba było zatem przekonać żydów – celowo zapisanych od małej litery, albowiem mówimy na razie o wspólnotach religijnych rozsiadanych po całym świecie – że ich obowiązkiem jest opuszczenie krajów, w których dotychczas żyli, czyli porzucenie diaspory

i migracja ku Palestynie. Zrazu nie było to zadanie łatwe. Sam ojciec syjonizmu Theodor Herzl na kongresie w Bazylei w 1898 r. stwierdził: „Nie można dłużej ścierpieć, by w żydowskich gminach religijnych agitowano przeciw Syonowi [...]”. Sądzę przeto, że wyrażam myśl Waszą, szanowni Członkowie Zjazdu, wskazując, jako jedno z najbliższych naszych zadań, podbój gmin”.

Zadanie to ostatecznie się powiodło. Jednocząca Żydów Księga istniała od tysiącleci – nastał jednak czas, aby użyć jej w polityce. Herzl puentował dobitnie na zasadzie argumentum ad populum: „Jeżeli w ogóle istnieć mogą jakiegokolwiek prawne uroszczenia do obszaru powierzchni ziemskiej, to wszystkie wierzące w Biblię ludy muszą uznać prawo Żydów”. Zbudowany mit napędził kolejne alije, jak zwie się fale migracji Żydów do Palestyny, i uprawomocnił osadnictwo Żydów w oczach światowej opinii publicznej.

EMIGRACJA CZY WYPĘDZENIE?

Biblią jako narzędziem polityki posłużono się nie tylko na syjonistycznych kongresach, lecz także w sytuacji znacznie donioślejszej. Przyjrzyjmy się fragmentom najważniejszego dokumentu owej polityki, czyli Deklaracji niepodległości Izraela z 14 maja 1948 r.:

„Naród żydowski powstawał w Ziemi Izraela. Tutaj ukształtowała się jego duchowa, religijna i państwowa tożsamość. Tutaj po raz pierwszy stworzył on państwo. Tutaj stworzył skarby kultury ogólnoludzkiej i przekazał całemu światu wieczną Księgę nad księgami.

A później, gdy siłą wygnano naród z jego ziemi, Żydzi zachowali z nią łączność i nigdy nie przestawali się modlić i mieć nadzieję na to, że do niej powrócą i że odtworzą w niej swoją polityczną wolność. Kierowani tym historycznym i tradycyjnym przywiązaniem Żydzi w każdym pokoleniu dążyli do tego, by powrócić do swojej dawnej ojczyzny.

[...]

Państwo Izrael otwarte będzie dla żydowskiej imigracji z Diaspory i będzie wspierać rozwój kraju dla pożytku wszystkich jego mieszkańców. Zbudowane będzie na podstawach wolności, sprawiedliwości i pokoju – tak jak je widzieli prorocy Izraela.

[...]

Wzywamy cały naród żydowski w Diasporze, by zjednoczył się poprzez imigrację i odbudowę z Państwem Izrael



14 maja 1948 r. David Ben-Gurion odczytał Deklarację niepodległości, głoszącą ustanowienie Państwa Izrael. FOT. DOMENA PUBLICZNA

i stał u jego boku w dziele odbudowy i realizacji odwiecznego marzenia całych pokoleń – odrodzenia Państwa Izraela”.

Jak ta deklaracja ma się do historii? Z pierwszym akapitem nie ma kłopotu. Istnienie starożytnego Królestwa Izraela i zamieszkiwanie go przez Żydów to oczywiście fakty historyczne. Tak samo jak późniejszej Yehud Medinata, czyli perskiej prowincji Judy, hellenistycznej Celesyrii, której częścią była Judea, i później, po klęsce Seleucydów, niepodległego Królestwa Judei rządzonego zrazu przez żydowskich etnarchów, potem królów, aż do rzymskiego podboju w 37 r. p.n.e.

Judea to jednak nie to samo co Palestyna. Jak piszą o hellenistycznym Lewancie Benedetto Bravo i Ewa Wipszycka w „Historii starożytnych Greków”: „Palestyna tej epoki nie była wyłącznie ziemią Żydów. Stanowili oni bezwzględną większość na terenie Judei, niewielkiej krainy o powierzchni około 600 km kw. [czyli średniej wielkości polskiego powiatu – przyp. red.] z centrum w Jerozolimie. Na pozostałych obszarach ludność żydowska była przemieszana bądź nawet ustępowała całkowicie innym grupom etnicznym”.

Te inne grupy to ludy semickie, takie jak Idumejczycy (Edomici), arabscy Nabatejczycy, aramejscy Ammonici oraz Grecy i zhellenizowani Semic. Grecy władcy Bliskiego Wschodu – czy

to Ptolemeusze, czy Seleucydzi – osiedlali w Palestynie swoich weteranów całymi tysiącami, ale – jak zaznaczają polscy badacze – „Nic nie wskazuje na to, by cała ta działalność kolonizacyjna napotykała większe trudności wynikłe z kulturowej i religijnej odrębności osadników”. Nienawiść rozpałała się dopiero w 169 r. p.n.e., gdy Antioch IV, chcąc powetować sobie straty, których doznał w wojnie w Rzymianami, położył ręce na świątynnym skarbcu w Jerozolimie.

Starożytni Żydzi, podobnie jak każdy inny lud, gdy tylko udawało im się odzyskać suwerenność, szybko przeistaczali się z ofiar w srogich hegemonów. Tak było zwłaszcza po powstaniu Machabeuszów, gdy Żydzi zrzucili greckie jarzmo, czy w momencie krótkotrwałych zwycięstw w czasie powstania Bar Kochby.

W następnych wersach Deklaracji niepodległości konsekwentnie starano się przekonać odbiorców o wyganianiu kolejnych pokoleń Żydów z Palestyny. To, co było praktyką władców asyryjskich i babilońskich, nie musiało być jednak udziałem potomków greko-macedońskich diadochów. W czasach hellenistycznych Żydzi masowo emigrowali z Palestyny – bynajmniej nie z przyczyn politycznych. Prym wśród emigrantów wiedli najemnicy, którzy podpatrzywszy grecką i macedońską falangę, chętnie wynajmowali się wodzom państw leżących wokół Morza Śródziemnego. Za



Dziecko z plemienia etiopskich Żydów Falash Mura, oczekujące na emigrację do Izraela. FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ najemnikami ruszyli kupcy i rzemieślnicy. Żydów spotkać można było zatem w greckich polis, a nawet w Rzymie. W Aleksandrii należało do nich dwie piąte miasta, szacunkowe dane mówią, że w całym Egipcie było ich kilkaset tysięcy – i była to emigracja całkowicie dobrowolna.

Faktem jest z kolei wyludnienie Palestyny w wyniku krwawych rzymskich represji po zburzeniu świątyni w 70 r. n.e. i stłumieniu powstania Bar Kochby w 135 r. n.e. Nie były to jednak deportacje, ale sprzedaż w niewolę – w ten sposób nowa fala Żydów, tym razem przymusowo, znalazła się w Europie.

Według deklaracji Żydzi w diasporze wyczekiwali dnia, w którym będą mogli powrócić do Palestyny. Nie wszyscy i nie zawsze. W czasach greckich z bogatych żydowskich gmin płynął ku Judei kapitał, ale nie ludzie. Potomkowie najemników i kupców, zobaczywszy kawał świata, nie zamierzali już wracać do Palestyny. W 139 r. p.n.e. Żydzi zostali wypędzeni, ale z Rzymu.

Jest jeszcze jedno spoiwo, za pomocą którego deklaracja łączy rok 1948 z 1000 r. p.n.e. Ustrój nowego państwa żydowskiego ma być oparty na zasadach stworzonych przed tysiącami latami przez proroków. To, że nowocześni Izraelici zamierzają traktować owe biblijne odwołania poważnie, udowodnił Jigal Allon, minister spraw zagranicznych

Izraela, mówiąc przed Zgromadzeniem Ogólnym Narodów Zjednoczonych 30 września 1975 r.: „Syjonizm, ogólnie rzecz biorąc, jest stałym i niesłabnącym pragnieniem zrealizowania narodowej i powszechnej wizji proroków Izraela”. Czy starożytne rozumienie wolności, sprawiedliwości i pokoju przewidywało powszechne prawo wyborcze, równouprawnienie kobiet, prawo do rozwojów i wolny rynek – tego deklaracja ani Allon nie wyjaśnili.

Identyczna narracja jak w deklaracji emanuje dziś ze stron izraelskiego MSZ – nie mówi się tam o podbojach starożytnego Izraela czy Judei, tylko o „konsolidacji granic” czy „odzyskaniu dawnych terytoriów”.

ZAGINIONE PLEMIONA IZRAELA

Odniesienia biblijne pojawiły się u zarania nowoczesnego Izraela w czasie serii operacji wojskowo-logistycznych, których celem było sprowadzenie do Izraela wyznawców judaizmu z państw arabskich i Etiopii, którzy żyli tam od starożytności. Główne motywy tych działań nie miały podłoża religijnego, ale miały uchronić ludność wyznania mojżeszowego przed pogromami i przesładowaniami, których doznawała ze strony władz lub swoich sąsiadów w zemście za politykę Izraela wobec Palestyńczyków, lub tak jak w przypadku Etiopii – przed groźbą głodu. Chodziło również o zmianę

uwarstwienia społeczeństwa Izraela. Po drugiej wojnie światowej ze statków w Hajfie wychodziły bowiem na brzeg setki prawników, lekarzy, handlarzy i krawców, próżno zaś było tam szukać rolników czy pasterzy. Funkcji tych w latach 50. nie można było powierzyć arabskim fellachom (rolnikom), bo ci pałali już do Żydów nienawiścią.

Starożytna spuścizna okazała się w tym momencie istotna w zupełnie innym kontekście. Trzeba było wykazać przed światem, że niepiśmienni pasterze z Jemenu czy Etiopii to część tego samego narodu, z którego pochodzili uratowani z Holocaustu adwokaci, i właśnie w Izraelu, a nie na przykład w obozach ONZ, będzie im najlepiej. Nowoczesny Izrael był państwem założonym przez Europejczyków, gdzie prawie nie było analfabetyzmu, po ulicach jeździło mnóstwo samochodów, mężczyźni nosili się tak samo jak ówczesni Włosi czy Grecy, kobiety miały na sobie krótkie spódnice i malowały się, zanim wychodziły same z domu. Dla Żydów etiopskich czy jemeńskich był to szok, toteż religijna więź była dla nich często jedynym spoiwem z odrodzonym Izraelem.

I tak operacja ściągnięcia Żydów z Maroka otrzymała kryptonim Jakin, od nazwy jednej z kolumn w Świątyni Jerozolimskiej, migrację z Iraku nazwano od Ezdrasza i Nehemiasza, przywódców Żydów podczas rządów perskich, a ewakuację z Etiopii – operacją „Mojżesz”, jej zaś kontynuacją była operacja „Jozue”. Żydom jemeńskim, podróżującym na pokładach samolotów, które widzieli po raz pierwszy w życiu, powiedziano, że „leczą na skrzydłach orłów”, tak jak zapowiedziano ich przodkom przed tysiącami lat w Księdze Wyjścia i Księdze Izajasza. „Na Skrzydłach Orłów” jest zatem inną nazwą operacji „Magiczny Dywan”. Władze w Tel Awiwie były zbyt poważne na to, aby rozgłaszać tezę o tym, iż Żydzi etiopscy to potomkowie jednego z 10 zaginionych plemion Izraela. Nie przeszkadzało to jednak części Etiopczyków wierzyć, że wywodzą się z plemienia Dana, które zostało wygnane z Palestyny przez Asyryjczyków i po wiekach przywędrowało do Etiopii.

MIT MASADY

To nie koniec wykorzystywania Biblii w polityce historycznej Izraela. Premier Netanjahu w czasie wizyt w USA jest bowiem częstym gościem organizacji

Christians United for Israel (CUFI). Jej szefem jest pastor John Hagee, który będąc miłośnikiem Izraela, uważa jednocześnie, że „Hitler został zesłany przez Boga jako myśliwy, który prześladował Żydów i w ten sposób skierował ich ku ziemi obiecanej im przez Boga”. Dlaczego słowa te nie zrażają premiera Izraela? Podczas szczytów i konwencji CUFI oraz innych organizacji i kościołów protestanckich z nurtu chrześcijańskiego syjonizmu zbierane są dość spore sumy na wsparcie różnych izraelskich instytucji i programów, sami telewizyjni pastory stanowią zaś potężne lobby mogące wywierać wpływ na republikańską administrację.

Biblijnymi odwołaniami posługiwała się też Jewish Defense League (Żydowska Liga Obrony), organizacja terrorystyczna zrzeszająca żydowskich fundamentalistów z USA. Z jej szeregów wywodził się Baruch Goldstein – urodzony w USA Żyd, który wiedziony religijnym fanatyzmem dokonał krwawego zamachu w 1994 r. w meczecie w Hebronie. Państwo Izrael potępiło ów zamach i podjęło kroki w celu ograniczenia kultu postaci Goldsteina szerzonego przez fundamentalistów.

Nie można w tym kontekście zapomnieć o innym micie współczesnego Izraela wyrosłym z antyku – Masadzie. Była to twierdza zbudowana na szczycie niedostępnej skały, która posłużyła Żydom za ostatni punkt oporu w czasie antyrymskiego powstania w Judei w latach 66–73. Po długim oblężeniu i dzięki niesamowitym zdolnościom inżynierijnym Rzymianie zdobyli twierdzę, ale na szczycie urwiska znaleźli tylko ciała obrońców, którzy popełnili samobójstwo, mając w perspektywie śmierć, niewolę i pohańbienie własnych żon oraz dzieci. W odrodzonym Izraelu Masada stała się tym, czym dla Amerykanów jest Alamo.

Mit obrony utwierdził miniseriał z 1981 r. Na samym początku widzimy izraelskich pancerniaków przygotowujących się do złożenia przysięgi na szczycie słynnej góry, a narrator wsadza kij w mrowisko, mówiąc: „Spuścizna Masady uczyniła z izraelskiego żołnierza jednego z bardziej śmiałych i zaciekłych obrońców wolności na świecie!”. Wizja ta spodobała się oczywiście w Izraelu, gdzie każdy zna od dziecka frazę „Masada drugi raz nie upadnie!”. W USA wywołała jednak mieszane reakcje. „The New York Times” przestrzegali przed



Masada – twierdza na Pustyni Judejskiej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

promocją „sekciarskiego męczeństwa” i „fanatyzmu”, przywołując niedawną przecież krwawą masakrę w Jonestown w Gujanie.

W Izraelu przez lata dominowała jednak narracja związana z obroną twierdzy jako jednego z najbardziej heroicznych punktów oporu w całej historii. Podejście owo zaczęło zmieniać się pod koniec lat 90., po porozumieniach z Oslo. Dzisiaj, wizytując ruiny twierdzy, można spotkać przewodników, z których jeden może okazać się gorącym zwolennikiem podtrzymania mitu heroicznego oporu, inny zaś mit ten będzie obalał. Profesor Shaul Kelner był świadkiem takich toczonych niemal jednocześnie mów. Jeden z przewod-

ników grzmiał: „Ludzie przychodzą tu tysiącami, aby podziwiać nasze bohaterstwo. Gdy walczyliśmy z Rzymianami, mając za oręż tylko naszego ducha! Wiedzą teraz, jak mocno Żydzi trzymają się swoich wartości”. Inny, pacyfista, odbrązawiał: „Przetrwaliśmy owo powstanie dzięki Żydom z Jawne [miasta, do którego po zniszczeniu w 70 r. Świątyni Jerozolimskiej przeniesiony został Sanhedryn – przyp. red.], którzy zdołali odrodzić żydowską religię i kulturę. Nie tym, którzy stwardzielili, że będą tutaj walczyć do śmierci. Fanatyzm nie przynosi nic dobrego”. Tylko powaga owego świętego dla Żydów miejsca powstrzymała oponentów od stoczenia ostrej polemiki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Koncepcja była prosta: trzeba doczekać do francusko-brytyjskiej ofensywy na zachodzie. Można było się bronić na wschodzie II RP, ale całości terytorium nie sposób było utrzymać. Na północy była Litwa, niespecjalnie Polsce przyjazna, a na południu sojusznicza Rumunia i tradycyjnie dobrze do Polski nastawione Węgry. Postanowiono więc stworzyć obronę tzw. przedmościa rumuńskiego, wzdłuż rzek na południowy wschód od Lwowa.

Czy miało to sens? W zasadzie była to jedyna możliwość. Statki z zakupionymi we Francji i w Wielkiej Brytanii samolotami, a potem także innym sprzętem wojskowym miały płynąć do rumuńskiej Konstancy. Z Londynu miało dotrzeć sto bombowców typu Fairey Battle, z Paryża 160 myśliwców Morane-Saulnier MS.406 oraz 50 czołgów Renault R-35. Gdyby wojna potrwała dłużej, sytuacja mogłaby się zmienić na korzyść Polski.

Z WARSZAWY PRZESZŁO DO KUT

To, że władze wyjechały ze stolicy, było czymś przykrym, ale i oczywistym – Niemcy posuwali się zbyt szybko. Prezydent i rząd RP ewakuowali się z Warszawy w pierwszych dniach września 1939 r., do Ołki i Łucka. MSZ i dyplomaci państw obcych trafili natomiast 8 września do Krzemienia. Już 12 września zapadła decyzja o przeniesieniu się w rejon „przedmościa rumuńskiego”.

Była to trudna decyzja, bo województwo stanisławowskie było nieprzygotowane na taką ewentualność. Co więcej, był to region ze skromnym odsetkiem ludności polskiej. Na 1 mln 480 tys. mieszkańców 332 tys. (22 proc.) używało języka polskiego, 1,2 mln (69 proc.) – ukraińskiego, 109 tys. (7 proc.) – jidysz.

Na terytorium województwa aktywnie działały legalne ukraińskie partie polityczne, a zwłaszcza Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne (UNDO), które miało swoją reprezentację w Sejmie i apelowało o wspólną walkę Ukraińców i Polaków z Niemcami. Działała też nielegalna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów. Z policyjnych archiwów wiadomo, że przed wojną organizowała liczne akcje sabotażu i zastraszania m.in. przeciwko członkom Związku Szlachty Zagrodowej, Związku Strzeleckiego i lojalnym wobec Polski Ukraińcom, a szykująca antypolskie powstanie właśnie w regionie „przedmościa rumuńskiego”.



Piotr Kościński

Dramatyczne wydarzenia po 17 września 1939 r. w oczach przeciętnego Polaka sprowadzają się właściwie do jednego: polski rząd, jadąc sznurem limuzyn, ucieka drogą zaleszczycką do Rumunii, zostawiając walczących żołnierzy na pastwę losu. Tymczasem sowiecka agresja co prawda wymusiła ewakuację władz polskich za granicę, ale wcześniej szykowały się one do wielomiesięcznego urzędowania w okolicy Kut i Kosowa

I do tego województwa, w tym do powiatu kosowskiego, o największym odsetku ludności ukraińskiej, trafili ministrowie, wiceministrowie, dyrektorzy departamentów, urzędnicy oraz dyplomaci. Oczywiście, nie licząc wojskowych, z marszałkiem Edwardem Śmigłym-Rydzem na czele.

Tak opisywał sytuację w połowie września Stanisław Nicieja: „14 września 1939 r. wszystkie hotele, dworki i pensjonaty w pobliżu granicy z Rumunią, w Kosowie, Śniatynie, Zabłotowie, Pistyniu były przepełnione uciekinierami z Warszawy, Poznania i Krakowa. W Załuczu pod Śniatynem w pałacu Krzysztofowiczów i Jaruzelskich zatrzymał się prezydent RP Ignacy Mościcki. Od Kosowa ciągnęła po-

teżna kolumna wojsk z taborem konnym. Żołnierze byli potwornie wymęczeni, zarośnięci, o szarych twarzach i w wymiętych mundurach. Od strony Kołomyi, Horodenki i Gwoźdzca na bocznych drogach narastał tłok. Ciągnęły kawalkady furmanek, samochodów, bagażówek, motocykli i rowerów. W zgiełku, w jazgocie maszyn i turkocie wozów konnych kroczyły tłumy pieszych, objuczonych do granic wytrzymałości zabranym na drogę dobytkiem”.

W STAROSTWACH, PENSJONATACH I CHAŁUPACH

Ze wspomnień i z dzienników premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego, ministra spraw zagranicznych Józefa Bec-



Jednym z prywatnych sanatoriów wykorzystanych we wrześniu 1939 r. przez ewakuujący się z Warszawy polski rząd był ośrodek założony przez Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie. Fotografia przedwojenna

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

ka, urzędników różnych ministerstw oraz zagranicznych dyplomatów wynika, że podstawowym problemem po przybyciu na Pokucie było znalezienie odpowiednich miejsc zakwaterowania i biurowych. Można sobie wyobrazić te biedne niewielkie miejscowości, z ulicami z kocich łbów, połączone bitymi drogami (dyplomaci wspominali tumany kurzu podnoszące się za jadącymi samochodami), w których przybyś z Warszawy gorączkowo poszukiwali kwater i miejsc na biura. Najwygodniejszy słynny kurort Zaleszczyki był położony za blisko granicy sowieckiej, więc tam nie ulokowano nikogo (pierwotnie chciano tam wysłać ambasady i poselstwa państw obcych). W Kosowie wykorzystano na przykład prywatne sanatorium założone przez Apolinarego Tarnawskiego (dziś państwowe, niestety, częściowo w ruinie) – kuracjusze nagle dowiedzieli się, że muszą się wynieść.

Felicjan Sławoj-Składkowski tak opisywał wydarzenia 15 września w Kosowie: „Urządujemy w zarekwirowanych willach uzdrowiska i w urzędach Starostwa. Przestrzeń zajmowana przez urzędy oraz ilość urzędników zmalały nagle, tak zresztą jak i zakres naszej pracy. W samym Kosowie [tak w oryginale – przyp. P.K.] mieści

się: Prezydium Rady Ministrów Sprawy Wewnętrzne, Wojsko, Propaganda i Skarb. W Różnowie ulokowane zostały: Sprawiedliwość, Oświata, Komunikacja i Ministerstwo Poczty. W Kutach urzęduje Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Dyplomacja. We wsi Kniże rozlokowano: Opiekę Społeczną, Rolnictwo, Przemysł i Handel, Najwyższą Izbę Kontroli, Najwyższy Trybunał Administracyjny, Sejm i Senat. [...] Naczelne Dowództwo przybyło koło południa do Kołomyi”.

„Wicepremier [Kwiatkowski] zajął [...] wraz z wiceministrami Morawskim i Grodyńskim domek dawnej leśniczówki, tuż przy szosie; o jakieś pół kilometra dalej, u sołtysa, w głębi pięknego sadu skrył się wiceminister Koźuchowski z częścią ekipy urzędniczej. Reszta znalazła pomieszczenie w domkach przy szosie między sołtysiem i leśniczówką. Z początku było cicho i spokojnie. Premier Składkowski wydał zakaz jazdy autami, które pochowano w stodołach i sadach. W samym Kosowie rozlokowało się tylko Prezydium Rady Ministrów i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, tym razem bez licznego taboru służby, przerzuconej na wsie. [...] We wsi Smodna rozlokował swe tele-skryptory i radioaparaty minister Michał Grażyński, przebywający tam z grupą dziennikarską i urzędniczą Ministerstwa Propagandy. Inne ministerstwa wywędrowały gdzieś dalej. W ten sposób nie było prawie zupełnie widać ruchu, jaki obserwowało się w miastach dotychczasowej ewakuacji” – pisał Janusz Rakowski, dyrektor gabinetu wicepremiera ministra skarbu Eugeniusza Kwiatkowskiego.

Ambasador USA Anthony Drexel-Biddle wspominał pobyt w Kutach: „Jeden z urzędników MSZ zorganizował biuro w budynku starostwa i wskazał nam kwatery [...]”. Wczesnym rankiem urządziliśmy biuro na trawniku przed domem. Udało mi się również uzyskać dwóch policjantów do pilnowania, jednego na dzień, drugiego na noc”. Dyplomaci jeździli do pobliskiej Rumunii, do Wyżnicy (było to zaledwie 5 km drogi przez graniczny Czeremosz!), gdzie korzystali z poczty i telegrafu.

Spodziewano się, że pobyt na Pokucie potrwa długo. „Wkrótce po rozlokowaniu się członków Rządu odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, z którego [wicepremier Eugeniusz] Kwiatkowski przyniósł nam rewelacyjne informacje. Prawdopodobnie – mówił – będziemy tu siedzieć przez całą zimę. [...] W budynku zarządu

drogowego, gdzie urzęduje Prezydium Rady Ministrów, twarze rozradowane. Premier Składkowski przed chwilą rozmawiał telefonicznie z Naczelnym Wodzem. Generał Sosnkowski odniósł nad Wereszyną wielkie zwycięstwo, biorąc 100 czołgów i samochodów pancernych oraz 60 armat”.

MOST NA CZEREMOSZU

Te doniesienia były jednak przesadnie optymistyczne. I optymizm bardzo szybko się skończył. Minister spraw zagranicznych Józef Beck wspominał, że wiadomość o sowieckiej agresji uzyskał o godz. 6, natomiast Sławoj-Składkowski wskazywał, że wiadomość ta dotarła do niego bardzo późno: „Dopiero godzi-na dziesiąta rano przyniosła straszną wiadomość, której na razie wierzyć nie chcieliśmy. Wojska sowieckie przeszły granicę naszą czołgami i, po złamaniu oporu oddziałów Korpusu Ochrony Pogranicza, posuwają się na zachód [...]”. Marszałek Śmigły wzywa mnie i min. Becka na godzinę 11-tą do siebie, do Sztabu w Kołomyi. Telefonuję do Załucza o konieczności natychmiastowego przejazdu Pana Prezydenta do Kut, spod eksponowanego na wschód Śniatynia, gdzie wkrótce mogą być bolszewicy”.

Po południu w Kutach odbyła się narada z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego, premiera Sławoja-Składkowskiego, marszałka Śmigłego-Rydza i ministra Becka. Sławoj-Składkowski pisał: „W czasie narad otrzymuję telefon od dyr. Żybońskiego: Starosta ze Śniatynia melduje, że wojska sowieckie doszły do Śniatynia [...]”. Na północ od Śniatynia czołgi i wojska sowieckie posuwają się dalej w kierunku zachodnim. Nie ma więc wątpliwości, że bolszewicy mogą być jeszcze dzisiaj w Kołomyi, a nam pozostaje tylko jedna wolna droga graniczna do sojuszniczej Rumunii, przez Kutę – most na Czeremoszu – Wyżnicę. Wobec tej sytuacji zapada uchwała przejścia tej nocy z wszystkimi formacjami wojskowymi do Rumuna, celem dalszego przejazdu do Francji”.

Prezydent i rząd ruszyli więc do Rumunii, a za nimi masa urzędników i uciekinierów cywilnych. „Śmigły” po dłuższym wahaniu przejechał most na Czeremoszu 18 września. I tak skończył się krótki czas, gdy Kutę i Kosów były stolicą Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą AFiB Vistula i dziennikarzem tygodnika „Jdziemy”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ochotnik do Auschwitz

Obóz koncentracyjny Auschwitz był jednym z najpotworniejszych miejsc na ziemi.

Człowiek, który dostał się do tego piekła, był zgubiony – średnia przeżycia w Auschwitz wynosiła kilka miesięcy. Trudno więc się dziwić, że trafienie do tego obozu było uznawane za równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Głód, choroby, katorżnicza praca. Upokorzenia i terror sadystycznych strażników i kapo. Życie ludzkie w Auschwitz nie miało żadnej wartości. A jednak znalazł się człowiek, który poszedł do tego obozu dobrowolnie. Mowa oczywiście o Witoldzie Pileckim. Polskim oficerze, który dał się aresztować i wysłać do Auschwitz, aby założyć tam ruch oporu. I przekazać na zewnątrz informacje o dramacie rozgrywającym się za drutami.

O bohaterstwie Pileckiego słyszało niemal każde polskie dziecko. Ostatnio o jego losach dużo się mówi również na świecie. Ogromna w tym zasługa – bardzo popularnej na Zachodzie – książki „Ochotnik” Jacka Fairweathera. Teraz została ona wydana również w Polsce.

„Muszę przyznać, że sam byłem bardzo zaskoczony – pisze autor – usłaniając sobie, jak niewiele wiadomo o misji Pileckiego, który chciał ostrzec Zachód o zbrodniach popełnianych

przez hitlerowców i stworzyć tajną organizację zdolną do zniszczenia obozu. Co się stało z przekazywanymi przez niego materiałami wywiadowczymi, dla których narażał życie w Auschwitz? Czy dostarczył Brytyjczykom i Amerykanom informacje o Holokauście dużo wcześniej, niż alianci publicznie przyznali, że wiedzą o istnieniu i celu działania obozu w Auschwitz? Jeśli tak, to dlaczego jego raporty były celowo i świadomie utrzymywane w tajemnicy? Ile istnień ludzkich dałoby się uratować, gdyby ktoś podjął odpowiednie działania w reakcji na te raporty?”

I dalej:

Losy Pileckiego stały się dla mnie również wyzwaniem natury osobistej – gdy rozpocząłem badania, miałem tyle samo lat co Witold, kiedy wybuchła wojna; też założyłem rodzinę, miałem ciepły dom i małe dzieci. Zastanawiałem się, co skłoniło Witolda do zaryzykowania wszystkiego dla takiego zadania”.

Olbrzymim atutem książki jest nie tylko drobna kwerenda archiwalna, lecz także wywiady, które Fairweather przeprowadził ze świadkami historii. Członkami rodziny i ludźmi, którzy znali Pileckiego osobiście. „Ochotnik” to jedna z najciekawszych książek o polskiej historii napisanych ostatnio na Zachodzie. ©



★★★★★
JACK FAIRWEATHER
„OCHOTNIK”
ZNAK HORYZONT



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ostatni lot do stolicy

Wprawdzie w ostatnich dniach września 1939 r. Warszawa przygotowywała się do kapitulacji przed Niemcami, jednak w mieście powstawała już pierwsza masowa organizacja konspiracyjna. Organizowano ją na polecenie urzędującego jeszcze Naczelnego Wodza, marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza.

To właśnie do stolicy zdecydował się wysłać swojego emisariusza mjr. Edmunda Galinat. Nie wchodząc w aspekty polityczne sprawy, warto przyjrzeć się bliżej karkołomnemu zadaniu, jakie otrzymał wysłannik Naczelnego Wodza. Przelot z Rumunii do oblężonej stolicy nie był łatwy, a najlepiej do tego nadające się bombowce Łoś zostały internowane i znajdowały się pod ścisłym nadzorem. W tej sytuacji zdecydowano się porwać prototyp lekkiego bombowca PZL.46 Sum, który nie był przez Rumunów szczególnie pilnie strzeżony. Jego załoga, poinformowana o zamiarach Galinata, bez oporów zdecydowała się na lot do Warszawy.

Problem był tylko jeden – w samolocie były trzy miejsca, gdyż tyle osób liczyła załoga płatowca, toteż Galinat musiał się zmieścić w ciasnym pomieszczeniu podabiną, używanym przez obserwatora podczas bombardowania.

26 września por. Stanisław Riess poderwał do lotu maszynę z załogą i Galinatem na pokładzie. Trasa liczyła ponad 900 km

i prowadziła nad terytorium okupowanym przez Sowietów i Niemców. Jednak o godz. 18 tego dnia, pomimo niemieckiego ostrzału, samolot wylądował na lotnisku mokotowskim. Przy okazji bombowiec wpadł w lej po bombie i uległ lekkiemu uszkodzeniu.

Galinat miał za sobą ciężki dzień. Nie był lotnikiem, a podróż w charakterze balastu mocno dała mu się we znaki, tym bardziej że pilot z konieczności dwukrotnie wprowadzał maszynę w kontrolowany korkociąg! Nic więc dziwnego, że miał objawy choroby lokomocyjnej, a do tego podczas lądowania został solidnie poturbowany. Przez wiele godzin też nic nie jadł, a do tego na punkcie opatrunkowym dla poprawy stanu psychofizycznego zaaplikowano mu kilka kolejek wódki. Kiedy zatem wreszcie dostarczono go do sztabu, chwiał się na nogach i omal nie skończył przed sądem polowym. Najważniejsze jednak, że dostarczył posłanie „Śmigłego” do stolicy i natychmiast rozpoczęto organizację Służby Zwycięstwu Polski.

Tymczasem na lotnisku mechanicy pracowali nad naprawą sumy i następnego dnia bombowiec odleciał na Litwę, gdzie został internowany wraz z załogą. Porucznik Riess przedostał się do Anglii i pracował jako oblatywacz samolotów. Zginął w lutym 1943 r., podczas lotu testowego na jednym z nowych modeli bombowca. ©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Kulisy wielkiej
afery szpiegowskiej
II RP**

- Piotr Zychowicz – **Z Niemcami na Moskwę?**
Stanisław Żerko – **W obronie Józefa Becka**
Charles Fishman – **Amerykanie na księżycu**
Sławomir Koper – **Erotyczne skandale Kiepury**
Arkadiusz Karbowski – **Jak zamordowano Mussoliniego**
Jacek Bartosiak – **Polacy na linii Niemna**
Sławomir Cenckiewicz – **Piłsudski i Rozwadowski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



**Ze Swołłaną Cichanouską,
byłą kandydatką na prezydenta Białorusi,
liderką antyłukaszenkowskiej opozycji**
rozmawia Maciej Pieczyński



MACIEJ PIECZYŃSKI: Gdzie lepiej się pani czuje: w Wilnie czy w Warszawie?

SWIAŁŁANA CICHANOUSKA: To trudne pytanie. Wilno stało się teraz moim tymczasowym domem. To tam moje dzieci zaczęły nowy rok szkolny, to tam też działam z grupą swoich współpracowników.

Pytam, bo Wilno i Warszawa trochę rywalizują o panią.

(śmiech) Nieprawda, coś pan wymyśla.

Polska i Litwa były pierwszymi państwami, które okazały wsparcie protestującym Białorusinom. Dlaczego właśnie do Wilna wysłała pani swoje dzieci przed wyborami, a po wyborach sama pani tam pojechała? Jakże ma pani związki z Litwą poza tym, że już wcześniej wiele razy jeździła tam pani z mężem?

Szczerze mówiąc, to w Warszawie byłam nawet częściej niż w Wilnie. Ale kiedy na początku czerwca otrzymałam

kim chciałabym, żeby przyszedł prezydent Białorusi pracować nie dla swoich osobistych interesów, ale dla dobra kraju. To jest najważniejsze. Naród powinien być na pierwszym miejscu. I ten nowo wybrany prezydent na sto procent będzie odbudowywać związki z Zachodem, utracone, niestety, za czasów Aleksandra Łukaszenki. Ale proszę pamiętać, że oś Wschód-Zachód to nie wszystko. Jako Białorusini musimy też patrzeć na Północ i Południe. Musimy harmonijnie współpracować ze wszystkimi sąsiadami. Jestem więcej niż pewna, że przyszedł prezydent Białorusi będzie nawiązywać nowe, wzajemnie korzystne relacje, z kim tylko będzie to możliwe. Nie jesteśmy żadnym biednym krajem. Mamy wiele do zaoferowania ewentualnym inwestorom i sojusznikom – wysoko rozwinięta branża IT, bardzo dobre drogi, szlaki komunikacyjne...

ziomie, na jakim pomagają nam państwa Europy. Agresywna kremlowska propaganda wmawia swoim odbiorcom, że protestujący Białorusini chcą zerwać wszelkie relacje z Rosją. A to przecież nieprawda! My chcemy, żeby Białoruś była państwem niepodległym, nie chcemy, by ktokolwiek z zewnątrz decydował za nas, jaką drogą rozwoju mamy kroczyć, z kim mamy współpracować, a z kim nie. Chcemy być samowystarczalnie politycznie. Z pańskiego pytania wnioskuję, że powinniśmy jeszcze nagrać osobny apel do Polaków... To Łukaszenka odwrócił Białoruś twarzą do Rosji, a plecami do Zachodu. Taka konfrontacyjna polityka zagraniczna nie ma nic wspólnego z prawdziwymi pragnieniami moich rodaków, którzy nie chcą konfliktować się z kimkolwiek. Białorusini chcą po prostu żyć w wolnym, demokratycznym kraju. Dobrze pan wie, że mówiąc o relacjach z innymi krajami, muszę być ostrożna. Mogę jednak powiedzieć tyle: nie chcemy i nie będziemy patrzeć tylko w jedną stronę. Nie rozumiem dzielenia świata na Wschód i Zachód. Chcemy prowadzić cywilizowaną, przyjazną politykę zagraniczną. Proszę mi wierzyć, w XXI w. możliwa jest sytuacja, w której przywódcy państw nie obrażają się wzajemnie, za to rozmawiają ze sobą w normalny sposób. Jeśli ktoś zachowuje się tak jak nasz białoruski „lider”, to nikt go potem poważnie nie traktuje.

Wiem, co pani myśli o Łukaszence. Ale jakie ma pani zdanie o Putinie? To on, a nie „zwykły Rosjanie”, będzie decydował o polityce Moskwy wobec Białorusi.

O relacjach z przywódcą Rosji będzie decydował nowo wybrany prezydent mojego kraju.

Wiem, że pani chce być tylko tymczasowym prezydentem. Ale jednak ma pani autorytet jeśli nie lidera, to symbolu walki z reżimem. Co więc Swiałłana Cichanouska myśli o Putinie?

Chciałabym być z panem szczerą. Ale mogę powiedzieć tylko tyle: mam nadzieję, że pan Putin jest mądrym człowiekiem i mądrym przywódcą. Powinien zrozumieć, że Białorusini nie zaakceptują żadnych ustaleń uzgodnionych przez niego z Łukaszenką, ponieważ nie uważają już Łukaszenki za swojego prezydenta. Obywatele mojego kraju mogą być bici, represjonowani, wsadzani do więzień. Reżim może z nimi robić, co tylko zechce. Ale woli nie złać, bo Białorusini już nigdy nie będą tacy jak wcześniej. Mam do pana Putina tylko jedną prośbę: „Niech

Chcemy być i z Europą, i z Rosją

telefon z pogrózkami, pomogli mi działacze Centrum Obrony Praw Człowieka „Wiasna”. Zaproponowali wyjazd do Wilna, ponieważ wizę litewską można było szybciej i prościej wyrobić niż polską. Zgodziłam się. To był czysty przypadek. Proszę nie doszukiwać się żadnego drugiego dna, żadnej polsko-litewskiej rywalizacji. Nie wiem, być może wizę polską też byłoby łatwo wyrobić, ale ja się tym nie zajmowałam. Po prostu skorzystałam z konkretnej oferty pomocy.

Proszę wybaczyć, ale niezależnie od moralnej słuszności protestów przeciwko fałszerstwom wyborczym, niezależnie od solidarności z pani zwolennikami, którzy walczą o demokrację, polityka zagraniczna to przede wszystkim gra interesów. Stąd pojawia się pytanie: Dlaczego Polska powinna pomagać białoruskiej opozycji? Co Warszawa może na tym zyskać?

Polska nie pomaga opozycji. Polska pomaga większości narodu białoruskiego! Przypominam, że nie będę kandydować ponownie na prezydenta. Przede wszyst-

W ciągu jednej doby zdążyła pani spotkać się z premierem Mateuszem Morawieckim, odebrać klucze do nowego budynku Domu Białoruskiego w Warszawie, a także nagrać apel do „mieszkańców Rosji”. Oczywiście białoruska rewolucja nie ma charakteru antyrosyjskiego. Wie pani jednak doskonale, że Polska i Rosja to geopolityczni przeciwnicy. Trudno pogodzić dobre relacje z Warszawą i Moskwą jednocześnie. Z drugiej strony, zdaniem wielu komentatorów, pani „wielowektorowość” jest logiczna: w końcu Polska może panią wspierać, ale i tak o tym, kto przejmie władzę w Mińsku, koniec końców zdecyduje Putin.

Przede wszystkim wystosowałam apel nie do rządu, tylko do obywateli Rosji. Trzeba zdecydowanie oddzielać jedno od drugiego. Bardzo dobrze wiemy, do kogo nasz tzw. prezydent zwraca się o pomoc, a do kogo my... Dla Łukaszenki ważny jest Kreml, dla nas – ludzie. Zwykli Rosjanie. Oczywiście moglibyśmy zwrócić się do rządu, ale rozumiemy, że Kreml wspiera Łukaszenkę. Ze strony władz Rosji nie otrzymalibyśmy wsparcia na takim po-

■ Pan, Panie Putin, zostawi nasz kraj i nie ingeruje w jego wewnętrzne problemy. My, Białorusini, chcemy sami budować swoją przyszłość”.

Rozumiem, że od samego początku rosyjski przywódca przyjął pozycję wyciekającą. Nie wiem też, na co się dokładnie umówił z Łukaszenką. Tego pewnie nikt nie wie. Wie pan, może jestem trochę naiwna w sprawach polityki, ale uważam, że wszystko da się załatwić dyplomatycznie, polubownie, bez agresji. Przecież nie żyjemy w średniowieczu, tylko w XXI w.!

Tymczasem niedoszły kandydat opozycyjny na prezydenta Waleryj Cepkała, którego żona, Weronika, jest pani bliską współpracowniczką, jeszcze przed wyborami poprosił Putina o pomoc. Przesadził?

W naszym sztabie też wywołało to pewne zakłopotanie. Powiem delikatnie: byliśmy mocno zdziwieni tą prośbą. Ale pan Cepkała to samodzielny, wolny człowiek, poważny polityk, ma więc prawo wyrazić swoje, podkreślam: osobiste zdanie. Cóż więcej komentować?

Jak rozumiem, jest pani przeciwna pogłębianiu integracji z Rosją?

Jestem przekonana, że przyszły, nowo wybrany prezydent Białorusi porozumie się w tej sprawie z panem Putinem na warunkach korzystnych dla obu stron. Z pewnością da się znaleźć jakieś kompromisowe rozwiązanie, które pozwoli mojemu krajowi zachować niepodległość.

Skoro w pani ideale Białoruś powinna utrzymywać dobre relacje ze wszystkimi, to może mogłaby się stać pośrednikiem, pomostem pomiędzy Rosją a Zachodem?

Ale my nie chcemy być pomiędzy! Chcemy być obok! I z Europą, i z Rosją. Ja rozumiem te wszystkie polityczne podteksty, ale w naszych czasach relacje międzynarodowe nie powinny tak wyglądać, że rozrywają nas na kawałki i każą albo stawać po którejś ze stron, albo mediować między zwaśnionymi blokami. Chcemy tylko pokoju.

Czyli jakakolwiek rozmowa o współpracy Białorusi z Unią Europejską czy tym bardziej z NATO nie ma sensu?

Jestem przekonana, że na to pytanie wycierpująco odpowie panu nowo wybrany, przyszły prezydent Białorusi.

Powtarzam: wiem, że to nie pani będzie prezydentem, ale jednak pani zdanie jest istotne.

Mogę panu wszystko powiedzieć jako obywatelka Białorusi. Ale, niestety, dziś nie jestem tylko obywatelką Białorusi. Jestem twarzą mojego narodu. Nie mogę mówić wszystkiego, co mi do głowy przychodzi, muszę odpowiadać za swoje słowa.

Żałowała pani, że wyjechała z Białorusi?

Bardzo często zastanawiałam się nad tym, czy podjęłam dobrą decyzję. Wiele razy myślałam, że być może nie powinnam dać się przestraszyć, że lepiej byłoby zostać w Mińsku. Były chwile, kiedy chciałam zerwać się i jechać z powrotem. Ale wie pan... Gdybym pozostała w kraju, nie mogłabym umiędzynarodowiać naszej sprawy. Nie mogłabym jeździć po europejskich stolicach i opowiadać światu o tym, co się dzieje na Białorusi. Ta świadomość daje mi siłę. Jak widać na przykładach innych liderów, gdybym nie wyjechała, moje aresztowanie byłoby tylko kwestią czasu. Niemniej to wciąż dla mnie trudny moralny dylemat. Sercem wołałabym być w kraju, ale rozum podpowiada, że podjęłam słuszny wybór. Często słyszę od przyjaciół, którzy wciąż protestują: „Wróć, my cię obronimy!”. Ale to nierealne. Na wolności zrobię więcej niż w więzieniu.

Protesty trwają już prawie dwa miesiące. Jak pani myśli, z perspektywy czasu, dlaczego Białorusini stracili cierpliwość do Łukaszenki? Jakim cudem rewolucja stała się możliwa?

Z jednej strony wszystko, co się wydarzyło w ostatnim czasie na Białorusi, to łańcuch przypadkowych zdarzeń. Ale zmiana świadomości społecznej zaczęła się już dawno. Białorusini zrozumieli, że obecna władza ich nie szanuje. Początkowo rozmawiali na ten temat po cichu, w kuchni [już w czasach sowieckich „kuchnia” była miejscem, gdzie bezpiecznie narzekano na władzę – przyp. red.]. Potem pojawił się Cichanouski, który zaczął mówić o tym głośno. Następnie reakcja na COVID pokazała, że jesteście tej władzy za cholerę niepotrzebni, że rząd się o nas nie martwi ani o nas nie dba. Wtedy zrozumieliśmy, że przetrwamy dzięki oddolnej wspólnotce. Zaczęliśmy pomagać sobie nawzajem. To umocniło przekonanie ludzi, że razem mogą wiele osiągnąć. Kolejnym etapem budowania wspólnoty były masowe kolejkі przy zbieraniu podpisów pod opozycyjnymi kandydaturami. To był ważny psychologiczny moment. Ludzie w tych kolejkach zaczęli ze sobą rozmawiać, poznawać się lepiej, zobaczyli też, jak wielu jest tych, którzy myślą podobnie i mają dość obecnej

władzy. Ważną rolę odegrało połączenie trzech sztabów. Gdy ludzie zrozumieli, że ich oszukano, że ukradziono ich głosy, wyszli na ulicę. I wtedy Łukaszenka popełnił największy błąd, używając brutalnej siły. Przemoc, zamiast uspokoić, wręcz wzmocniła w Białorusinach nie tyle nawet nienawiść, ile pogardę wobec człowieka, który ośmielił się podnieść rękę na naród.

Ale jak to się stało, że – proszę wybaczyć – gospodyni domowa w patriarchalnym społeczeństwie pociągnęła za sobą miliony? Jaką rolę odegrał ten kobiecy czynnik?

Mamy bardzo kreatywny naród. Sęk w tym, że nikt nikim nie kieruje, ludzie sami się organizują. Myśli pan, że ktoś zadzwonił do nich i powiedział: „Macie wyjść na ulicę”? To oddolny ruch. Niezależnie, czy kobiety, czy mężczyźni – wszyscy są zjednoczeni w jednym celu.

Łukaszenka nie zamierza ustąpić. Putin na razie go wspiera. Zachód nie ma realnych instrumentów, aby doprowadzić do zmiany władzy na Białorusi. Demonstranci nie mogą wiecznie maszerować ulicami, a pani też nie będzie bez końca podróżować po świecie i apelować o wsparcie. Co dalej?

Widzimy naszą przyszłość w walce. Nie będzie momentu, w którym nagle wszystko się skończy, a my raz na zawsze zwyciężymy. To będzie długa, monotonna i uporczywa walka z reżimem, która pewnie zmęczy i znudzi Europę, Rosję, i nas też. Ale musi pan zrozumieć, że Białorusini już się nie zmieniają. Nawet jeśli z nadejściem zimy ulice, dziś pełne demonstrantów, opustoszeją, moi rodacy znajdą inną formę protestu.

Na koniec podchwytliwe pytanie. W jednym z wywiadów przyznała pani, że nie wie, czym jest dekomunizacja. Zapewniła pani jednak, że zapyta mądrzejszych od siebie i się zorientuje. To jak, już się pani dowiedziała?
(śmiech)

Pytając już poważniej: Czy pani zdaniem Białoruś powinna odciąć się od sowieckiej przeszłości, której kult jest ważnym elementem ideologii Łukaszenki?

Do przeszłości odnoszę się z szacunkiem. Historia to już historia. Dobra czy zła... Dzisiaj nie wiemy, jak będziemy oceniani w przyszłości. Być może obecny ustrój kiedyś zostanie uznany za fatalny. Trzeba patrzeć do przodu, nie do tyłu, biorąc przy tym pod uwagę błędy przeszłości. Dzisiaj powinniśmy przede wszystkim budować demokratyczne społeczeństwo, w którym szanowane są prawa człowieka.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



CYBERSEC

EUROPEJSKIE
FORUM CYBERBEZPIECZEŃSTWA



CYBERSEC Global 2020

Najważniejsze forum cyberbezpieczeństwa w regionie

28-30 września ONLINE

DOŁĄCZ – ZAREJESTRUJ SIĘ
cybersecforum.eu

#CSGlobal20



FOT. ADRIAN STOK

Wszystkie grzechy



Teresa Stylińska

BBC przez całe lata stanowiła wzór bezstronnego i rzetelnego dziennikarstwa. Cały ten dorobek roztrwoniła

Gdyby nie jeden błąd, BBC (British Broadcasting Corporation, brytyjska państwowa korporacja radio-wo-telewizyjna) nie ściągnęłaby na siebie gniewu ludu i rządzących oraz uniknęłaby kłopotów, które mogą mieć dalekosiężne skutki. Funkcjonowałaby tak jak przez ostatnie lata: krytykując prawicę i konserwatystów, odmalowując brexit w najczarniejszych barwach i pochylając się z radością nad wszelkimi przejawami postępu, zwłaszcza na polu LGBT.

Było tak: pod koniec sierpnia do mediów przedostała się wiadomość, że podczas tegorocznej Last Night of the Proms, koncertu zamykającego letnie koncerty promenadowe, zabraknie dwóch pieśni: „Rule, Britannia!” i „Land of Hope and Glory”. Ich wspólne odśpiewanie przez

wszystkich obecnych – a Royal Albert Hall, gdzie odbywa się Last Night, mieści 5 tys. osób – to uświęcona tradycja.

Obie pieśni to dzieła stare, z długą tradycją (pierwsza pochodzi z połowy XVIII w., druga, z muzyką samego Edwar- da Elgara, z początku XX w.) i ultrapatrio- tyczne, poczynając od tytułów. Jednak czy „Rządź, Brytania!” i „Kraj nadziei i chwały” to tytuły na miarę czasów, w których duma z przeszłości – zwró- cza takiej, jaką ma Brytania – nie pachnie niebezpiecznie szowinizmem? „Brytyj- czycy nigdy nie będą niewolnikami” – ten fragment „Rule, Britannia!” w uszach strażników poprawności brzmi podejrz- nie, choć zasługiwałyby raczej na aplauz.

Ostatecznie na Last Night, w sobotę 12 września, wszystko odbyło się tak jak zawsze, z tą różnicą, że na sali z wiado- mych powodów nie było publiczności. Obie pieśni odśpiewał mały chór. Tak zarządziło nowe kierownictwo. W ten sposób BBC, którą zgubiła nadgorliwość szefów, wyraźnie lekających się skoja- rzeń z imperium, wkroczyła w nowe czasy.

ZASADY POSZŁY W KĄT

BBC niełatwo będzie podźwignąć się spod lawiny krytyki, która nie jest

nowa, ale nigdy nie była tak powszechna. Korporacja już stanęła wobec perspek- tywy zmian, które, jeśli wierzyć nowemu szefostwu, będą gruntowne.

Zmiany personalne dokonały się błyskawicznie. Parę dni po nieszczej- nej zapowiedzi dotyczącej koncertu odszedł dyrektor generalny Tony Hall, a jego następca Tim Davie wypowiada się w innym duchu. Obok konwencjonalnych zapowiedzi oszczędności i, jeśli będzie to konieczne, likwidacji części kanałów oraz programów pojawiło się coś, o czym zupełnie już w BBC zapomniano. To obietnica przywrócenia podstawowych standardów, takich jak rzetelność, obiek- tywizm i bezstronność.

Nie jest to żadna nowość, bo takie idee przyświecały BBC od zarania. Jednak każdy, kto na co dzień ma do czynienia z internetowym portalem informacyj- nym BBC News, wie doskonale, że szczyt- ne zasady dawno poszły w kąt. Serwis jest użyteczny, bo BBC nadal prezentuje bogaty wachlarz wydarzeń, opisując to, co się dzieje w Wielkiej Brytanii, Europie i na świecie. Nie zachowuje już jednak dystansu do wydarzeń ani nie kryje swych sympatii i antypatii.

Odbywa się to na różne sposoby. Czasami w warstwie słownej, np. przez



BBC

czasie najbardziej rzucano się w oczy, jest nieskrywana niechęć BBC do brexitu. Nic dziwnego, skoro – jak twierdzą wtajemniczeni – w BBC pracowników, którzy głosowali za opuszczeniem Unii Europejskiej, można policzyć na palcach jednej ręki.

O nastawieniu korporacji świadczy nie tylko treść programów, lecz także dobór uczestników. Gdy na przykład przeanalizowano pod tym kątem poglądy 20 znanych osób biorących od 2016 r. udział w popularnym programie „Have I Got News for You”, okazało się, że 10 z nich wyznaje poglądy lewicowe, dziewięcioro – liberalne, a tylko jedna osoba prawicowe. Był to dziennikarz Jeremy Paxman, który sam kiedyś zdradził, że wśród kolegów z redakcji jest pod tym względem osamotniony. Inna analiza wykazała, że w programach satyrycznych konserwatyści o wiele częściej niż przedstawiciele Partii Pracy są celem kpin i złośliwych żartów.

Krytycy BBC zarzucają jej przede wszystkim zdecydowane sprzyjanie lewicy, a zatem jawne naruszenie zasady bezstronności. „W quizach i programach rozrywkowych odium niezmiennie spada na Borisa Johnsona, Nigela Farage’a i każdego, kto głosował za wyjściem z Unii. I oczywiście na Donalda Trumpa. Bo jeśli BBC nienawidzi czegoś bardziej niż brexitu, to jest to Trump” – pisał Rod Liddle, konserwatywny dziennikarz, który zna BBC od podszewki, bo był szefem „Today”, sztandarowego programu informacyjnego Radia BBC 4. Liddle pisze, że szefostwo BBC zawsze lekceważyło zastrzeżenia do programów, a ludzi innych poglądów traktuje jak głupców.

Co zatem BBC popiera? Udział w Unii Europejskiej, LGBT, imigranci, walka z ociepleniem klimatu (sir David Attenborough i Greta Thunberg zawsze mogą liczyć na miejsce i uwagę) – to stały zestaw, uzupełniony ostatnio o ruch Black Lives Matter, czyli zwalczanie rasizmu i pozostałości kolonializmu, również, a może nawet szczególnie, we własnym kraju.

REFORMA NA STULECIE

„Takie podejście jest absolutnie niezgodne z modelem, jaki przyświecał powstaniu BBC. Nic dziwnego, że ostatnie badania opinii pokazują, że coraz więcej ludzi zadaje sobie pytanie: „I ja mam za to płacić?”. Mała jest szansa na to, by BBC zmieniła się z własnej woli. Dlatego

należy zlikwidować abonament” – pisał na łamach tygodnika „Spectator” Patrick O’Flynn, dziennikarz i były eurodeputowany.

Działalność BBC finansowana jest z abonamentu, wynoszącego obecnie 154,50 funtów rocznie, a opłacanego obowiązkowo przez wszystkich posiadaczy odbiorników. Niepłacenie jest karane – oznacza skierowanie sprawy do sądu i karę w wysokości do tysiąca funtów. Parę lat temu rząd i BBC zawarły umowę: BBC zgodziła się na obniżenie abonamentu o połowę dla osób w wieku powyżej 75 lat, pod warunkiem że sam abonament zostanie podniesiony. Teraz się z tego wycofała. W tej sytuacji minister kultury Oliver Dowden zasugerował, by zlikwidować karę za niepłacenie.

Dla BBC – co do tego zgodni są wszyscy – byłaby to katastrofa. Bo kto przy zdrowych zmysłach będzie chciał dobrowolnie płacić za to, co ona oferuje? Za oderwanie od rzeczywistości, stronniczość, pogardę dla zwykłych ludzi i brak patriotyzmu – co przy okazji skandalu wokół Last Night zarzucił BBC Boris Johnson. „Wprost nie mogę w to uwierzyć – mówił dziennikarzom. – Myślę, że czas już, by przestać wstydić się naszej historii, tradycji i kultury. Trzeba skończyć z żenującym obwinianiem samych siebie”.

Czy skandal stanie się impulsem, który doprowadzi do reformy BBC? Być może, choć nie wiadomo, czy nowy dyrektor zdoła skutecznie przeprowadzić zmiany i jak wielki będzie opór materii. Tim Davie już zapowiedział, że ukróci popisy dziennikarzy BBC w mediach społecznościowych. Nie ma w tym, podkreślił, niczego złego, ale ktoś, kto to robi, nie powinien pracować w BBC. I będzie to rygorystycznie egzekwowane.

BBC, powołana w 1922 r., przez całe lata stanowiła wzór dziennikarstwa: niezależnego i bezstronnego. Wie o tym każdy student dziennikarstwa, choć nie każdy jest świadom, jak bardzo BBC swoją reputację roztrwonila. Ponad połowa Brytyjczyków, jak wynika z sondażu przeprowadzonego dla dziennika „Daily Mail”, uważa przecież, że BBC nie szanuje wartości, które ludzie wyznają, i jest zbyt poprawna politycznie. Stulecie powstania to doskonała okazja, by to naprawić, wracając do jasnych reguł, które pierwszy szef BBC, John Reith, sformułował najprościej: „Informować, edukować i bawić”.

użycie słów o negatywnym wydźwięku, takich jak „populizm” czy „ksenofobia”. W ten łatwy sposób od razu piętnuje się nieulubiane partie czy polityków – Orbána czy Salvinię, PiS czy hiszpańską partię VOX. Drugi sposób to dobór materiałów. BBC skrupulatnie odnotowuje wszelkie sukcesy homo- czy transseksualistów na scenie publicznej, nawet gdy dotyczy mało znanych ludzi z mało ważnych krajów. Pierwszy premier, minister czy deputowany „openly gay”, czyli obnoszący się ze swą orientacją – to wiedza, którą czytelnicy, widzowie czy słuchacze koniecznie muszą posiadać.

TRUMP GORSZY NIŻ BREXIT

W niedawnym materiale na temat poparcia Polski dla białoruskiej opozycji jest mowa o historii, ale o aktualnej sytuacji mówią tylko krytycy PiS, głównie Radosław Sikorski. Nie ma nikogo z MSZ, rządu (poza jednym zdaniem z radiowej wypowiedzi Mateusza Morawieckiego), żadnego życzliwego prawnicy naukowca czy komentatora. Święta niegdyś zasada, by naświetlać sprawy z różnych stron i oddawać głos odmiennym nurtom, od dawna już w BBC nie działa.

Dla brytyjskiego odbiorcy i brytyjskich obserwatorów tym, co w ostatnim

Wierzyłem w inną Unię



Z Hermannem Tertschem, hiszpańskim dziennikarzem, pisarzem i publicystą, posłem VOX do Parlamentu Europejskiego rozmawia Małgorzata Wołczyk

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Jeszcze rok temu wydawało się, że Hiszpania zmienia się w oczach, powstał ruch sprzeciwu wobec agresywnych separatyzmów, na ulice wyszły tysiące ludzi w poparciu dla jedności kraju, nastąpił „wybuch” konserwatywnej partii VOX jako trzeciej siły w parlamencie, a potem przyszedł dramat pandemii i przeciętny Hiszpan mało ma chyba powodów do optymizmu...

HERMANN TERTSCH: Ani jednego. Chociaż rząd w Madrycie ukrywa dane, wiadomo, z rejestrów regionów autonomicznych, że zmarło już ponad 50 tys. ludzi z powodu COVID. Ofiar mogło być wielokrotnie mniej, ale kwestie ideologiczne zaważyły na życiu i śmierci obywateli. Wiadomo dobrze, jaki wpływ na rozprzestrzenianie się wirusa miały wielkie manifestacje radykalnego feminizmu 8 marca. Po tak błyskawicznej transmisji szpitale i krematoria nie były w stanie sprostać wyzwaniu. Nie wspominając już o losie seniorów w rezydencjach, tych, którzy budowali wielkość Hiszpanii, a de facto skazanych na śmierć przez zaniechanie wszelkiej pomocy.

Nawet Google potwierdził, że Hiszpania miała najdrastyczniejszy lockdown na świecie, zobrażony niemal zerową aktywnością Hiszpanów po ogłoszeniu stanu alarmowego.

Uwięzili nas w domach, a mimo to mieliśmy najbardziej katastrofalne wskaźniki: byliśmy pierwsi pod względem liczby ofiar na 100 tys. mieszkańców, pod względem zakażenia personelu medycznego.

Jaka była reakcja rządu wobec tych przynębiających faktów, które przecież szeroko komentowano w prasie światowej?

Rząd wykorzystał pandemię do osłabienia monarchii, do umocnienia swojej agendy, do uciszenia opozycji demokratycznej, do wzmocnienia propagandy, a nawet do cenzurowania prasy i sieci. Oczywiście nie wspominając o ogromnej skali korupcji, gdy nagle okazywało się, że nieznane spółki o kapitale 1,5 tys. euro zdobywały milionowe kontrakty na zaopatrzenie w materiał sanitarny, który zresztą okazywał się wadliwy albo pochodził z podejrzanych źródeł.

Z tego, co wiem, nikt nie podał się do dymisji, nikt nie okazał minimum skruchy, cierpliwość Hiszpanów wydaje się być nieskończona...

Dymisja? Wręcz przeciwnie, co tydzień oglądaliśmy spektakle dumy i buty na konferencjach prasowych rządu. Społeczeństwo hiszpańskie przywykło do korupcji, ale VOX powstał z reakcji sprzeciwu i zyskuje coraz więcej poparcia społecznego. Mamy w swojej historii epoki wielkiej aktywności Hiszpanów i pewnego jakby uśpienia. Teraz wydaje się, że wreszcie wychodzimy ze stagnacji. VOX jest przebudzeniem społeczeństwa obywatelskiego. Naprawdę może zdarzyć się wszystko.

A rola mediów w tym wszystkim? Istnieją przecież jakieś media niezależne?

W głównym nurcie nie ma miejsca dla dysydentów. Wszystkie mainstreamowe media są zawłaszczane przez lewicę i nawet w szczycie pandemii, gdy nie było środków finansowych na respiratory czy maseczki, najbardziej zaprzyjaźnione domy medialne, tuby propagandowe rządu, otrzymały spory zastrzyk gotówki. Hegemonia lewicy jest strukturalnie zabezpieczona od lat. Absolutny dyktat w mediach, kulturze, edukacji...

Czy możliwe jest, że koalicyjny rząd socjalistów ze skrajnie lewicową czy też boliwariańską partią Podemos wyjdzie z tego obronną ręką? Nawet media głównego nurtu nie mogły przemilczeć kryminalnych zaniedbań, np. zakazu transportu do szpitali chorych starców, stosowania leków do sedacji i podawania morfiny chorym rezydentom opieki społecznej...

Mamy nadzieję, że odpowie za to przed trybunałem, i to wcześniej niż później. Scenariusz, że sprawy skończą się postawieniem zarzutów, jest dość prawdopodobny. Najpierw jednak musimy wyjść z pandemii. Za wicepremierem Iglesiasem, o czym powszechnie wiadomo, stoją przecież narkodyktatury, które sponsorowały jego partię. Podemos to projekt obliczony na eksport wenezuelskiego socjalizmu do Hiszpanii. Wszystko to oczywiście łączy się mackami sięgającymi do kolumbijskiego FARC i forum São Paulo, w którego ramach funkcjonują Maduro, Morales, Zapatero i właśnie partia Iglesiasa. Razem tworzą maszynę sterowaną z Kuby, gdzie jest cały mózg tych operacji.

Ale w Wenezueli jest też obecna Rosja.

Oczywiście, realizuje własne interesy, zawłaszczyła niektóre kopalnie diamentów...

FOT. DANA LE LARONCE/EURPEAN UNION

tów i złota. Nie tylko popierała Maduro, lecz także wysyłała broń i była w jakimś małym zakresie obecna tam militarnie.

Zdaje się jednak, że problemy Hiszpanii umykają uwadze Komisji UE, bo ta bardziej zatroskana jest Polską. Podziela pan obawy o stan praworządności w Polsce, autorytaryzm rządów PiS?

Komisja – tak zresztą jak UE – sama ma problemy z autorytarnym dryfem. Przyglądam się z bliska i brakuje mi pluralizmu w jej działaniach. Ja wierzyłem w inną Unię: unię narodów suwerennych, niezależnych. Co do problemów z polskim sądownictwem, to śmiało można powiedzieć, że to praktycznie jest to samo, co zrobił w 80. latach Felipe González. Tyle że nikomu to wtedy nie przeszkadzało w UE, a w Hiszpanii nikt nawet nie zwrócił na to uwagi.

W Hiszpanii pod rządami Sáncheza mamy o wiele większe problemy z praworządnością niż w Polsce. Nie ma porównania ani z autorytaryzmem Orbána, ani z Kaczyńskim, ale skoro rządzą socjaliści w Europie, a grupa ludowców potulnie ich wspiera w euro-parlamencie, to wiadomo, jakie są tego efekty.

Obserwuje pan z bliska funkcjonowanie organów unijnych. Co by pan zreformował?

Stanowczo za dużo jest ideologii, sama Komisja stosuje szantaże, uzależnia fundusze od swoich ideologicznych kryteriów, bo boi się sprzeciwu wobec federalnej Europy. Dlatego Polska i Węgry „psują zabawę”, bo wszystko powinno być podporządkowane unijnemu superpaństwu i znajdować rozwiązanie ponad głowami państw za sprawą liderów pochodzących z niejasnego rozdania, wyłonionych bez demokratycznego mandatu. Potrzebują posłuszeństwa, państw, które gotowe są wyrzec się swojej autonomii, tożsamości, odrębności, religii.

Z bliska widać też, że machina propagandowa socjaldemokracji jest absolutnie odurzająca. Nie mogą przegłosować nowego traktatu, bo wiedzą, że spotkałby się ze sprzeciwem, więc wprowadzają tylnymi drzwiami pewne rozwiązania jako fakty dokonane.

W Polsce z radością przyjęliśmy nową ideę VOX stworzenia syndykatu Solidaridad na cześć polskiego ruchu antykomunistycznego. Przeczuwam, że jest pan jednym z autorów tego pomysłu?

Miałem niezapomniany honor obserwować okres przemian w Polsce od 1985 r.

jako korespondent „El País”, obsługiwałem też w Warszawie pierwsze wolne wybory w 1989 r., więc wiem doskonale, do jakich wydarzeń i idei nawiązujemy. Byłem z wami w najważniejszych chwilach i część tych emocji wciąż we mnie jest, bo dzięki wam na moich oczach upadał zbrodniczy system. Wasze zwycięstwo było i jest wzorem pokojowych przemian i sprzeciwu wobec komunistycznego kłamstwa. Ten sam cel ma hiszpański VOX – dać opór kłamstwu, złamać hegemonię socjalistów, którzy skolonizowali też wszystkie związki zawodowe. Solidaridad będzie miała na celu nie tylko obronę praw pracowniczych, lecz także musi stać się odpowiedzią obywatelską, ponadpartyjną, skierowaną do wszystkich Hiszpanów. Ma oznaczać przynależność do wspólnej sprawy, obronę narodowej gospodarki, małych firm i osób samozatrudnionych. Socjaliści wywołali wojnę płci w Hiszpanii, ekszumuując Franco, otworzyli stare, zagojone rany i jeszcze wspierają separatystów, bo to im zawdzięczają większość w Kongresie. Dość już tych podziałów, pod sztandarem Solidaridad musimy szukać jedności. Wam się wtedy udało, czas pokaże, czy i nam się uda...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Wielki fech

czyli ze swadą, pasją i głębią
o kobietach!

Książka znakomita, wycerkwana, intrygująca i bardzo potrzebna. Świetny duet autorski niezwykłych kobiet – s. Anny Marii Pudółko AP (Rodzina Świętego Pawła) i Anety Liberackiej, redaktor naczelnej portalu Stacja7.pl – w arcyciekawej rozmowie na temat kobiecości: jak ją zrozumieć, przyjąć i zacząć się nią cieszyć. Prowokujące pytania zadaje redaktor Edycji Świętego Pawła Ilona Kisiel. Po prostu koniecznie trzeba przeczytać!

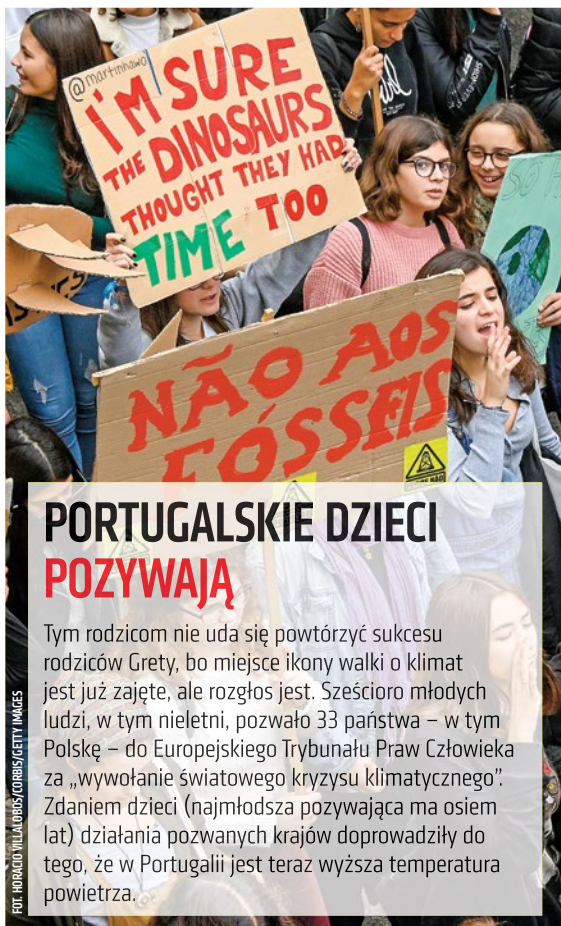


Patronat medialny:



Zapraszamy na www.edycja.pl, do księgarni Edycji Świętego Pawła i do księgarni współpracujących.





FOT. HORACIO VILLA LOBOS/CORBIS/GETTY IMAGES

PORTUGALSKIE DZIECI POZYWAJĄ

Tym rodzicom nie uda się powtórzyć sukcesu rodziców Greta, bo miejsce ikony walki o klimat jest już zajęte, ale rozgłos jest. Sześcioro młodych ludzi, w tym nieletni, pozwało 33 państwa – w tym Polskę – do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka za „wywołanie światowego kryzysu klimatycznego”. Zdaniem dzieci (najmłodsza pozywająca ma osiem lat) działania pozwanych krajów doprowadziły do tego, że w Portugalii jest teraz wyższa temperatura powietrza.

LUŻNE SPODNIĘ MATTERS

W mieście Opa-locka na Florydzie (USA) po 13 latach zniesiony zostanie przepis, na mocy którego osoby noszące luźne spodnie – takie, które opadały, odsłaniając bieliznę – mogli być pozywani z powodów cywilnych. Miejscowi politycy jasno zasugerowali, skąd zmiana. Wiceburmistrz Chris Davis: „Uważałem, że w sposób nieproporcjonalny są one wymierzone w określoną grupę naszych mieszkańców, młodych Afroamerykanów”.

JAK POMYLIĆ HOKEISTĘ

Szwedzki klub hokejowy Sorhaga podpisał kontrakt ze słowackim hokeistą Martinem Chovancem. Szwedzi pojechali odebrać nowego członka zespołu na lotnisko w Göteborgu. Rozpoznać miał się dać po sportowej torbie konkretnej marki. Okazało się jednak, że tym samym samolotem przyjechał inny Słowak – zawodnik unihokeyja. Miał taką samą torbę. Został zapakowany do drużynowego samochodu. Po drodze wypytano go o słowacki hokej. Gdy mówił, że trzy lata temu porzucił tę grę na

rzecz unihokeyja, za każdym razem wzbudzał salwy śmiechu i gratulowano mu poczucia humoru. Do momentu, gdy z lotniska nie zadzwonił Chovanec.

BAR NA COVID

Pocieszająca wiadomość dla mężów lubiących wypad z kolegami. Według raportu Centrów Kontroli i Prewencji (USA), które przeprowadziło specjalne ankiety z zakażeniami COVID (badano 300 osób, pytając o miejsce, w którym mogli narażać się na zakażenie w ostatnich 14 dniach), niewiele zakażeń miało miejsce w barach. Mniej ludzi zaraziło się tam niż na prywatnych spotkaniach czy w transporcie publicznym.

RĘKA ZA PIENIĄDZE

Sąd w Słowenii skazał 22-latkę oraz jej chłopaka i ojca za próbę wyłudzenia odszkodowania. Dziewczyna postanowiła odpiłować sobie rękę, by zgarnąć z polisy ubezpieczeniowych milion euro. Po „wypadku” pojechała do szpitala bez dłoni. Tę jednak odzyskała policja i udało się ją przyszyć. Wśród dowodów obciążających Słowenkę była historia wyszukiwania w Internecie – jej partner sprawdzał wcześniej, jak działają sztuczne dłonie i jaką warto wybrać. © ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

„Mam nadzieję, że umrą”

Los Angeles. 31-letnia policjantka oraz zaledwie 24-letni policjant siedzą w samochodzie zaparkowanym przy wejściu do metra. Podchodzi do nich czarnoskóry mężczyzna. Bez ostrzeżenia wyciąga broń, celuje w głowy funkcjonariuszy i oddaje wiele strzałów, próbując dokonać egzekucji. Policjanci w stanie krytycznym walczą o życie.

Morderca zdołał się ukryć. Jego zwolennicy byli jednak na tyle bezczelni, że przyszli pod szpital, w którym operowano policjantów, wykrzykując hasła: „Mam nadzieję, że umrą” oraz: „Mordować policję”. W sieci pojawiły się nowe antypo-

licyjne memy. A lewicowy think tank The Gravel Institute na tweeta mówiącego „Powiedzmy to razem: blue lives matter” (życie policjantów ma znaczenie) na swoim oficjalnym profilu zareagował wpisem: „Powiedzmy to razem: nie, nie ma znaczenia”. Tymczasem według FBI tylko w 2020 r. na służbie zginęło niemal 40 policjantów, z czego ośmioro padło ofiarą podobnych zasadzek. W takiej sytuacji trudno nie zgodzić się z komentarzem prezydenta Donalda Trumpa, który na Twitterze obok nagrania ataku napisał krótko: „Zwierzęta, w które trzeba mocno uderzyć”. Napad potępił również Joe Biden,

kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta.

Również polscy liderzy – po obu stronach sceny politycznej – powinni stanowczo reagować, gdy anarchistyczni aktywiści mówią: „Stop bzdurom, je. ać psy”, a słynny łobuz Michał Sz. „Margot” podkreśla, że „policja to nasi wrogowie”. Nawoływanie do przemocy jest bowiem groźne nie tylko dla policjantów, lecz także dla wszystkich przestrzegających prawa obywateli, niezależnie od płci, koloru skóry czy orientacji seksualnej. Warto uświadomić to lewicowym terrorystom, zanim komuś naprawdę stanie się krzywda. © ©

Cyberbezpieczeństwo a sprawa chińska

Trwają konsultacje nowelizacji ustawy o Krajowym Systemie Cyberbezpieczeństwa. Proponowane przepisy m.in. wykluczają chińskie firmy z budowy infrastruktury telekomunikacyjnej w Polsce. Jak to wpłynie na nasze stosunki z Chinami? – pytamy Leszka Ślęzyka, eksperta ds. Chin, twórcę portalu chiny24.com

Co dla polsko-chińskich stosunków gospodarczych mogą oznaczać proponowane zmiany w ustawie?

To w dzisiejszych okolicznościach geopolitycznych bardzo duża lekkomyślność, brak rozważli. Trudno przewidzieć szczegółowy scenariusz rozwoju wydarzeń, ale nie ma wątpliwości, że tego rodzaju zapisy ustawowe mogą zostać bardzo źle odebrane przez Pekin. W konsekwencji zaś (przewidywanie konsekwencji zdaje się obce polskim władzom) uderzyć bezpośrednio w polską gospodarkę – i to nie tylko w obszarze telekomunikacji, o którym w tym kontekście mówi się najczęściej (zapis ten wykluczyłby m.in. Huawei z możliwości tworzenia w Polsce sieci 5G), lecz także innych sektorów, np. takich jak energetyka, finanse. Chiny są często jedynym światowym dostawcą usług czy kluczowych podzespołów, bez których udział niemożliwe jest kontynuowanie produkcji, prowadzenie działalności. To na przykład przemysł farmaceutyczny. I nie ma tu alternatyw czy mowy o tak popularnym (a bardzo naiwnym) „przeniesieniu produkcji”. Początek pandemii był doskonałym przykładem takiej sytuacji. Tyle że w tym przypadku to Chiny parły na ponowne uruchomienie dostaw. Ja zaś mówię o scenariuszu embarga na Polskę. Nie stanowimy dla Chin ważnego, strategicznego partnera, nie jesteśmy dostawcą unikalnych technologii czy surowców. A omawiany zapis, bardzo jasny w intencjach, sprawia wrażenie, jakbyśmy wyzywali na pojedynkę równoważnego przeciwnika.

Jeśli Polska zdecyduje się na przyjęcie tego zapisu, to reperkusje mogą być bardzo poważne. Chiny bez większych problemów mogą zrezygnować z polskiej miedzi, jabłek, mleka. Mogą też wprowadzić Polskę na czarną listę eksportową i sprawić,

że do Polski nie zostanie wyeksportowane absolutnie nic.

Chińczycy obrażają się i przestaną z nami współpracować?

Chińczycy to ludzie pragmatyczni, nie obrażają się, ale mają też dobrą pamięć i łatwo nie zapominają takich rzeczy. A to może wpłynąć na naszą pozycję negocjacyjną kiedyś w przyszłości, np. w rozmowach na temat zakupu rozwiązań dla nas niezbędnych, a rozwijanych wyłącznie w Chinach. Ten krok może zostać również wykorzystany jako karta przetargowa w negocjacjach Chin z Unią Europejską. Przecież cyberbezpieczeństwo i związana z nim budowa sieci 5G należą teraz do kluczowych europejskich tematów. Komisja Europejska opublikowała w styczniu 2020 r. dokument „5G Toolbox”, który jest zestawem rekomendacji dla państw członkowskich wspierającym je w budowaniu sieci piątej generacji. Dokument mówi m.in. o dywersyfikacji dostawców, skrupulatnej ocenie ryzyk związanych z infrastrukturą i dostawcami czy opracowaniu wspólnych narzędzi przeciwdziałających cyberprzestępstwom. Nie ma w nim mowy o wykluczaniu jakichś konkretnych firm czy krajów. Jeśli Polska przyjmie proponowaną nowelizację ustawy, to może się okazać, że Chiny zechcą użyć przykładu Polski jako ostrzeżenia dla pozostałych członków Unii przed podążaniem tą drogą i zdecydują, że skoro my nie chcemy współpracować z firmami chińskimi, to oni nie będą współpracować z nami. Pierwsi z tej okazji skorzystają Węgrzy, którzy utrzymując dobre relacje z USA (potwierdzone choćby ruchem bezwizowym), budują silne więzi gospodarcze z Chinami.

A co by to mogło oznaczać w praktyce?

No chyba że stanęłyby wszystkie montownie samochodów w Polsce. Cały przemysł automotive oparty jest na dostawach z Chin. Jeśli ich nie będzie, to zachodnie koncerny nie będą widziały sensu utrzymywania w Polsce zakładów, które nie są w stanie realizować zamówień. Produkcję przejmą montownie w Rumunii, na Słowacji, na Węgrzech... I nawet kiedy relacje z Chinami się unormują, ta produkcja już do Polski nie wróci.

Od 2018 r. w Polsce obowiązuje ustawa o Krajowym Systemie Cyberbezpieczeństwa, w którym zostały wpisane obszary kluczowe dla bezpieczeństwa państwa (energia, zdrowie, transport, banki, finanse, infrastruktura cyfrowa i zaopatrzenie w wodę). 7 września tego roku rozpoczęły się 14-dniowe konsultacje w sprawie zmian w tej ustawie. W projekcie proponuje się poszerzenie obszarów kluczowych o telekomunikację. Zdefiniowano w nim także kryteria oceny firm, które mogą dostarczać sprzęt i oprogramowanie. Wśród ocenianych rzeczy, zgodnie z proponowaną zmianą, ma być: „prawdopodobieństwo, czy dostawca sprzętu lub oprogramowania znajduje się pod wpływem państwa spoza Unii Europejskiej lub Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego, uwzględniając: a) stopień i rodzaj powiązań pomiędzy dostawcą sprzętu lub oprogramowania i tym państwem, b) prawodawstwo tego państwa w zakresie ochrony praw obywatelskich i praw człowieka”.

Przyjęcie tego zapisu będzie oznaczać, że firmy chińskie zostaną wykluczone z przetargów na dostawę sprzętu i oprogramowania.



Leszek Ślęzyk – politolog, publicysta, przedsiębiorca, ekspert ds. Chin, twórca portalu chiny24.com.

We wtorek 15 września świat miłośników gadżetów, nowoczesnych technologii i wielkich pieniędzy wstrzymał oddech. Apple pokazał bowiem światu nowego iPada Air oraz zegarek Watch Series 6. Coroczne konferencje w sprawie nowych produktów z nadgryzionym jabłkiem śledzą miliony na całym świecie. Opisują je zaś wszystkie najważniejsze globalne media.

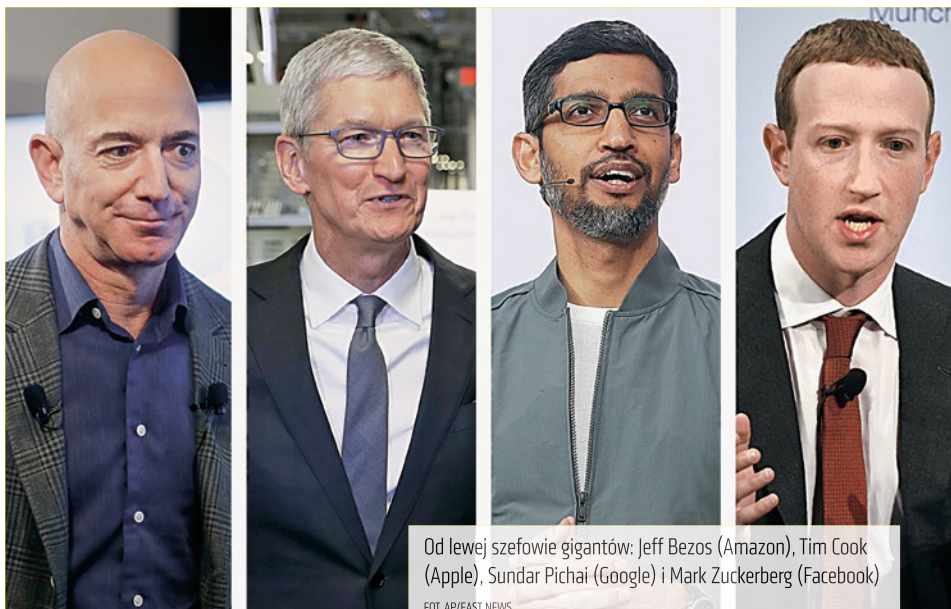
Zwłaszcza że w sierpniu 2020 r. amerykański gigant technologiczny zapisał się na kartach historii jako pierwsza amerykańska spółka, której rynkowa kapitalizacja przekroczyła 2 bln dol. (słownie: dwa biliony, nie miliardy), analitycy natychmiast zaczęli porównywać wartość słynnej spółki z PKB krajów rozwiniętych. Wartość giganta z Cupertino przekroczyła bowiem wartość PKB takich krajów jak Brazylia, Kanada, Korea Południowa, Rosja czy Włochy. A co z naszym krajem? „Apple wart więcej niż Polska” – takie tytuły amerykańskie portale dały już w roku 2012.

TECHNOLOGIE DROŻSZE NIŻ ROPA

Niebywały sukces rynkowy technologicznego giganta jest tym bardziej wart odnotowania, że jeszcze dwa lata temu Apple wyceniany był na 1 bln dol. Przez 24 miesiące firma podwoiła więc swoją wartość. Gwałtowna korekta na amerykańskiej giełdzie na przełomie sierpnia i września zmniejszyła wartość spółki o 180 mld dol. Od tego czasu notowania firmy znów poszybowały jednak do góry. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, Apple był wart 2 bln dol.

Apple nie jest jednak pierwszą firmą, której wartość przekroczyła magiczną barierę 2 bln dol. Najwięcej wartą spółką na amerykańskiej giełdzie był w grudniu zeszłego roku saudyjski gigant paliwowy Saudi Aramco i to on pierwszy przekroczył próg 2 bln. Malejące ceny ropy naftowej szybko sprawiły jednak, że jego wartość spadła, a Apple przeskoczył na pierwsze miejsce 4 sierpnia 2020 r.

Firmy z sektora nowych technologii w czasach koronawirusowego kryzysu radzą sobie o wiele lepiej niż giganci z rynku energetycznego, paliwowego czy finansowego. Magiczny poziom 1 bln (!) dol. przekroczyły już także Amazon (1,58 bln) oraz Alphabet (1,05 bln). Facebook wyceniany jest zaś na 775 mld dol. W sumie te cztery spółki Big Tech warte są już ponad 5 bln (!) dol. Dla porównania najdroższa polska spółka – CD Projekt – wyceniana



Od lewej szefowie gigantów: Jeff Bezos (Amazon), Tim Cook (Apple), Sundar Pichai (Google) i Mark Zuckerberg (Facebook)

FOT. AP/EAST NEWS

Rządy Big Tech



Jacek Przybylski

Po przebiciu granicy 2 bln dol. rynkowa wartość Apple przekroczyła wartość PKB nie tylko Polski, lecz także Kanady, Korei Południowej, Rosji czy Włoch. W sumie Apple, Amazon, Facebook i Google warte są już ponad 5 bln dol. Czy tak potężne firmy można zmusić do przestrzegania reguł zdrowej konkurencji?

jest przez inwestorów na 38,7 mld zł, czyli 10,29 mld dol.

Spółki warte więcej, niż wynoszą roczne przychody wielu państw na świecie, są rzecz jasna gotowe na kosztowne wojny. W sierpniu prawnicy Epic Games zadali gigantowi z Cupertino dotkliwy cios: twórcy słynnej gry „Fortnite” złożyli pozew, skarżąc się na to, że „opresyjna spółka Apple” od aplikacji kupowanych przez App Store pobiera „haracz” w wysokości aż 30 proc.

Adwokaci Epic Games przypomnieli w pozwie m.in. reklamę z 1984 r., w której Apple, odnosząc się do Orwellowskiego „Roku 1984”, krytykował monopol

IBM i zapowiedział nadejście rewolucyjnego Macintosha. W roku 2020 „Apple stał się tym, z czymś niegdyś walczył: Behemotem chcącym pełnej kontroli nad rynkiem, tłamszącym konkurencję i spowalniającym innowację”. Prawnicy producenta gier przekonują, że Apple stał się monopolistą potężniejszym od wszystkich swoich poprzedników. „Dołącz do walki, aby 2020 nie stał się »Rokiem 1984«. #UwolnijFortnite” – apeluje Epic Games w parodii słynnej reklamy Apple’a, którą obejrzały już setki tysięcy osób.

Zarządzający Apple zgodnie z regułami PR-owskiej walki przeczekali kryzys wize-

runkowy. Zobaczyli, że mimo słownych deklaracji Epic Games nie zyskało potężnych sojuszników, i we wrześniu sami zadali przeciwnikom potężny cios, składając własny pozew i oskarżając Epic Games o naruszenie warunków umowy. Prawnicy giganta z Cupertino podkreślili w pozwie, że „Epic przedstawia samego siebie jako współczesnego Robin Hooda, podczas gdy w rzeczywistości to korporacja warta miliardy dolarów, która zwyczajnie nie chce płacić za niesamowitą wartość czerpaną ze sklepu App Store”.

Apple chce zmusić Epic Games do oddania części zysków, które wygenerował ich własny moduł płatności, sprytnie pomijający haracz dla giganta z Cupertino. Stawka jest wysoka: w grę wchodzi nie tylko setki milionów dolarów, lecz także zapobieżenie próbom buntu kolejnych podmiotów, które nie chcą oddawać gigantowi niemal jednej trzeciej swoich przychodów.

Apple wymierzył również swoją najgroźniejszą karę, a więc zlikwidował możliwość korzystania ze słynnej gry na iPhone'ach czy iPadach. Prawnicy z Cupertino mogą spokojnie grać na zwłokę: Epic Games na próbie buntu traci bowiem kilkadziesiąt milionów dolarów miesięcznie.

Wcześniej grzecznie przed technologicznym monopolistą ukorzyli się m.in. twórcy aplikacji HEY – oni też przez pewien czas nie chcieli dzielić się z gigantem z Cupertino przychodami uzyskiwanymi wewnątrz swojej aplikacji, mówiąc wprost: „Apple działa jak mafia”. W końcu jednak zrozumieli, kto jest w tym sporze silniejszy.

Apple jest na tyle potężny, że zdecydował się nie tylko dać nauczkę buntownikowi, lecz także poszedł na wojnę z całym przemysłem gamingowym. Kilka dni przed pozwem Epic Games okazało się, że przedstawiciele firmy Apple nie dogadali się z Microsoftem w kwestii udostępnienia gier w chmurze, które może zrewolucjonizować mobilną rozrywkę. W przeciwieństwie do użytkowników urządzeń z systemem Android posiadacze iPhone'ów i iPadów nie będą więc mogli korzystać z iCloud i abonamentu Xbox Game Pass Ultimate. Szczegóły sporu oficjalnie nie są znane. Amerykańskie media spekulują jednak, że jedną z przyczyn niepowodzenia negocjacji był brak możliwości ominięcia zapisów regulaminu App Store związanych z zakupami w aplikacji.

PRZESŁUCHANIE GIGANTÓW

Ewentualne naruszanie zasad konkurencji niepokoi nie tylko rywali firmy

Apple, lecz także urzędników. W połowie roku Komisja Europejska rozpoczęła dwa postępowania mające wyjaśnić, czy zasady działania App Store oraz Apple Pay nie naruszają przypadkiem unijnych zasad ochrony konkurencji. Chodzi zarówno o interesy twórców, którzy nie mogą nawet informować użytkowników urządzeń z nadgryzionym jabłkiem o tańszych sposobach zakupu ich aplikacji (np. poprzez przeglądarkę internetową), jak i o ochronę interesów użytkowników iPhone'ów czy iPadów, którzy mogą legalnie pobierać aplikacje jedynie za pośrednictwem App Store.

Po obejrzeniu przesłuchań wielkiej czwórki widać, że prawo antymonopolowe w żaden sposób nie jest wystarczające do poskromienia potężnych spółek Big Tech

Na amerykańskiego giganta miały skarżyć się m.in. firmy zajmujące się streamingiem muzyki (Spotify), a także dystrybutorzy e-booków oraz audiobooków. Wielu konsumentów jest z kolei świadomych, że prześlądka na inny system oraz sklep, np. Google Play czy promowaną przez Huawei App Gallery, oznacza konieczność ponownego zakupu posiadanych już aplikacji.

Brukseli nie podoba się również dominująca na rynku technologicznym pozycja Facebooka. Mark Zuckerberg rozmawiał już w tym roku z przedstawicielami Komisji Europejskiej odpowiedzialnymi m.in. za prowadzone wobec Facebooka postępowanie antymonopolowe. Unia Europejska przygląda się też działaniom Google. Oskarżenia o naruszanie przepisów o uczciwej konkurencji kierowane są także pod adresem Amazona.

A przecież Komisja Europejska nie jest jedynym organem, który wziął na celownik największe amerykańskie firmy technologiczne. Pod koniec lipca pierwszy raz w historii przed Kongresem przesłuchiwań byli jednego dnia prezesi całej czołówki Big Tech: Jeff Bezos z Amazona, Tim Cook z Apple, Mark Zuckerberg z Facebooka oraz Sundar Pichai z Alphabet (Google, YouTube). Łączny prywatny majątek przesłuchiowanych wynosi ponad 250 mld dol., a majątek 15 przesłuchujących szacowany był w sumie przez amerykańskie media na niecałe 50 mln (!).

W krzyżowy ogień pytań wzięli ich członkowie podkomisji ds. antymonopolowych, którzy podczas wcześniejszych

przesłuchań przedstawiciele mniejszych firm potwierdzili zarzuty, że wielka czwórka systematycznie łamie prawo antymonopolowe.

Tim Cook musiał więc tłumaczyć się z regulaminu sklepu App Store. Jeff Bezos odpowiadać na zarzuty o wykorzystywanie przez Amazon pomysłów podmiotów trzecich, oferujących swoje produkty na platformie największego sklepu świata. Najgorzej wypadli Pichai, który dość nieudolnie próbował tłumaczyć się z zarzutów o stosowanie monopolistycznych praktyk polegających na wykorzystywaniu

firmowej wyszukiwarki do promowania własnych produktów i usług czy z zarzutu o nielegalne zbieranie danych małoletnich użytkowników, a także Zuckerberg – pytany m.in. o przejmowanie konkurencyjnych produktów, takich jak WhatsApp czy Instagram, oraz o handel danymi użytkowników. Publicznego grillowania udało się uniknąć Microsoftowi, który w latach 90. został uznany za winnego praktyk monopolistycznych i ledwo oparł się planom podzielenia firmy przez regulatorów rynku.

Najprostszy wniosek, jaki można jednak było wysnuć po obejrzeniu przesłuchań wielkiej czwórki, jest jednak taki, że przestarzałe prawo antymonopolowe w żaden sposób nie jest wystarczające do poskromienia potężnych spółek Big Tech. Aby coś z tym można było zrobić, trzeba jednak odpowiedzieć na pytanie, czy mają one tylko za dużo pieniędzy, czy również – mając wszystkie nasze dane – za dużą władzę? Od udzielonej odpowiedzi na to pytanie zależeć powinien plan działań zubożałych urzędników. Na razie się nie poddają: w zeszłym tygodniu dziennik „WSJ” poinformował, że Federalna Komisja Handlu (FTC) może jeszcze w tym roku złożyć pozew przeciw Facebookowi w związku z wpływem decyzji biznesowych Facebooka na konkurencyjność rynku. W lipcu ubiegłego roku FTC nałożyła na kierowane przez Zuckerberga przedsiębiorstwo rekordową grzywnę w wysokości 5 mld dol. za skandal związany z wyciekiem danych dla Cambridge Analytica.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

100 proc. PKB
długu. Kiedy?

Jest już chyba jasne, że najgorszą rzeczą, jaką COVID-19 wyrządził finansom publicznym Polski, jest nawet nie ich zrujnowanie, lecz doprowadzenie do unieważnienia obowiązującego do tej pory konsensusu, że zadłużanie swego państwa jest złem – nawet jeśli czasami koniecznym – to jednak złem, z którym należy się stale mierzyć i czynić, co się da, by dług publiczny nie powiększać, a jeśli nawet powiększać, to możliwie jak najmniej, a najlepiej go zmniejszać. To prawda, konsensus ten był dziurawy – formalnie go deklarowano, a w praktyce często ignorowano, bo przecież dług Polski niemal ustawicznie rósł – ale był. A dziś już go nie ma i tym samym na oścież otwarto drogę do zadłużania Polski, któremu, obawiam się – a bardzo chciałbym się mylić – kres położy, oby jak najpóźniej, dopiero jej bankructwo.

Naprawdę nietrudno tę zmianę zauważyć – wystarczy pobieżna analiza opinii wielu do niedawna zjadłych liberałów, którzy z żarliwego przestrzegania przed zadłużaniem kraju gładko przeszli do kibicowania kolejnym tarczom antykrzysowym, które w kilka miesięcy o setki miliardów złotych oddaliły Polskę od tak chwalonego przez nich niedawno zrównoważonego budżetu Polski na rok 2020.

No i tak: według Ministerstwa Finansów dług publiczny Polski w tym roku wzrośnie do 62,7 proc. PKB – z 46 proc. PKB w ubiegłym. A w przyszłym – do 64,7 proc. PKB.

Rzecz jasna, dług liczony według metodologii UE, bo według naszej, która pozwala lepiej ukrywać prawdziwy stan finansów przed opinią publiczną, na razie nie przekroczy 60 proc., czyli limitu konstytucyjnego. Ale co tam limit konstytucyjny! Regułę wydatkową w ustawie o finansach publicznych rozluźniono w połowie roku w try miga, bez większego rabanu – byłoby to nie do pomyślenia jeszcze rok temu, za czasów istnienia wspomnianego konsensusu dotyczącego zadłużania jako zła, więc i zmiana zapisu w konstytucji przestaje wydawać się czymś całkiem niemożliwym, zwłaszcza jeśli się pamięta skłonność obecnej największej partii opozycyjnej – Platformy – do topienia Polski w długach w czasach jej rządów. Tym bardziej że przecież zadłużanie nie uchodzi już za tak złe jak wcześniej, a poza tym co to za dług, ten nasz dług, skoro dług Włoch sięga – a właściwie sięgał, w epoce sprzed COVID-19 – 137 proc. PKB, dług Portugalii – 121 proc., Belgii – 102 proc., a Francji – 101 proc.

Anie ma! Pozostaje jedynie czekać, kiedy dług publiczny Polski przebijie 70 proc. PKB, a potem 80 proc., 90 proc., 100 proc. – i tak dalej. I tak dalej? No, niezupełnie. Albowiem w którymś momencie przekonamy się, że Polski dalej zadłużać się już nie da, bo zabraknie chętnych do pożyczania jej pieniędzy. Wystarczy spojrzeć na najnowszą historię Grecji i wcześniejszą innych państw, które poszły tą drogą. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Gdzie jest
prezydent

Zapewne podobnie jak ja niepokoił się państwo, co stało się z panem prezydentem. Zaniemógł i leży obłożnie chory, strudzony kampanią? A może został uprowadzony przez przybyszy z układu Alfa Centauri? Może udał się na długie rekolekcje do któregoś z kamedulskich klasztorów? Otóż nie – pan prezydent jest i chyba ma się dobrze, bo w tym tygodniu ma wystąpić na sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Co prawda tylko zdalnie, ale zawsze.

Pan minister Szczerbiński wyłuszczył, jakimi ważkimi tematami ma się zająć w swoim wystąpieniu głowa państwa: „podkreśli wkład Polski w prace i rozwój Organizacji Narodów Zjednoczonych na przestrzeni dekad. Wymienić tutaj można chociażby Rafała Lemkina – autora pojęcia »ludobójstwo« oraz projektu konwencji ws. zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa z 1948 roku”. To niezwykle zajmujące i bez wątpienia ma ogromną wagę. Mnie natomiast ciekawi, czy gdy już Andrzej Duda zabierze głos na tym internetowym forum, zajmie się później sprawami bliższymi nam dzisiaj niż faktycznie szacowne dziedzictwo dr. Lemkina.

Czy na przykład pan prezydent ma coś do powiedzenia na temat skasowania dwóch dobrze działających branż – futrzarskiej i ubojowej? A może chciałby zabrać głos w sprawie podwyższania podatków? W czasie kampanii zapowiadał, że żadnej ustawy podwyższa-

jącej podatki nie podpisze. Najpewniej omyłkowo zdarzyło mu się to z podatkiem cukrowym – żli współpracownicy najwyraźniej powiedzieli mu, że to ustawa obniżająca PIT. Szykują się jednak ozusowanie umów-zleceń, wzrost podatku od deszczu, być może podwyżka akcyzy na używane samochody, zatem okazji będzie wiele. Może wreszcie pan prezydent zechciałby się

Czy pan prezydent ma coś do powiedzenia na temat skasowania dwóch dobrze działających branż? A może chciałby zabrać głos w sprawie podwyższania podatków?

ewentualnie wypowiedzieć na temat ustawy mającej zwolnić z odpowiedzialności urzędników i polityków, jeśli celem ich działania jest walka z epidemią?

Ogromnie jestem ciekaw opinii pana prezydenta w tych sprawach. Wierzę, że Andrzej Duda trwa niejako w ukryciu, gdyż zbiera siły, aby w końcu huknąć i tupnąć. No, chyba że drugą kadencję postanowił przespać w stylu swojego poprzednika, pana Bronisława. ©©

Raport o gospodarce Rozpoczęcie kampanii cukrowniczej



PARTNER RAPORTU



eprasa.pl b59b780b03

Tegoroczna kampania cukrownicza Krajowej Spółki Cukrowej może być rekordowa



Wystartowała 19. kampania cukrownicza Krajowej Spółki Cukrowej. Prognozy spółki zakładają, że jej siedem cukrowni skupi i przerobi niemal 7 mln ton buraków cukrowych. Finalna produkcja cukru może osiągnąć milion ton

W tegorocznej kampanii cukrowniczej surowiec do siedmiu oddziałów KSC: Dobrzelin, Kluczewo, Krasnystaw, Kruszwica, Malbork, Nakło, Werbkowice dostarczy blisko 15 tys. plantatorów z pięciu województw. Prowadzone przez nich plantacje buraka cukrowego zajmują łącznie ponad 110 tys. ha powierzchni.

– Tegoroczne zbiory buraka cukrowego zapowiadają się rekordowo. Progno-

zujemy, że wszystkie Oddziały Krajowej Spółki Cukrowej przerobią w kampanii 2020/2021 niemal 7 mln ton surowca. Planowana produkcja cukru wyniesie około miliona ton, co będzie jednym z najlepszych wyników w 19-letniej historii KSC – mówi Krzysztof Kowa, prezes Krajowej Spółki Cukrowej. – Dzięki osiągniętym zyskom będziemy kontynuować inwestycje w dalszy rozwój KSC – dodaje.

Zgodnie z harmonogramem kampanię cukrowniczą rozpoczęły już Cukrownie Kruszwica i Nakło (8 września) oraz Cukrownia Dobrzelin (9 września). W najbliższych dniach skup buraków ruszy w Cukrowniach Kluczewo i Malbork (15 września), Cukrowni Krasnystaw (18 września) oraz Cukrowni Werbkowice (19 września).

– Z moich obserwacji wynika, że Krajowa Spółka Cukrowa jest w pełni przygotowana do bieżącej kampanii cukrowniczej. Co więcej, koncern nieustannie skupia swoją uwagę na zwiększaniu kontraktacji buraka cukrowego oraz produkcji cukru. Świadczyć o tym może chociażby zakończona sztandarowa



inwestycja ostatnich lat, którą jest Terminal Cukrowy w Gdańsku. Pozwoli on na efektywniejsze dotarcie do odbiorców poza granicami naszego kraju – podkreśla Michał Gawryszczak, dyrektor Biura Związku Producentów Cukru w Polsce. – Istotnym zagrożeniem w obecnych czasach dla wszystkich uczestników rynku jest oczywiście pandemia koronawirusa, jednakże na razie cała branża cukrownicza w Polsce radzi sobie z tym wyzwaniem w sposób profesjonalny i odpowiedzialny – dodaje ekspert.

Prezes Krzysztof Kowa potwierdza: – Zwracamy szczególną uwagę na bezpieczeństwo pracowników w tym szczególnym okresie, którym jest pandemia

koronawirusa. Wprowadzone szczególne środki ostrożności dotyczą również naszych partnerów, np. wszyscy kierowcy firm zewnętrznych realizujący dostawy surowca do cukrowni muszą być obojętnie zaopatrzeni i ubrani w maski oraz rękawiczki ochronne.

Podobnie jak w latach ubiegłych tak przed kampanią cukrowniczą 2020/2021 we wszystkich siedmiu cukrowniach prowadzono wiele prac inwestycyjnych i modernizacyjnych. Cukrownia Dobrzelin zmodernizowała m.in. zautomatyzowany system analizy jakościowej buraków cukrowych. Cukrownia Kluczewo unowocześniła instalację oczyszczania soków. Z kolei w Cukrowni Krasnystaw zmodernizowano m.in. stację pras wysłodkowych, natomiast w Cukrowni Kruszwica zmodyfikowano instalację odpylania stacji pakowania. Cukrownia Malbork zbudowała dwustanowiskową stację załadunku cystern samochodowych. Przedsięwzięcie to pozwoli na wysyłkę cukru m.in. do Terminala Cukrowego uruchomionego przez KSC w ubiegłym roku w Gdańsku. Cukrownia Nakło, przygotowując się do tegorocznej kampanii, zmodernizowała m.in. stację oczyszczania soku, a Cukrownia Werbkowice unowocześniła i zwiększyła możliwości przerobowe linii krajania buraków. Łącznie zrealizowano kilkadziesiąt zadań inwestycyjnych, o wartości łącznej ponad 240 mln zł.

– Stale podnosimy możliwości naszych zakładów, kontynuując inwestycje popra-

wiające efektywność procesów produkcyjnych i jakość produkowanego przez nas cukru. Pozwala to nam na zwiększanie kontraktacji buraka cukrowego u polskich rolników, co poprawia dochodowość produkcji rolnej w Polsce. Konsekwencją wyższego skupu jest zwiększanie produkcji cukru przez nasze zakłady, którego część eksportujemy poprzez nasz Terminal poza Europę, co stabilizuje nasze wyniki finansowe – podsumowuje Krzysztof Kowa, prezes KSC.

Krajowa Spółka Cukrowa SA z siedzibą w Toruniu powstała w 2002 r. w wyniku konsolidacji trzech polskich spółek cukrowych Skarbu Państwa. KSC jest obecnie największym w Polsce oraz liczącym się producentem cukru buraczanego w Europie. W roku obrotowym 2018/2019 udział Krajowej Spółki Cukrowej SA w polskim rynku cukru wynosił ok. 40 proc. Odbiorcami produktów spółki sprzedawanych pod marką „Polski Cukier” są zarówno firmy polskie, jak i koncerny międzynarodowe. W skład koncernu wchodzi oddziały: siedem cukrowni (Dobrzelin, Kluczewo, Krasnystaw, Kruszwica, Malbork, Nakło, Werbkowice), Terminal Cukrowy w Gdańsku, Zakład „Polskie Przetwory” we Włocławku oraz kilka produkcyjnych spółek zależnych, m.in.: Przedsiębiorstwo Zbożowo-Młynarskie „Młyny Stoisław”, Przedsiębiorstwo Przemysłu Ziemiaczanego „Trzemeszno”, Fabryka Cukierków „Pszczółka”.

Nie czekajmy na przerzuty



Katarzyna Pinkosz

Rak gruczołu krokowego nie musi co roku odbierać życia aż 5 tys. mężczyzn w Polsce, nie musi też okaleczać. Warunki: szybka diagnoza i leczenie „szyte na miarę”, dobrane do pacjenta

To już najczęstszy męski nowotwór złośliwy – pod względem liczby zachorowań „wyprzedził” raka płuca nie tylko w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej, lecz także w Polsce. W ostatnich 30 latach liczba mężczyzn z nowo diagnozowanym rakiem prostaty wzrosła kilkakrotnie i prawdopodobnie nadal będzie rosła. Społeczeństwo się starzeje, a jednym z czynników ryzyka jest wiek. – Rak gruczołu krokowego najczęściej jest diagnozowany u mężczyzn po 65. roku

życia. Nie oznacza to jednak, że nie może zachorować 40-latek – podkreśla prof. Piotr Chłosta, kierownik Kliniki Urologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie i prezes Polskiego Towarzystwa Urologicznego.

PO CZTERDZIEŚĆ DO UROLOGA

W Polsce rak prostaty jest diagnozowany co roku u ok. 15–16 tys. mężczyzn, a blisko 5 tys. co roku z jego powodu umiera. – W odróżnieniu od innych nowotworów urologicznych rak gruczołu krokowego



prof. Jakub Dobruch, kierownik Kliniki Urologii Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego im. prof. W. Orłowskiego CMKP

Potrzebujemy nowych preparatów, by mieć jak najlepsze wyniki leczenia naszych chorych. Są bardzo dobre wyniki badań dotyczące nowych cząsteczek, takich jak apalutamid, darolutamid, enzalutamid, które powinny być wcześniej stosowane u pewnych grup mężczyzn. Zwykle w onkologii nowe cząsteczki najpierw podaje się chorym w najbardziej zaawansowanych stadiach choroby, a potem przesuwają się na wcześniejsze etapy leczenia. Nowe leki antyandrogenowe początkowo podawaliśmy po chemioterapii, potem przed chemioterapią; okazywało się, że takie leczenie nie tylko jest skuteczne, lecz także wraz z przesunięciem jego stosowania na wcześniejszy etap pacjenci więcej zyskują.

W raku prostaty prowadzi się coraz więcej badań. Badania molekularne poszczególnych przerzutów pokazują, że mamy do czynienia z bardzo różnymi nowotworami, dlatego coraz częściej próbuje się określić profil molekularny nowotworu gruczołu krokowego u danego pacjenta, by jak najlepiej dobrać leczenie. Zmierzamy do tego, by nowotwory leczyć nie narządowo, tylko molekularnie, ponieważ u podstaw leżą podobne zaburzenia molekularne, choć wywodzące się z innych narządów.

dr n. med. Iwona Skoneczna, kierownik Oddziału Chemioterapii Szpitala Grochowskiego im. dr. med. Rafała Marszałka w Warszawie

Możliwość stosowania nowych leków antyandrogenowych na wcześniejszym etapie choroby to leczenie pożądane i oczekiwane zarówno przez pacjentów, jak i przez lekarzy. Powinno być też pożądane przez system opieki zdrowotnej: warto premiować leki doustne, dobrze tolerowane, które pacjent może przyjmować w domu, nie musi przychodzić na podanie leku do szpitala. To ważne zwłaszcza w erze pandemii.

Życzylibyśmy sobie, żeby w onkologii było więcej terapii, które są tak przyjazne dla pacjentów i tak bezpieczne, a przede wszystkim powodują, że pacjenci żyją dłużej. Dla pacjenta możliwość odsunięcia pojawienia się przerzutów o dwa lata jest niezwykle ważna z punktu widzenia jego zdrowia i psychiki.

prof. Piotr Chłosta, kierownik Kliniki Urologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, prezes Polskiego Towarzystwa Urologicznego

Podczas zjazdów najważniejszych światowych organizacji urologicznych, w tym Polskiego Towarzystwa Urologicznego, były prezentowane bardzo dobre wyniki leczenia trzema lekami, które można zastosować u pacjentów z rakiem opornym na wytrzymanie, u których jeszcze nie ma przerzutów. To apalutamid, darolutamid i enzalutamid. Największą korzyścią z ich zastosowania jest odsunięcie czasu wystąpienia przerzutów nawet o dwa lata. Przekłada się to na wydłużenie całkowitego przeżycia o ponad rok. Już nigdy nie uda się odzyskać czasu, który można zyskać dzięki wczesnej intensyfikacji leczenia, jeśli się go nie zastosuje. Dlatego bardzo ważne jest, by pacjenci nie musieli czekać, aż pojawią się przerzuty, by mogli zostać włączeni do leczenia nowymi lekami hormonalnymi.

rozwija się bardzo powoli; od pierwszych zmian w komórkach nowotworowych do postaci klinicznej może minąć nawet wiele lat – podkreśla prof. Chłosta. Oprócz wieku głównym czynnikiem ryzyka są geny (jeśli bliscy krewni chorowali na raka prostaty, to ryzyko rośnie nawet 11-krotnie). – Zachorowaniu trudno zapobiec, można jednak wcześniej wykryć chorobę. Wtedy jest też szansa na całkowite wyleczenie – dodaje prof. Chłosta. I jednoznacznie zaleca: – Każdy mężczyzna po 40. roku życia powinien iść do urologa, nawet jeśli

nie ma żadnych niepokojących objawów. To konieczne, szczególnie jeśli w rodzinie zdarzały się zachorowania na raka prostaty.

Warto pamiętać, że samo wykonanie badania PSA nie wystarcza (rak prostaty może rozwijać się mimo wyniku w normie laboratoryjnej; również podwyższone PSA nie musi oznaczać nowotworu). Niezbędna jest wizyta u urologa (osobista, nie w formie teleporady). Lekarz zbiera dokładny wywiad, pyta o objawy, wykonuje badanie per rectum, a w ra-

zie podejrzenia nowotworu kieruje na dodatkowe badania.

LAPAROSKOPIA: TAK, ALE ROBOTÓW CIĄGLE BRAKUJE

Czy rak prostaty jest w Polsce właściwie leczony? – Coraz lepiej, zależy jednak, o jakim parametrze opieki nad chorymi mówimy – ocenia prof. Jakub Dobruch, kierujący Kliniką Urologii CMKP. Z plusów: mężczyźni częściej przychodzą na badania, jest lepszy dostęp do diagnostyki (rezonans

wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski

Do Ministerstwa Zdrowia został złożony wniosek o objęcie refundacją leku apalutamidu w ramach programu lekowego: „Leczenie opornego na kastrację raka gruczołu krokowego wysokiego ryzyka bez przerzutów apalutamidem”. Prezes AOTMiT zalecał objęcie refundacją tego produktu leczniczego w ramach programu lekowego pod warunkiem połączenia wnioskowanego programu lekowego dla apalutamidu z funkcjonującym już programem lekowym dla enzalutamidu. Trwają negocjacje cenowe z wnioskodawcą. W zakresie możliwości objęcia refundacją enzalutamidu w leczeniu opornego na kastrację raka gruczołu krokowego wysokiego ryzyka bez przerzutów stosowny wniosek został też złożony przez podmiot odpowiedzialny i trwają prace nad ustaleniem treści programu lekowego.

Jeśli chodzi o objęcie refundacją tych terapii, to zdaniem ekspertów jest to merytorycznie uzasadnione. Problem tkwi w kosztach. Na pewno siądziemy do rozmów z firmami, chcemy bardzo poważnie rozmawiać, nie mogę jednak zagwarantować, że dojdziemy do porozumienia; wiele zależy od efektów rozmów i negocjacji. Skuteczne leczenie jest bardzo istotne, nie zapominajmy jednak również o badaniach profilaktycznych, pozwalających na wczesne wykrycie, tak istotne w przypadku wszystkich nowotworów.

■ magnetyczny, pozytronowa tomografia emisyjna), powoli są wdrażane w Polsce najnowsze metody leczenia, a polscy urolodzy są w światowej czołówce pod względem wiedzy i umiejętności.

Leczenie zależy od wieku chorego i stopnia zaawansowania choroby. Jeśli

ryzyko powikłań, m.in. nietrzymania moczu. Nietrzymanie moczu ma dewastujący wpływ na jakość życia mężczyzn. Wprawdzie potrafimy im pomóc dzięki wszczepianiu różnego rodzaju taśm czy aparatów zwieraczowych, jednak jest to opcja głównie dla osób dotkniętych cięższą formą nietrzymania moczu. Lepiej byłoby temu zapobiec, niestety operacje z asystą robota są wciąż nierefundowane przez NFZ – podkreśla prof. Dobruch.

NOWE OPCJE MOGĄ WYDŁUŻYĆ ŻYCIE

U części pacjentów choroba jednak nawraca, a u niektórych już w momencie postawienia diagnozy jest w stadium zaawansowanym. Jednak również tych chorych można dziś leczyć coraz skuteczniej. – Nowoczesne leki powstają głównie w USA: rak gruczołu krokowego to najczęstszy nowotwór, dlatego jest traktowany jako choroba wymagająca dużej uwagi. Są ogromne nakłady na badania nad tym nowotworem, pojawiają się nowe leki, na które jako lekarz patrzę z utęsknieniem, widząc, jak są skuteczne. W Polsce nakłady na onkologię są niewspółmiernie mniejsze niż w Stanach, jednak powoli i do nas te nowe leki docierają – dodaje prof. Dobruch.

W przypadku rozpoznania zaawansowanego raka prostaty najczęściej [oprócz operacji chirurgicznej i chemioterapii (lub/i radioterapii)] stosuje się leki antyandrogenowe. Obniżają one poziom testosteronu, który jest „pali-

wem napędowym” dla raka. Niestety, po pewnym czasie pojawia się oporność na takie leczenie: poziom PSA rośnie i pojawiają się przerzuty (mówi się wówczas o tzw. raku prostaty „opornym na kastrację” lub „opornym na wytrzebienie”). W takim przypadku w Polsce jest możliwe zastosowanie leków antyandrogenowych nowej generacji, o innym mechanizmie działania (w programach lekowych są dostępne dwa preparaty: enzalutamid i ocatan abirateronu). Blokują one działanie testosteronu na komórki raka, dlatego hamują postęp choroby lub nawet ją cofają.

Wyniki badań pokazały jednak, że znacznie bardziej efektywne jest zastosowanie nowoczesnych leków antyandrogenowych wcześniej, jeszcze zanim pojawią się przerzuty. – W onkologii zależy nam, żeby mieć markery, które wcześniej pokazują, że nowotwór wraca. W raku prostaty takim markerem jest PSA: gdy zaczyna on rosnąć mimo leczenia obniżającego poziom testosteronu, oznacza to, że choroba będzie wracać. Zastosowanie już na tym etapie nowoczesnych antyandrogenów może nawet o dwa lata opóźnić pojawienie się przerzutów. Już trzy leki mają rejestrację w takim wskazaniu: apalutamid, darolutamid, enzalutamid. Badania wykazały również, że jeśli te leki zastosujemy na tym etapie choroby, gdy nie ma jeszcze przerzutów, to pacjenci żyją dłużej – mówi dr n. med. Iwona Skoneczna, kierownik Oddziału Chemioterapii Szpitala Grochowskiego im. Rafała Marszałka w Warszawie.

Jeden z tych leków (apalutamid) został niedawno pozytywnie oceniony przez Radę Przejrzystości Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji; obecnie oczekuje na decyzję ministra zdrowia. Również producent enzalutamidu wystąpił o zmianę w programie lekowym umożliwiającą zastosowanie leczenia na wcześniejszym etapie, zanim pojawią się przerzuty. – Leki hormonalne drugiej generacji okazały się nie tylko skuteczne, lecz także bardzo wygodne, bo są w formie doustnych tabletek. Pacjenci nie muszą więc tak często przyjeżdżać do szpitala. Są też bardzo dobrze tolerowane. W onkologii życzylibyśmy sobie więcej tak skutecznych i bezpiecznych preparatów – dodaje dr Iwona Skoneczna.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

rak jest wcześniej wykryty, to najczęściej wykonuje się operację usunięcia prostaty – zwykle metodą laparoskopową lub laparoskopową z asystą robota. Alternatywą, stosowaną głównie u starszych mężczyzn, którzy nie chcą (lub nie mogą) poddać się operacji, jest radioterapia. W niektórych przypadkach, gdy u starszego mężczyzny nowotwór jest rozpoznany na bardzo wczesnym etapie i nie jest agresywny, leczenie w ogóle nie jest konieczne. – Staramy się dobrać metodę do pacjenta – podkreśla prof. Chłosta.

Wiele rzeczy jest jednak do poprawki. – W Polsce nadal nie mamy powszechnego dostępu do chirurgii z wykorzystaniem robota, co może w niektórych przypadkach zwiększać

Estoński CIT nie wystarczy

Z początkiem przyszłego roku ma zacząć obowiązywać rozwiązanie znane jako ryczałt od dochodów spółek kapitałowych. Chodzi o tzw. estoński CIT, nad którym pracuje Ministerstwo Finansów. Projekt skierowany do prekonsultacji był szeroko komentowany przez ekspertów i środowiska biznesowe. Głównie ze względu na poważne usterki, jakie się w nim znalazły

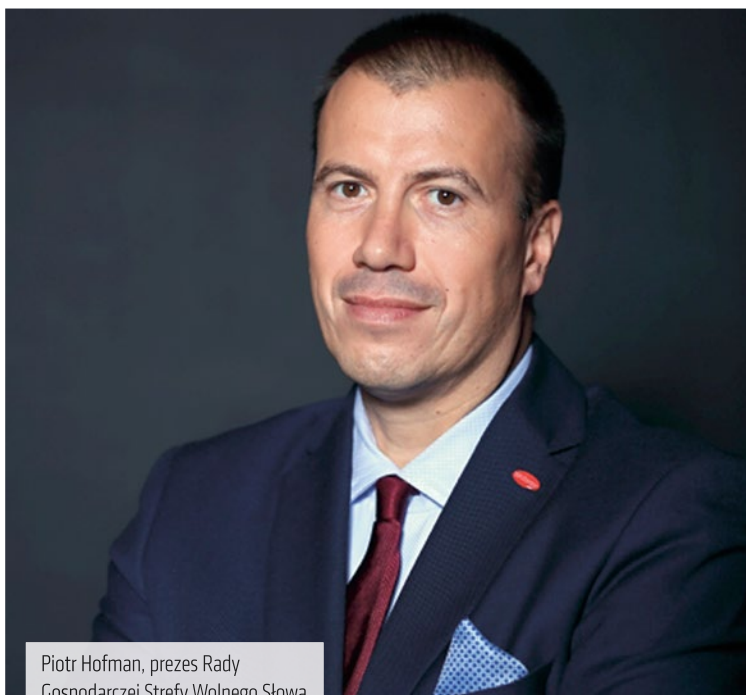
prywatne, zachęcać firmy do rozwoju i ten sposób działać na rzecz całej polskiej gospodarki. Problem w tym, że to kosztuje. W ekonomii bowiem często jest tak, że oczekiwany skutek nie zawsze występuje od razu po tym, gdy zaistnieje przyczyna. Czasami trzeba poczekać dłużej. Na przykład dana inwestycja może zwracać się latami, ale jej koszt ponieść trzeba w tym akurat momencie.

moment jest on estoński głównie z nazwy, nie spełnia bowiem artykułowanych przez biznes oczekiwań. I nie chodzi o to, aby teraz pastwić się nad Ministerstwem Finansów, wskazując, że przygotowało złe rozwiązanie. Jestem przekonany, że odpowiadający za projekt robią, co w ich mocy, aby był on jak najlepszy. Problemem może być ogólna filozofia związana z podejściem do podatków w Polsce. Dotąd nie udało się nam chyba wypracować myślenia o reformach podatkowych jako o długoterminowej inwestycji, która kosztuje, a na zwrot należy niekiedy trochę poczekać.

W efekcie robi się zmiany płytkie, mało kosztowne i mocno skomplikowane. Tak, aby z jednej strony wywiązać się z tej czy innej obietnicy, a z drugiej nie nadszarpnąć zbyt mocno kasy państwa. Tego typu udogodnienia jak tzw. estoński CIT traktowane są w dalszym ciągu – pomimo deklaracji, że jest inaczej – jako koszt, a nie jako inwestycja. Dopóki to podejście się nie zmieni, dopóty ciężko będzie naprawdę zreformować polski system podatkowy tak, aby realnie wspierał on inwestycje.

Niemniej warto ten projekt wspierać, bo chociaż nie jest pozbawiony wad, to daje przynajmniej części przedsiębiorstw szansę na korzystniejsze rozliczanie z fiskusem. W tej jednak formie nie jest to wystarczające narzędzie, aby pobudzić inwestycje prywatne. No, chyba że zajdą w nim zmiany, które go udoskonalą, tak aby był estoński nie tylko z nazwy.

*Autor jest prezesem
Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl*



Piotr Hofman, prezes Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Nowa preferencja podatkowa miała objąć ponad 200 tys. firm, tymczasem gdyby trzymać się tego, co zaprezentowało MF, skorzystać może z niej góra kilkadziesiąt tysięcy. To zatem zupełnie inna skala od tej deklarowanej przez resort.

Dodatkowo same przepisy są dosyć skomplikowane, a ich aplikacja może być kłopotliwa dla podatników. Nie zmienia to faktu, że wyznaczono pewien kierunek zmian w polskim systemie podatkowym, który uznać trzeba za właściwy. Chodzi mianowicie o to, aby wspierać inwestycje

Podobnie jest z polityką podatkową. Na efekty pewnych działań należy poczekać. Niekiedy oczekiwanie ich od razu to nieporozumienie. Gdy jednak obierze się dany kierunek, poprzedzając decyzję solidnymi analizami, warto trzymać się tego kursu.

Unikać przy tym należy także działań pozorowanych – takich, które fajnie wyglądają w mediach czy na prasowych konferencjach, ale nie przekładają się na życie gospodarcze. I taki los grozi niestety koncepcji znanej pod nazwą „estońskiego CIT”. Na ten

TEST „DO RZECZY”: GŁOŚNIK MARSHALL EMBERTON

Charakterystyczne wzornictwo, kompaktowe wymiary, wodoszczelność oraz zaskakująco potężna moc – to największe zalety najmniejszego głośnika legendarnej marki Marshall, specjalizującej się głównie w produkcji elektroakustycznych wzmacniaczy.

Dzięki niewielkim wymiarom (68 x 160 x 76 mm) mobilny głośniczek Bluetooth marki Marshall waży zaledwie 0,7 kg. Gadżet o kształcie cegły z rockowym grillem i wielkim logo, które znają wszyscy fani rocka, wygląda bardzo dobrze. Jest też solidnie wykonany oraz bajecznie prosty w obsłudze. Na górze obudowy zainstalowano „złoty” przełącznik wielokierunkowy, dzięki któremu można odtwarzać i wstrzymywać muzykę, przełączać utwory oraz regulować głośność.

Plusem jest też klasa wodoszczelności IPX7, co oznacza, że głośniczek może bezpiecznie spędzić na głębokości jednego metra nawet 30 minut. Bez obaw można więc go używać przy basenie lub na imprezie w strugach jesiennej deszczu.

Włączeniu głośniczka towarzyszy przyjemny, gitarowy riff, który daje nadzieję na niezłe brzmienie urządzenia. Marketingowcy Marshalla podkreślają, że w głośniku zastosowano technologię wielokierunkowego dźwięku True Stereofonic, która pozwala doświadczyć „absolutnego brzmienia 360 stopni”. W skrócie chodzi o to, że Marshall Emberton naprawdę niezłe brzmi niezależnie od tego,

z której strony głośniczka siedzimy, choć – rzecz jasna – fizyki nie da się tak łatwo oszukać i bez kilku głośników ustawionych w różne strony świata nie da się osiągnąć brzmienia 360 stopni.



Tak czy inaczej dźwięk jest czysty i wyraźny. Przyjemnie zaskakuje też moc urządzenia. Bardzo przyzwoity jak na gabaryty testowanego modelu jest nawet bas. Fajnie brzmi też środek pasma.

Przyczepić się można jedynie do jakości wysokich tonów, a także do tego, że w zależności od poziomu głośności zmienia się brzmienie, ale przy ognisku lub podczas imprezy przy basenie i tak nikt tego nawet nie zauważy.

Na pochwałę zasługuje bateria, która według producenta wystarcza maksymalnie na 20 godzin pracy, ale w testach wynik ten bliższy był raczej

15 godzinom. Można ją też szybko podładować – wystarczy 20 minut przy gniazdku (na szczęście do ładowania używa się wejścia USB-C), aby głośnik mógł grać przez kolejne pięć godzin.

Technologię Bluetooth 5.0 zapewnia bezproblemowe połączenie bezprzewodowe. Brak wejścia AUX oraz wsparcia dla kodeków wyższej jakości sprawia jednak, że trudno ten sprzęt polecić prawdziwym audiofilom.

Pozostałe minusy?

Głośnik Marshall Emberton nie ma mikrofonu, nie można więc go wykorzystać w roli

zestawu głośnomówiącego. Nie użyjemy

go też do rozmowy z wirtualnym asystentem, a jeśli ma się z głośnikiem sparowany telefon, to po odebraniu połączenia trzeba jeszcze raz bezprzewodowo połączyć się z głośnikiem.

Poza tym irytujący i absolutnie niepasujący do rockowego brzmienia jest dźwięk towarzyszący przełączaniu utworów – niestety jedynym sposobem na jego wyeliminowanie jest przełączanie piosenek w smartfonie lub na komputerze.

Poza tymi wadami testowany gadżet to solidny kawałek głośnika, który może uprzyjemnić niejedną outdoorową imprezę. Cena: 569 zł. ©©

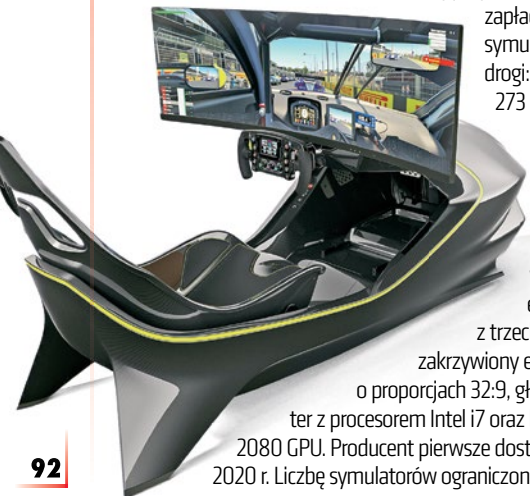
Jacek Przybylski

ASTON MARTIN W DOMOWYM ZACISZU

Brytyjska marka znana z produkcji samochodów dla najsłynniejszego szpiega Jej Królewskiej Mości na czasy koronawirusa przygotowała specjalny symulator jazdy. Wzorcem AMR-C01 stał się Aston Martin Valkyrie. Za oryginał – wyprodukowany jedynie w 150 egzemplarzach – trzeba

zapłacić ponad 15 mln zł. Niestety symulator też jest horrendalnie drogi: kosztuje równowartość 273 tys. zł, czyli tyle, za ile można kupić w realu przyzwoite sportowe auto. W cenie symulatora: „karoseria” z włókien węglowych (w jednym z ośmiu wariantów kolorystycznych), elegancki fotel (jeden

z trzech do wyboru), ogromny zakrzywiony ekran w rozdzielczości QHD o proporcjach 32:9, głośniki Sennheisera, komputer z procesorem Intel i7 oraz kartą graficzną Nvidia GTX 2080 GPU. Producent pierwsze dostawy przewiduje na koniec 2020 r. Liczbę symulatorów ograniczono do 150 egzemplarzy.



SMARTFON SKRZYDŁO

LG Wing to smartfon z dwoma ekranami o przekątnej 3,9 cala oraz 6,8 cala. Mniejszy z ekranów jest nieruchomy, ale większy można obracać o 90 stopni. W zależności od ustawień na obydwu ekranach można wyświetlać jedną aplikację lub korzystać z dwóch różnych aplikacji jednocześnie. Według południowokoreańskich projektantów można więc np. oglądać film w trybie pełnoekranowym, a jednocześnie szperać po Internecie lub marnować czas na twitterowe kłótnie. Dziwny gadżet od LG ma być też przydatny miłośnikom cyfrowej fotografii. Wewnątrz nowy smartfon skrywa szybki ośmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 765G oraz 8 GB pamięci RAM. W LG Wing wbudowano też aparat główny z matrycą o wielkości 64 Mpix (f/1.8) oraz z dwoma ultraszerokokątnymi obiektywami. Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” LG nie ujawniło ceny tego nietypowego smartfona. ©©



Jacek Przybylski



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ostatnie dni wakacji

Przełom sierpnia i września miałem spędzić w uroczych okolicznościach przyrody. Najpierw Mazury, potem szybki wyskok do Grecji. No po prostu żyć, nie umierać.

Jak to w roku 2020 plany wzięty w łeb. Jak to w 2020 r. przez COVID-19. Zamiast na Mazurach wyłądowałem w Wojewódzkim Szpitalu Zakaźnym przy ul. Wolskiej w Warszawie. Jeśli ktoś do tej pory nie znał nikogo, kto chorował na koronawirusa, to bardzo proszę – jestem do dyspozycji. Można mnie wymieniać w dyskusjach. Covidosceptykom chciałbym tylko napisać, że to były zdecydowanie dwa najgorsze tygodnie w moim życiu. A i tak nie byłem ciężkim przypadkiem. Nie miałem kłopotów z oddychaniem, niepotrzebny był respirator. Jednak – chociaż już jestem zdrowy – i tak ledwo zipię i potykam się o własne nogi. Dojście do pełni sił zabierze mi jeszcze jakiś miesiąc.

Z lepszych informacji. W szpitalu zakaźnym trafiłem pod świetną opiekę, za którą po prostu ogromnie dziękuję. Rzeczywistość była dość nieludzka: postaci w kombinezonach, twarze pozasłaniane, plastikowa pościel w szpitalnym łóżku. Poza własną izolatkę nie można się oczywiście ruszyć, co nie było zresztą problemem, bo sporym wysiłkiem było dla mnie utrzymanie telefonu w ręku, a wyprawa do oddalnej o metr toalety była po prostu wycieńczająca.

A jednak w tym sterylnym świecie było ogromnie dużo człowieczeństwa. Wnosiły je przede wszystkim pielęgniarki i salowe, panie w średnim wieku, obciążone rodzinami i mądrością, które dają życiowe doświadczenie. Panie Stasia, Madzie i Jadzie miały zawsze w zanadru jakiś żarcik, który tchnął optymizmem i wnosił odpowiednią dozę znacznej rubasznosci w surrealistyczny świat. Ale oprócz humoru panie miały też empatię, której łaknąłem. Kiedy podziękowałem jednej z nich za opiekę (zamaskowanej, więc nawet nie wiem, jak wyglądała), odpowiedziała, że po prostu traktuje mnie tak, jak sama chciałaby być traktowana, gdyby trafiła tu jako pacjentka. Wiele, naprawdę wiele dobrego zaznałem od osób, których twarze nie widziałem, a których imion nie byłem w stanie przeczytać. W szpitalach i różnych placówkach służby zdrowia widziałem dość często, jak rutyna objawia się obojętnością. Tutaj było odwrotnie: choć sceneria była wyjątkowo bezduszna, to duszy było bardzo wiele.

Kiedy opowiadałem o tym znajomym, łaknącym wieści od człowieka, który osobiście uczestniczył w wielkim spektaklu historycznym roku 2020, wszyscy potakiwali ze zrozumieniem głowami. W jedno nie chcieli uwierzyć. Choć to najszersza prawda. W zakażnym na Wolskiej wspaniale karmili! Daję słowo! Przynajmniej 4 gwiazdki na 5. ☺☺



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Rowling na cenzurowanym

Oskarżenia J.K. Rowling o transfobię to temat, który od początku roku doczekał się przynajmniej kilku tomów publicystyki. O tweecie autorki „Harry’ego Pottera”, która ironicznie skomentowała artykuł używający słowa „osoby menstruujące” zamiast „kobiety”, publicznie zdążył się wypowiedzieć już każdy, poza brytyjską rodziną królewską. Jeśli kogoś nadal interesuje serial pt. „Jak z adwokata środowisk LGBT zmienić się w ich wroga w tydzień”, to śpieszę donieść, że pojawił się kolejny – jeszcze bardziej absurdalny odcinek. Mowa o nowej książce z cyklu kryminałów, pisanych przez Rowling pod pseudonimem Robert Galbraith.

„Wzburzona krew” to piąty tom przygód detektywa Cormorana Strike’a, który tym razem musi rozwikłać zagadkę seryjnego mordercy, mogącego mieć związek z zaginięciem kobiety w 1974 r. – po dziś dzień poszukiwanej przez córkę. Według pierwszych recenzji książki, które pojawiły się jeszcze przed jej premierą 15 września, czarny charakter to heteroseksualny mężczyzna, który „na łowy” wychodzi przebrany w damskie ubrania i perukę. Termin „transpłciowość” nie pojawia się na kartach powieści i choć słowa „transwestyta” używa recenzent „The Telegraph”, to próżno szukać go w innych opisach fabuły na łamach brytyjskich portali. Sam ten fakt wystarczył jednak, aby rzesza internetowych krytyków i hejterów

jeszcze głośniejsze zakrzyknęła o transfobii pisarki. Nie znając fabuły „Wzburzonej krwi”, krew wzburzyło samo zestawienie mordercy z wątkiem trans. Bo przecież, jak powszechnie wiadomo, w tej roli bezpiecznie występować mogą jedynie biali, nieprzebiegający się za kobiety, cisgenderowi mężczyźni.

Na bazie owych kontrowersji na Twitterze błyskawicznie pojawiła się fala postów z hashtagem #RIPJKRowling, w których kolejni internauci – również z Polski – życzyli nie tylko śmierci kariery pisarki, lecz także wprost pożegnania się z tym światem. Co głębsi deklarowali, że mogą pomóc ją zabić, niektórzy, zdezyorientowani, dopytywali, czy Rowling przypadkiem nie zmarła? W tym samym czasie ktoś zniszczył w kanadyjskim Vancouver banner z hasłem „I love J.K. Rowling”, ufundowany przez niejakiego Chrisa Elstona, który chciał okazać autorce „wsparcie za obronę kobiet i dzieci”. Zastanawiam się, czy w obliczu podobnego szaleństwa oraz majstroowania przy kryteriach oscarowych dla najlepszego filmu kwestią czasu nie będzie wycofywanie z platform streamingowych albo opatrywanie stosownym komentarzem filmów, takich jak „Milczenie owiec” Jonathana Demme’a, „Psychozy” Alfreda Hitchcocka czy „Dressed to Kill” Briana de Palmy. W końcu tam też zabijają mężczyźni przebrani za kobiety. Skandal. ☺☺



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Dwa Kudaki

Pod imieniem Kudaku rozumiano w dawnej Polsce stepową twierdzę nad Dnieprem, strzegącą Ukrainy przed Tatarami i Kozakami. Dzięki Sienkiewiczowi urosła ona do rangi symbolu. W rzeczywistości pod nazwą tą funkcjonowały dwie twierdze na dniewnym Niżu.

Pierwsza wzniesiona została w 1635 r. z inicjatywy króla Władysława IV i hetmana Stanisława Koniecpolskiego przy porożu na Dnieprze noszącym miano „kudackiego”, od którego wzięła nazwę. Celem budowy było przecięcie komunikacji z Zaporozżem i kontrolowanie tej najważniejszej drogi wodnej z Ukrainy na Niż tak, aby powstrzymać Kozaków od wodnych wypraw na Chanat Krymski i Turcję. Fortyfikacje wznoszono według zasad szkoły staroholenderskiej; zaopatrzone były w dwa pełne bastiony i dwa półbastiony, niewielki fort w kształcie dzieła koronowego i ogromny, częściowo obwarowany plac mający służyć jako obóz dla dużej armii. Kudak oparty był o jary i urwiska nad Dnieprem. Miał tylko jedną bramę i tylną furtkę z przejściem nad rzekę, najsłabszą niestety jego częścią była strona południowa – od Dzikich Pól. Załogę stanowiło 200 niemieckich dragonów. „Pośpieszne zakończenie prac spowodowało, że [twierdza] nie była dostatecznie zaopatrzona w działa, które mogły skutecznie bronić ją od południa” – pisał Tadeusz Krzastek.

Do dziś nie wiadomo, kto zbudował pierwszy Kudak. Był nim albo Wilhelm Le Vasseur Beauplan, kapitan artylerii króla Władysława IV Wazy, lub Jean de Marion, który służył w armii koronnej rozpoczął za czasów Zygmunta III Wazy. Wzniesienie fortu uniemożliwiającej wolną żeglugę po rzece wywołało wściekłość Kozaków, zwłaszcza że jej dowódca – wspomniany de Marion – zakazywał im



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

polowania i rybołówstwa, a niepokornych kazał chwycić i zamykać w lochu. W nocy z 11 na 12 sierpnia 1635 r. Iwan Sulima niespodziewanym atakiem zdobył twierdzę. Według jednych przekazów Kozacy wykorzystali to, że dragoni pilnujący wałów pospali się i weszli po cichu po drabinach. Wedle innych udali uciekinierów przed nadciągającym oddziałem tatarskim i poprosili, aby ich wpuszczono do twierdzy. Tak czy owak załogę wycięto, a de Marion zginął okrutną śmiercią – przywiązano go do pala i zabito strzałami z rusznic i huków, porąbano i poddano torturom. Według „Kroniki Lwowskiej” Kozacy komendanta: „żywem wzięwszy, najpierw rękę mu odsiekli i za pazuchę włożyli, w płudry prochu nasypali, postawili u słupa nad Dnieprem, zapalili i proch rzucili go do Dniepru”. Za swoją zuchwałość Sulima poniósł karę – ujęty przez Kozaków rejestrowych został wydany Polakom i ścięty, a potem poćwiartowany w Warszawie.

W odpowiedzi na kozacką swawolę Koniecpolski postanowił zbudować kolejną twierdzę. Nowy Kudak wzniesiono po wschodniej stronie porożu Kudackiego w 1639 r. i był znacznie bardziej potężny od pierwszego. Tym razem była to twierdza w systemie nowoholenderskim, zaopatrzona w sześć bastionów, rawelin, kurtyny i wały o wysokości ok. 8 metrów

poprzedzane fosami. Dodatkowo zbudowano także wysoką strażnicę. Załogę stanowił regiment piechoty cudzoziemskiego autoramentu liczący ok. 500 żołnierzy. Jak podaje Bogusław Maskiewicz, wały twier-

dzy były tak wysokie, że ledwie widać było zza nich szczyt budynku zamkowego. Powinnością dowódcy było każdego roku nadsypywać je na łokieć w górę. W Kudaku panowała bardzo surowa dyscyplina – o zmroku nikogo

nie wpuszczano. Pół mili od niej wzniesiona była wysoka wieża, z której rozciągał się widok na osiem mil (ok. 50 km). Stacjonowała tam załoga złożona z 10 konnych i 100 piechoty. Spostrzegłszy z daleka obcych, natychmiast dawać znać do fortu. Pierwszym komendantem został Jan Wojsław Żółtowski.

Twierdza Kudak oparła się w 1648 r. powstańcom Bohdana Chmielnickiego. Co więcej, znalazło w jej wałach schronienie wielu uciekinierów spod Żółtych Wód, w tym Stefan Czarnecki. Po klęskach i utracie Ukrainy nad dniewprzańską Kudak bronił się przez kilka miesięcy oblegany przez Maksyma Nestoręnkę. Komendantem był wówczas Krzysztof Grodzicki, doświadczony żołnierz, który walczył aż do października, do wyczerpania żywności i prochów. W kapitulacji uzgodniono, że załoga odejdzie wolno z chorągwiami, jednak Kozacy złamali ugodę i zaatakowali Polaków po opuszczeniu wałów twierdzy. W Czehryniu zamordowano później wielu dowódców i oficerów, sam Grodzicki miał jednak więcej szczęścia, bo wrócił z niewoli rok później. Zdobyty przez Kozaków Kudak nigdy już nie odzyskał dawnego znaczenia. ©



RYS. PĘCZ

SMAK DZIECIŃSTWA TOMASZA LATOSA

Każdy ma smaki kojarzące się z dzieciństwem. Jednym z moich ulubionych jest tort mojej mamy, słynny wśród rodziny i znajomych jako szczególnie wspaniały i pyszny. Tort ten pojawiał się na stole na specjalne okazje, zawsze bardzo go wyczekiwałem. Już po śmierci mamy moja żona próbowała odtworzyć przepis i zrobić taki tort. Niestety nie udało się i wszystko wskazywało na to, że ten smak dzieciństwa odejdzie po śmierci mamy, tak jakby miał pozostać jej tajemnicą. Jednak po kilkunastu latach przy jakiejś specjalnej okazji żona, chcąc sprawić mi przyjemność, podjęła jeszcze jedną próbę. Wyszedł wspaniały! Później odnaleźliśmy jeszcze przepis spisany ręką cioci. Od tego czasu na szczególne okazje, rodzinne uroczystości i jubileusze żona piecze ten tort, który nadal wszystkim niezwykle smakuje.

Składniki:

- 12 jaj
- 20 dag mąki tortowej
- 20 dag mąki ziemniaczanej
- 50 dag masła
- 1 proszek do pieczenia
- czekolada
- cukier
- woda

Przygotowanie:

Biszkopt: oddzielamy żółtka od białek. 6 żółtek ucie-

ramy z 30 dag cukru i 6 łyżkami wody. Dodajemy po 20 dag mąki tortowej i ziemniaczanej oraz proszek do pieczenia. Jeśli tort ma być ciemny, to dodajemy kakao, odejmując tyle łyżek mąki, ile łyżek kakao dodajemy. Ubijamy białka i delikatnie mieszamy z pozostałą masą. Przekładamy do tortownicy wyłożonej papierem do pieczenia, wyrównujemy. Pieczemy w temp. 160–170 st. C przez ok. 40 min. Sprawdzamy patyczkiem, czy biszkopt jest już gotowy. Po wystygnięciu przekrawamy na trzy platy.

Krem: 6 całych jaj ubijamy z 1,5 szklanki cukru i 4 łyżkami wody. Osobno ucieramy dwie kostki masła (50 dag), dodając kakao i ubite jaja. Krążki biszkoptu skrapiamy mieszaniną spirytusu, wody i cukru oraz, ewentualnie,

rumu (proporcje wedle upodobań). Przekładamy kremem, posypując wiórkami kokosowymi. Tort oblewamy masą przygotowaną z roztopionej tabliczki czekolady i 1 łyżki masła. Ozdabiamy orzechami włoskimi i wiórkami kokosowymi. ©©

*oprac. raw
Tomasz Latos jest
posłem PIS.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Powiedz to krótko

Dobrze, ale wróćmy do głównego wątku – powiedziałam do znajomego, który opowiadał mi historię o psie swoich rodziców, którego pamięta z dzieciństwa. Historia miała być repliką na mój telefon z wiadomością o tym, że musieliśmy uśpić naszego psa, sześciolatniego golden retrievera, który miał raka płuc. Jak sądziłam, miała być nawiązaniem do tego smutnego wydarzenia i – szczerze mówiąc – spodziewałam się jakiegoś, najmniejszego choćby pocieszenia. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Znajomy zaczął ciągnąć swój poemat dygresyjny. Zaczynało się od opisu spizarni, w której ów pies, owczarek collie Bimbo, miał dopaść zdeponowane tam mięsa, jednak opowieść szybko przechodziła do innych wątków. Z jednej skrzynki wyskakiwała następna. Jak w powieści pudełkowej, niestety mniej ciekawej niż „Rękopis znaleziony w Saragossie”... Był więc dom dziadków w Zakopanem, byli dokwaterowani lokatorzy z dokładnymi rysopisami poszczególnych osób oraz ich genealogiami, był szczegółowy opis ogrodu uwzględniający gatunki roślin i kształty grządek. Historii nie było końca, wątek psa zawiesił się, a ponieważ musiałam kończyć rozmowę, nie dowiedziałam się, czy koniec biednego Bimbo istotnie nastąpił na skutek przejedzenia się polędwicą.

Umiejętność opowiadania na żywo jest darem takim samym jak talent literacki



FOT. ADRIAN STOK

czy uzdolnienia muzyczne. Nie można się tego nauczyć. Są ludzie, którzy z najbardziej historii potrafią wyciągnąć anegdotę, dramaturgię, dowcip, są inni, którzy najciekawsze zdarzenie położą nudnym gładzeniem i brakiem wyczucia pointy. W pisaniu zawsze można coś poprawić, w towarzystwie nie ma zmiłuj, musisz wysłuchać nudziarza do końca. Są także ci, którzy w celu zabłyśnięcia w towarzystwie umiejętnie przyswajają sobie cudze historie, przedstawiając je jako własne. W sumie działalność nieszkodliwa, jeśli potrafi zaciekać. We współczesnych realiach okazji do anegdot jest coraz mniej, za to każdy ma w ręku do pokazania i posłuchania tysiące filmików z Internetu i historyjek z Onetu.

W tym morzu opowieści najbardziej poszukiwana jest zwięzłość. Wielu chce mówić, niewielu słuchać. Powiedz to krótko, uczą Amerykanie w swoim „elevator pitch”. 20-, 30-sekundowe przekonujące (szefa ewentualnego kandydata do pracy) oświadczenie w czasie jazdy windą. Pomna tej nauczki, kończę pisanie. ©©



DO V EDYCJI KONKURSU ZAPRASZA PARTNER GŁÓWNY



ORLEN



POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Style kapitulacji

A mogło być tak: papież Franciszek przyjeżdża do Aten, by w „połowie drogi” między Rzymem a Konstantynopolem spotkać się z patriarchą „Nowego Rzymu”. Spotkanie zakończyło się wydaniem wspólnej deklaracji przypominającej historię wspólniejszej bazyliki Hagia Sophia, która przez niemal tysiąc lat swojego istnienia jako chrześcijańska bazylika była również świadkiem trudnej historii relacji katolicko-prawosławnych. We wspólnej deklaracji przypomniano więc 500 lat (od 537 r. – daty inauguracji bazyliki do 1054 r. – początku schizmy wschodniej) istnienia Hagii Sophii jako świątyni niepodzielonego katolickiego świata. Wspomniano również dramat

(od 1934 r. funkcjonującej jako muzeum) w meczet, podkreślając, że świątynia ta należy do wspólnego duchowego dziedzictwa wszystkich chrześcijan.

Wspólna deklaracja papieża i patriarchy Konstantynopola została oceniona w katolickich środowiskach od dawna wspierających dialog ekumeniczny jako „wielki krok naprzód w implementowaniu ducha ekumenicznej wspólnoty uczniów Chrystusa, która nie jest ukierunkowana przeciw komukolwiek, ale ma na celu odwoływanie się do wspólnego dla wszystkich chrześcijan dziedzictwa duchowego i kulturowego”.

Poniesiony „duchem Aten” – jak światowe media określiły spotkanie i deklarację papieża oraz patriarchy – papież Franciszek napisał encyklikę „Totus orbis christianus”, w której, odnosząc się do ateńskiego spotkania, zaakcentował konieczność wspólnego zaangażowania się wszystkich chrześcijan na rzecz aktywnej obrony przeciw ofensywie dyktatury relatywizmu oraz wojującego islamizmu.

To tyle à propos pobożnych życzeń. Rzeczywistość, jak wiadomo, jest zupełnie inna. Kogo jeszcze dzisiaj obchodzi los bazyliki Justyniana Wielkiego? Poza

Grekami, których kultura i pamięć historyczna o wiele bardziej wyrosły w cieniu Hagii Sophii aniżeli Akropolu, w Europie nie obchodzi już nikogo. Watykan głucho milczy na ten temat, jeśli nie liczyć jednego zdania wypowiedzianego przez papieża Franciszka, które więcej mówiło o jego smutku aniżeli o losie bazyliki. Wszystko zaś wskazuje na to, że nowa encyklika obecnego

papieża o „powszechnym braterstwie wszystkich ludzi” nad tą kwestią przejdzie do porządku dziennego, akcentując klimatyczne, migracyjne i społeczne kwestie trapiące „wielką rodzinę ludzką”.

Style wywieszania białej flagi są bowiem różne. Można nią machać dziarsko, czyniąc z tego powód do chluby. Przecież miarą „nowoczesnego polityka nowoczesnej prawicy” jest stwierdzenie, że „w obecnej sytuacji wojny kulturowe są przeżytkiem” i trzeba bardziej skoncentrować się na pilniejszych kwestiach, na przykład pochylić się z troską nad losem zwierząt futerkowych. Grunt to stawiać sobie ambitne cele.

Można białą flagę wywieszać z namysłem i stylowo, podkreślając, że „za dużo jest ideologii po lewej, ale i po prawej stronie”. Można wreszcie wywieszać powolutku, acz systematycznie, wszak „nasze katolickie imaginarium zostało nieodwołalnie zniszczone”. Albo robić to jakby od niechcenia, patrząc w inną stronę (klimatu etc.).

Tylko niepoprawni idealisci mogą przypominać, że chrześcijaństwo jest religią zmartwychwstania ciała, a więc odrodzenia (restauracji) tego, co wydawało się nieodwracalnie zmasakrowane, a wcześniej wyśmiane i w ramach „radosnych happenin-gów” ubrane w „lśniące szaty”; dzisiaj mogą one być wielobarwne, jakby tęczowe. Idealisci, czyli ci, którzy dobrze znają historię, wiedzą – śledząc na przykład nauczanie i dzieło Prymasa Tysiąclecia – że można uniknąć uderzenia fal czerwonego morza, chroniąc się za murem katolickiej tradycji i moralności (Wielka Nowenna), by następnie wyjść z tych blanków na szlak milenijnej tradycji (obchody 1966 r.), a następnie czerpiąc z jej głębi, solidarnie stworzyć wielki ruch przeciw rewolucji (Sierpień '80). ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



1204 r., gdy krzyżowcy znęcani przez Wenecjan zamiast do Ziemi Świętej udali się do Konstantynopola, by wystąpić w roli de facto najemników Republiki Dożów. Łupieżcy nie ominęli również wspólniejszej bazyliki Justyniana Wielkiego. Na koniec jednak sygnatariusze deklaracji wyrazili swój sprzeciw wobec ponownego przemianowania Hagii Sophii

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Za to samo, za co jest nienawidzony. Za skuteczność, pracowitość i za styl.

Za tweety, które pisze sam, a wiemy to stąd, że robi różne własne błędy oraz że wychodzą w nocy, gdy Biały Dom już poszedł spać. Te tweety są niepoprawne, czasami niegrzeczne, ale zawsze celne i bardzo dobrze się je czyta, bo dowcipne. Umie chłop wsadzić szpilę, a do tego widzisz, że wprowadził przyładował komuś w nerę, ale SPRAWIEDLIWIE.

I słowo „chłop” też pasuje – Trump może sobie być miliarderem, ale jednocześnie to jest jak najbardziej „swój chłop”. Mówi po ludzku, Ameryka go rozumie, robotnicze go rozumieją. Nauczył się tego, a może umiał od początku. Potrafił się dogadywać z kierownikami gruszek z betonem, ze zwykłymi murarzami, którzy mu wylewali płytę stropową na kolejnym wieżowcu. Zna sprzątaczkę w swoich hotelach i ma czas z nimi pogadać. Wiedzą, że nie jest ideałem, wiedzą, że potrafi się wściec, gdy coś jest źle zrobione, ale za to właśnie go cenia, że nigdy nie był bogatym paniczkiem, który wchodzi na obiekt ze świtą ekspertów i nie orientuje się, gdzie robota spaprana. Ludzie pracujący u Trumpa wiedzą, że facet zna swoją robotę oraz zna ICH robotę.

Gdy wychodzi ze swojego wieżowca na Manhattanie, potrafi skrócić do pokoiku ze szczotkami, wsadzić głowę i rzucić jedno słowo: POREĆCZ! Znowu ktoś nie wytarł poręczy, a robota ma być wykonana porządnie, niezależnie, czy to jest robota szefa, czy sprzątaczkę – wszyscy razem pracujemy na ten sukces.

Zwyczajni Amerykanie za to właśnie kochają i cenią Trumpa – pod jego okiem wszystko jest zadbane w szczegółach, niczego



FOT. W. CEJROWSKI / TLO / KRZYSZTOF

Za co kochamy Trumpa?

nie puszcza luzem, nigdy nie uznaje zasady „jakoś to będzie”.

Dbał też o każdego, z którym się spotkał w życiu, i ci ludzie to pamiętają latami. Przyjaciółmi innych miliarderów są miliarderzy, a Trump ma wśród swoich przyjaciół także sprzątaczkę, portierów, kompletne doły społeczne. I nie przegapia ludzi pozornie przypadkowych.

Rok temu zobaczył w TV kowboja, który przyjechał do Waszyngtonu, by poprowadzić marsz poparcia dla Trumpa. Po manifestacji facet siedzi na lotnisku, czeka na samolot, a tu telefon z Białego Domu – prezydent chciał panu podziękować osobiście.

– Pani se jaja robi, prawda? – odparł kowboj i prawie się odwiesił, ale za chwilę rozmawiał osobiście z Trumpem. Gadali przez czterdzieści minut. Który inny prezydent miałby O CZYM rozmawiać tyle czasu z obcym

facetem? A Trump miał o czym. Za to go ludzie kochają – że jest normalny, pomimo że taki wyjątkowy.

Umie przyjąć dobrą radę od kogoś, kto jest „nikim”. Umie też spojrzeć w oczy eksperta z dyplomami i odrzucić jego rady jako nic niewarte, przemądrzałe, lub... nieszczerre. Naród to wie – Trump nie da się wykołować.

Kochamy go też za to, że potrafi ograć urzędasów. „Naprawię podatki, bo znam wszystkie dziury w tym systemie. Korzystam od lat” – to jego słowa z poprzedniej kampanii wyborczej. Przeciwnicy zarzucali mu, że się przyznał do omijania podatków. Naród go pokochał, bo każdy z nas stara się szukać podatkowych furtek. To nie obywatel jest zły – to system

powinien być szczelny, a podatki niskie.

Na swoim polu golfowym (buduje wyśmienite na całym świecie) Trump postawił maszt i zawiesił na nim amerykańską flagę. Amerykanie kochają swoją flagę, lubią ją oglądać, mieć gdzieś przy sobie, w zasięgu wzroku. Postawił więc Trump wielką flagę na klifie nad brzegiem morza. I przyszła lokalna władza i przysłała mu karę, bo maszt za wysoki i zasłania widoki.

Komu? Ten maszt stoi na brzegu i ma być widoczny dla statków oraz łodzi jako punkt orientacyjny. Pole golfowe ma hektary i nikomu nie postawił masztu tuż pod oknem.

Kazali zważyć, skrócić i zapłacić 120 tys. dol. kary.

Trump ograł urzędasów spektakularnie: zapytał, czy może karę wpłacić nie na rachunek gminny, lecz na fundusz dla weteranów. Zgodzili się. Trump wpłacił. A potem oberznął maszt do wysokości, na jaką mu zezwolili, ale zanim go znowu postawił, kazał pod masztem usypać górkę dokładnie takiej wysokości, jakiej był ten ucięty kawałek. I wciągnął flagę na tę samą wysokość, na jakiej powiewała poprzednio. Za takie rzeczy go naród kochał już wtedy, a było to lata temu.

Kochają go także za to, że jest niezależny od grup wpływu. Nie bierze pensji prezydenckiej i nie przyjmuje dotacji na kampanię od dużych firm – tylko drobne wpłaty od osób indywidualnych, które niczego nie chcą w zamian. Za to go naród kocha, a demokraci nienawidzą.

I za to jeszcze, że realizuje WSZYSTKIE swoje obietnice wyborcze (czego nie zrobił żaden polityk przed nim). Jeżeli nie byłby wyborcą Trumpa, to te obietnice mogły ci się nie podobać, ale... obiecał, ludzie go z tego powodu wybrali i teraz Trump DOTRZYMUJE ZOBOWIĄZAŃ. ©©

Jerzy Dudek
Jerzy Dudek



Born to fly

Blue Angels to specjalna amerykańska edycja zegarków CITIZEN charakteryzująca się niezwykłą precyzją oraz gracją nawiązującą do umiejętności elitarnych eskadr zespołu akrobacyjnego Marynarki Stanów Zjednoczonych. Zasilane światłem (Eco-Drive), synchronizowane radiowo (Radio Controlled), wyposażone w suwak logarytmiczny i inne funkcje nie tylko dla pilotów. Poleca Jerzy Dudek.

 **PROMASTER**  **Eco-Drive**



CITIZEN

BETTER STARTS NOW

citizen.pl

Piękno i moc jadą w parze



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



RentIS
Smart way to rent a car



+48 720 200 500



www.rentis.pl



info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307